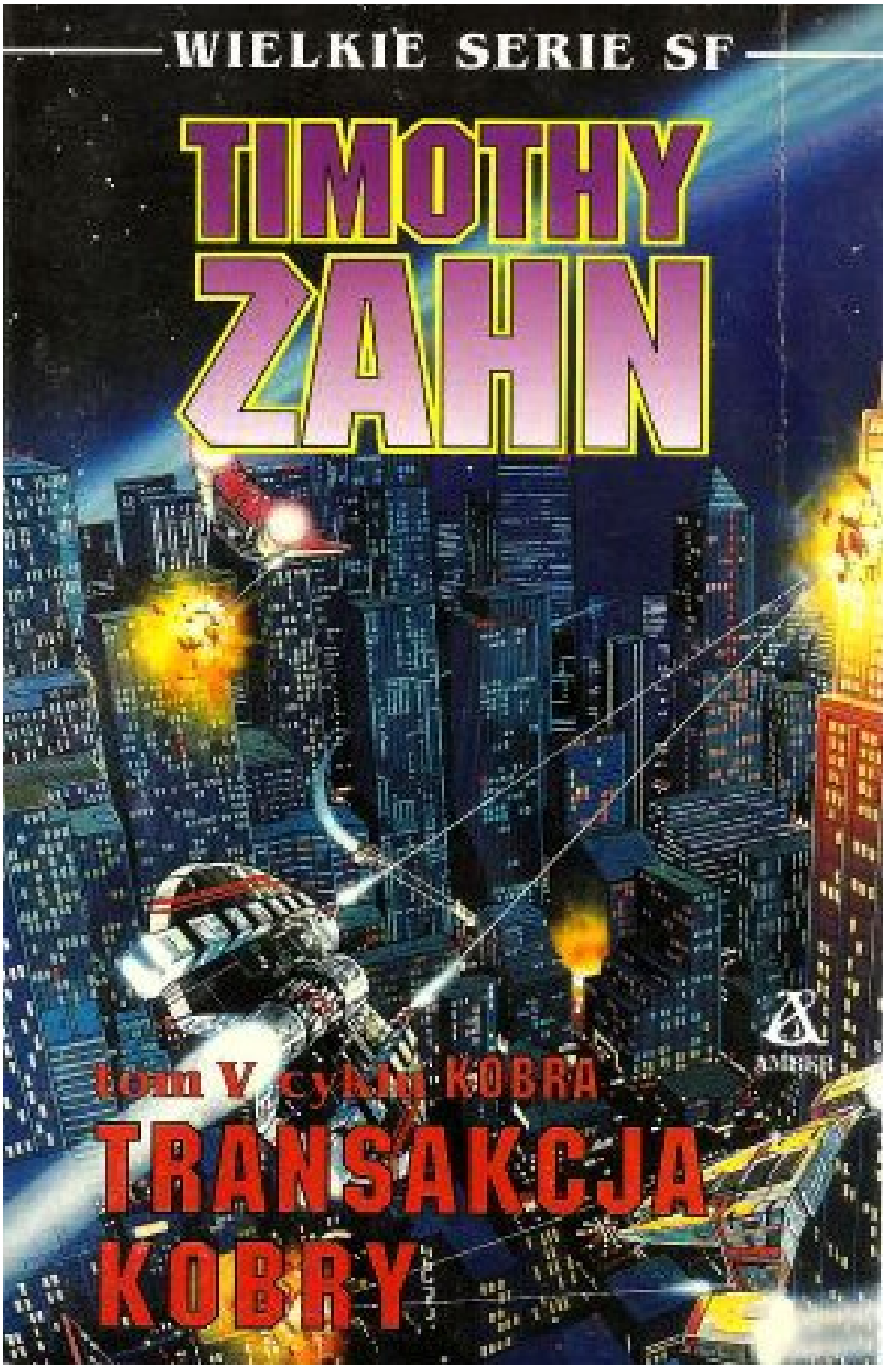
WIELKIE SERIE SF
TIMOTHY ZAHN
tom V cyklu KOBRA
TRANSAKCJA KOBRY

Timothy Zahn

Transakcja Kobry

Cobra Bargain, part 1

Cykl: Kobra, tom 5

tłumaczenie: Michał Szybisz

Rozdział 1

— Panie gubernatorze...

Zmagając się z urzędowym bełkotem dobiegającym z czytnika, gubernator Corwin Jamę Moreau z wysiłkiem przeniósł uwagę na interkom. Stanowiło to przyjemną odmianę — twarz Theny MiGraw była zdecydowanie sympatyczniejsza od widoku dokumentów zarządu.

— Słucham?

— Przyszedł Justin, proszę pana. Czy mam mu kazać czekać?

Corwin skrzywił się. "Czy mam mu kazać czekać?" Co oznaczało: czy ma dać Corwinowi kilka minut na przygotowanie się do rozmowy. Thena była jak zwykle przewidująca. Odwlekał tę konfrontację już od kilku dni, więc musiał doprowadzić do niej teraz lub nigdy.

— Nie, proszę go wprowadzić — polecił.

— Tak jest.

Corwin odetchnął głęboko i wyprostował się w fotelu, wyłączając jednocześnie czytnik. Chwilę później otworzyły się drzwi, a do gabinetu wkroczył Justin Moreau.

Wkroczył energicznie, lecz w ruchach brata wprawne oko Corwina dostrzegało już subtelne objawy syndromu Kobry. Laminowane, pokryte ceramicznym wzmocnieniem kości, implantowane uzbrojenie, systemy serwomotorów, wzmocnienia stawów — po dwudziestu ośmiu latach ciało zaczynało reagować na to wszystko postępującym artretyzmem i anemią, które w ciągu najbliższych dziesięciu, dwudziestu lat spowodują przedwczesną śmierć. Corwin drgnął w odruchu współczucia, po raz setny pragnąc zmienić coś, co było nieuniknione. Jednak nic nie mógł poradzić. Jak poprzednio jego ojciec, Justin wybrał tę drogę dobrowolnie. I jak zmarły Jonny Moreau, Justin przyjmował swój los z cichą godnością, o ile to było możliwe, nie okazując bólu i odrzucając wszelkie przejawy współczucia. Zdaniem Corwina nie było to konstruktywne podejście, powodowało jedynie nasilenie w ich rodzinie zbiorowej frustracji i poczucia bezsilności. Ro-

zumiał jednak swego brata na tyle, że wiedział, iż muszą pozwolić, by sam wybrał sposób, w jaki stawi czoło długiej i bolesnej drodze, która go czekała.

— Witaj, Justinie. — Corwin skinął na powitanie, podając bratu rękę nad biurkiem. — Dobrze wyglądasz. Jak się czujesz?

— Całkiem nieźle. Prawdopodobnie w tym momencie ty bardziej cierpisz z powodu syndromu Kobry niż ja.

Corwin przygryzł wargę.

— Widzę, że oglądałeś wczorajszą debatę w sieci pub/info?

— Tyle, ile wytrzymałem, czyli niewiele. — Justin prychnął z obrzydzeniem. — Czy Priesly na co dzień jest takim samym idiotą jak ten, którego robi z siebie publicznie?

— Wolałbym, żeby był. Bardzo bym się cieszył, gdyby on i cała reszta Jectów była tylko bandą idiotów, na jakich wyglądają. Wtedy od lat mielibyśmy ich w garści. — Corwin westchnął. — Niestety, Priesly jest cwany jak lis, a odkąd zrobił z Jectów prawdziwą siłę polityczną, wydaje mu się, że trzyma w ręku władzę zarówno w radzie, jak w zarządzie.

To sporo, jak na kogoś, kto uważa się za wyrzutka, i komu czasem nieco odbija.

— To prawda? — zapytał Justin. — Naprawdę utrzymuje równowagę sił?

Corwin wzruszył ramionami.

— Nie wiem — przyznał. — Jego banda straceńców usiłuje wywołać poważny kryzys, a żaden z syndyków ani gubernatorów nie wie, jak sobie z nimi poradzić. Jeśli Priesly zaproponuje im układ, dzięki któremu będą mogli go uciszyć... — Potrząsnął głową. — Niewykluczone, że na to pójdą.

— Ale Kobry wciąż są potrzebne — przerwał Justin dość ostro. — W zasadzie nawet bardziej niż kiedykolwiek. Teraz, kiedy Esquilina i inne Nowe Światy zaczęły rozwijać się jak szalone, będą potrzebne stałe oddziały Kobr, nie mówiąc o tym, że tu, na miejscu, niezbędne będą wierne jednostki na wypadek, gdyby jakaś grupa Troftów usiłowała na przykład...

— Spokojnie, bracie — przerwał Corwin, unosząc ręce. — Mnie nie musisz przekonywać, prawda?

— Przepraszam — burknął Justin. — Priesly i jego banda daje mi się we znaki. Że też nikt nie spostrzegł, że Jectowie to polityczna beczka prochu i wystarczy iskra... To powinno stać się jasne, kiedy tylko dowiedzieliśmy się o syndromie Kobry.

— Mądrość po szkodzie, co? — stwierdził sucho Corwin. — A co ty byś zrobił?

— Po pierwsze, dałbym Jectom zwykłe nanokomputery

— I zrobił z nich pełnowartościowe Kobry — mruknął Justin. — Teraz mają wzmocnione kości, ale ich komputery nie pozwalają im nawet skorzystać z serwomotorów. To całkowita strata czasu, energii i drogiego sprzętu.

Corwin uniósł brwi. Słyszał już tego typu opinie, ale nigdy od Justina.

— Chyba nie mówisz poważnie?

— Dlaczego nie? — odparł Justin. — No dobrze, powiedzmy, że w czasie treningów wykryliśmy pewne problemy natury psychologicznej, których nie wyłapały testy wstępne. Ale co z tego? Przeważnie były to nie znaczące drobiazgi, z czasem sami by sobie z nimi poradzili.

— A co z poważniejszymi przypadkami? — zapytał Corwin. — Naprawdę zaryzykowałbyś wpuszczenie miedzy ludzi Kobr, na których nie do końca można polegać?

— Poradzilibyśmy sobie z tym — stwierdził Justin z uporem. — Można by ich wysłać gdzieś daleko, na przykład na wieczne polowanie na kolczaste lamparty. A naprawdę trudne przypadki wysłałoby się na Caelianę. Jeśli nie poradziliby sobie ze swoimi problemami, to i tak wcześniej czy później zrobiliby coś głupiego i daliby się zabić.

— A jeśli nie byliby skłonni do współpracy? — zapytał Corwin. — A gdyby tak doszli do wniosku, że się ich porzuca, i postanowili się zemścić?

Justin stracił pewność siebie.

— No tak — westchnął. — I byłoby to samo co w przypadku Challinora.

Corwin poczuł mrowienie w plecach. Próba zdrady Torsa Challinora miała miejsce ponad pół wieku wcześniej, jeszcze kiedy Corwina nie było na świecie, ale wciąż pamiętał opowieści rodziców o tamtych czasach. Pamiętał je tak dokładnie, jakby sam w tych wydarzeniach uczestniczył. Dopilnował tego Jonny, tamten incydent bowiem wiele go nauczył, i nie chciał, aby ta wiedza się zmarnowała.

— To samo albo jeszcze coś gorszego — stwierdził trzeźwo. — Tym razem nie byłyby to tylko zwyczajne Kobry, zmuszone przez idiotyczną biurokrację do wzięcia spraw w swoje ręce, ale jednostki zwichrowane, i to w o wiele większej liczbie.

Wziął głęboki oddech, próbując odepchnąć wspomnienia.

— Zgoda, Priesly jest dokuczliwy, ale jako Ject może dążyć do władzy.

— Chyba masz rację — westchnął Justin. — Chodzi jednak o to, że... zresztą nieważne. Ale skoro już o tym rozmawiamy...

Sięgnąwszy do kieszeni tuniki, wydobył z niej kartę magnetyczną i rzucił ją na biurko.

— Oto nasze ostatnie propozycje dotyczące zlikwidowania niedopatrzeń we wstępnych testach psychologicznych. Pomyślałem, że mógłbym ci je pokazać, zanim dostanie je rada.

Corwin wziął kartę, starając się przybrać obojętny wyraz twarzy. W normalnych warunkach tego właśnie należałoby od Justina oczekiwać, i nikt nie mógłby mieć do niego o to pretensji. Ale sprawy w radzie i zarządzie nie toczyły się w obecnej chwili, jak powinny. Corwin już wiedział, co Priesly i jego wspólnicy będą mieli do powiedzenia na ten temat, jeszcze zanim te karty wpadną w ręce rady.

— Dzięki — odparł, kładąc kartę obok czytnika. — Chociaż nie wiem, czy będę miał czas je przejrzeć, nim reszta rady otrzyma swoje kopie.

Justin zmarszczył lekko brwi.

— Cóż, to i tak niestety niewiele zmieni. Proponujemy zmniejszyć odsetek odrzutów pooperacyjnych z siedmiu procent do czterech.

Corwin skinął głową.

— Właśnie tego się spodziewaliśmy. Nie ma szans na większą redukcję?

Justin potrząsnął głową.

— Psychologowie nie są nawet pewni, czy uda nam się utrzymać obecny stan. Rzecz w tym, że implantowanie ludziom sprzętu powoduje w nich czasem... zmiany.

— Wiem. Chyba jednak lepsze to niż nic.

Na chwilę zapadła cisza. Spojrzenie Corwina powędrowało za okno, ku szczytom wieżowców Capitalii. W ciągu dwudziestu sześciu lat jego samodzielnej działalności w labiryncie polityki Światów Kobr w mieście zaszły wielkie zmiany. W tym okresie zmieniły się także inne rzeczy i to znacznie bardziej. Spędzał ostatnio wiele czasu wyglądając przez to okno, próbował raz jeszcze odczuć emocje, jakie kiedyś wyzwalała w nim praca. Ale rzadko dawało to rezultaty. Gdzieś po drodze, wspierana prawdopodobnie przez złośliwą kampanię Priesly'ego, polityka Światów Kobr przyjęła twarde reguły, nie znane dotąd Corwinowi. Pod wieloma względami obrzydziło mu to całą zabawę, zmieniło zwycięstwa

i porażki w jednolitą gorzko-słodką masę i sprawiło, że bycie gubernatorem stało się formą walki, a nie okazją do popierania postępu na podległych mu światach.

Przypomniał mu się ojciec, któremu także na starość obrzydła polityka. Corwin coraz częściej rozmyślał o tym, by porzucić to wszystko i uciec na Esquilinę albo inny Nowy Świat.

Wiedział jednak, że nie może tego uczynić. Dopóki Jectowie, siejąc zamęt, zagrażali podstawom istnienia i bezpieczeństwa Światów Kobr, ktoś musiał zostać, by prowadzić walkę. Dawno już zrozumiał, że jest właśnie jednym z tych ludzi.

Po drugiej stronie biurka Justin poruszył się nieznacznie w fotelu, przerywając tok rozważań Corwina.

— Przypuszczam, że miałeś jakiś konkretny powód, by mnie tu zaprosić? — zapytał ostrożnie.

Corwin wziął głęboki oddech.

— Owszem, miałem. Trzy dni temu dowiedziałem się od koordynatora Maung Kha o podaniu, które Jin złożyła do akademii. Jego decyzja jest... — zawahał się, próbując powiedzieć to w miarę bezboleśnie.

— Zdecydowanie odmowna? — podpowiedział Justin.

Corwin poddał się.

— Nie miała szans — powiedział ostro, zmuszając się do spojrzenia bratu prosto w oczy.

Powinieneś był o tym wiedzieć wcześniej i nie pozwolić jej złożyć tego podania. Justin nawet nie drgnął.

— Więc uważasz, że nie warto próbować zmieniać, niesprawiedliwych zasad tylko dlatego, że są zasadami?

— Zastanów się, Justin, przecież to ty wykładasz w akademii. Wiesz, jak mocno zakorzenione są tam tradycje. A szczególnie tradycje wojskowe.

— Wiem także, że mają swoje źródła jeszcze w czasach Starego Dominium Ludzi — odparł Justin. — W innych dziedzinach nie przejmowaliśmy ich wzorów na ślepo, dlaczego więc mielibyśmy zrobić to w przypadku wojska?

Corwin westchnął. Odkąd najmłodsza córka Justina zdecydowała się pójść w ślady ojca, wielu członków rodziny Moreau przechodziło przez to wszystko setki razy w ten czy inny sposób. Jak poprzednio ojciec Justina... Corwin wiedział, że rodzina Moreau nie lekceważy tradycji.

Niestety, większość członków rady nie patrzyła na to w ten sposób.

— Tradycje wojskowe szczególnie trudno zmienić — powiedział. — Obaj o tym wiemy. To dlatego, że o wszystkim decydują tam tacy konserwatywni starcy jak ty.

Justin puścił ten żart mimo uszu.

— Ale Jin byłaby niezłą Kobrą, a może nawet znakomitą. To jest nie tylko moje zdanie. Zrobiłem jej standardowe testy eliminacyjne...

— Co zrobiłeś? — Corwin przerwał mu, wstrząśnięty. — Justin, do cholery, wiesz przecież, że te testy przeprowadza się na wyłączny użytek akademii.

— Proszę, daruj sobie wykład. Rzecz w tym, że zmieściła się w górnych pięciu procentach skali. Umysłowo i emocjonalnie jest lepiej przystosowana niż dziewięćdziesiąt pięć procent ludzi, których przyjęliśmy.

— Nawet jeżeli tak jest — westchnął Corwin — sedno sprawy tkwi w tym, że jest kobietą, a kobiety nigdy nie były Kobrami.

— Do tej pory nie były...

— Gubernatorze! — przerwał mu głos Theny MiGraw w interkomie. — Jakiś mężczyzna...

Za plecami Justina drzwi otworzyły się z hukiem i do gabinetu wpadł nieznajomy osobnik.

— Śmierć Kobrom! — krzyknął.

Corwin zastygł w bezruchu, zaskoczenie było tak wielkie, że sparaliżowało go na kilka sekund. Intruz zrobił kilka pośpiesznych kroków w ich stronę, wymachując rękoma i wykrzykując coś niezrozumiale. Kątem oka Corwin zauważył, że Justin wyskoczył ze swego fotela i obracając się na piętach przykucnął zwrócony twarzą do przybysza.

— Stój! — rozkazał. Ręce miał uniesione, lasery wszczepione w małe palce śledziły ruchy mężczyzny.

Ten nie zwrócił na niego uwagi.

— Kobry odbierają nam wolność! — krzyknął, robiąc jeszcze jeden krok w kierunku Corwina. — Muszą zostać zniszczone!

Prawą ręką zatoczył mu przed nosem szeroki łuk, po czym sięgnął do kieszeni tuniki.

Z wyprostowanych palców Justina wystrzeliły promienie światła i uderzyły prosto w pierś nieznajomego.

Krzyk mężczyzny przeszedł w charkot. Kolana ugięły się pod nim i upadł na podłogę.

Corwin z wysiłkiem otrząsnął się z paraliżującego bezruchu i nacisnął guzik interkomu.

— Thena! Wezwij ochronę i grupę ratunkową, szybko!

— Już wezwałam, panie gubernatorze.

Jej głos drżał ze zdenerwowania.

Justin podszedł do leżącego z boku i klęknął przy nim.

— Żyje? — zapytał Corwin, wstrzymując oddech, podczas gdy palce brata dotknęły szyi mężczyzny.

— Tak. Przynajmniej na razie. Nie wiesz, o co w tym wszystkim chodziło?

— Nie mam pojęcia. Niech się tym zajmie ochrona.

Corwin wziął głęboki oddech i powoli wypuszczał powietrze. — Dobrze, że tu byłeś. Dzięki.

— Nie ma sprawy. Zobaczmy, jaką miał broń...

Justin sięgnął do kieszeni rannego... jego twarz nabrała dziwnego wyrazu.

— Cholera — powiedział bardzo cicho.

— Co? — spytał Corwin, wstając.

Justin klęczał wciąż obok rannego i przyglądał mu się.

— Nie ma broni.

Rozdział 2

Cari Moreau z miną siedemnastoletniej męczennicy siedziała rozparta niedbale w fotelu.

— Daj spokój, Jin. Jeszcze raz?

Jasmine Moreau — w rodzinie, a także przez wszystkich, których udało się jej do tego nakłonić, zwana Jin — przyglądała się swej młodszej kuzynce z mieszaniną sympatii, cierpliwości, i zdecydowania.

— Jeszcze raz — stwierdziła twardo. — Chcesz chyba zdać ten egzamin?

Cari westchnęła teatralnie.

— No już dobrze, żandarmie. Misk'rhe'ha solf owp'smeaf, pierec'eay'kartoh...

— Wymawia się khartoh — przerwała Jin. — "Kh", nie "k". A początkowe "p" w pierec'eay 'khartoh jest aspirowane. Taka sama różnica jak pomiędzy "p" w wyrazie "pies" a w wyrazie "zapałka".

— Ja żadnej różnicy nie słyszę — stwierdziła Cari. — I mogę się założyć, że pani Halverson też nie.

— Ona może nie usłyszeć — zgodziła się Jin. — Ale jeśli kiedykolwiek będziesz miała zamiar rozmawiać z Troftami, to lepiej, żebyś robiła to poprawnie.

— A kto powiedział, że mam zamiar z nimi rozmawiać? — oburzyła się Cari. — Wszyscy Troftowie, z którymi mogę mieć do czynienia, będą znali anglicki.

— Nie możesz być tego pewna... — Jin potrząsnęła głową. — Handlowcy i reprezentanci domen akredytowani na światach będą znali, to pewne. Ale skąd wiesz, czy kiedyś nie spotkasz gdzieś w kosmosie jakichś Troftów, i nie okaże się, że oni także lekceważyli naukę obcych języków?

— Tobie to łatwo powiedzieć — prychnęła Cari. — To ty będziesz tam śmigać jako Kobra, nie ja. Oczywiście, że musisz znać języki obce, mowę Qasaman i wiele innych rzeczy.

Jin poczuła ucisk w gardle. Ze wszystkich krewnych tylko Cari odnosiła się z entuzjazmem do jej planów zostania Kobrą... i tylko ona zakładała, że jej się to

uda. Nawet ojciec miał co do tego wątpliwości. Jin pamiętała, że czasami jedynie długie, szczere rozmowy z Cari podtrzymywały przy życiu jej nadzieje i marzenia...

W tym momencie zdała sobie sprawę, że Cari sprawnie skierowała rozmowę na zupełnie inne tory.

— Nieważne, czego ja mogę potrzebować — burknęła, udając rozdrażnienie. — W tej chwili to ty masz się tego uczyć, bo to ty będziesz miała jutro sprawdzian. Powtórzmy jeszcze raz, i pamiętaj, że "p" w pierec'eay'khartoh podlega zmiękczeniu. Jeśli źle to wymówisz, rozmawiając z Troftem, to albo pęknie ze śmiechu, albo wyzwie cię na pojedynek.

Cari ożywiła się trochę.

— Dlaczego? Czy wymówione tak, jak ja to powiedziałam, oznacza coś nieprzyzwoitego?

— Nieważne — odparła Jin. Błąd był nieznaczny, ale nie miała zamiaru mówić o tym kuzynce. Pamiętała, jak trzy lata temu, kiedy sama miała siedemnaście lat, taka delikatna aluzja potrafiła i ją zmobilizować do nauki, a Cari najwyraźniej potrzebowała zachęty.

— Spróbujmy jeszcze raz — powiedziała. — Od początku.

Cari odetchnęła głęboko i zamknęła oczy.

— Misk'rhe...

W drugiej części pokoju odezwał się telefon.

— Odbiorę — oznajmiła Cari, z wyraźną ulgą podrywając się z fotela i biegnąc w stronę aparatu. — ...Halo?... Cześć, Fay. Jest Jin. — To twoja siostra...

Jin podeszła do Cari. Gdy stanęła o trzy kroki od ekranu telefonu, zauważyła wyraz twarzy Fay i pokonała pozostałą odległość dwoma szybkimi susami.

— Co się stało? — zapytała.

— Właśnie zadzwoniła Thena MiGraw z biura stryja Corwina — stwierdziła posępnie Fay. — Coś się tam wydarzyło kilka minut temu. Tata chyba do kogoś strzelał.

— Co zrobił? — zapytała Jin. — Zabił kogoś?

— Jeszcze nie wiadomo. Rannego przewieźli do szpitala, stryj i ojciec też tam są. Thena powiedziała, że zadzwoni jeszcze raz, jak się czegoś dowie.

Jin oblizała zaschnięte wargi.

— W którym szpitalu?

Fay potrząsnęła głową.

— Zaznaczyła wyraźnie, żeby tam nie jechać. Stryj Corwin powiedział, że nie chce, żeby ktokolwiek się tam kręcił, dopóki nie wyjaśnią całej sprawy.

Jin zacisnęła zęby. To było zrozumiałe, ale mimo wszystko nie musiało się jej podobać.

— Czy powiedziała, co z tatą? Podała jakieś szczegóły? Fay wzruszyła ramionami.

— Tata był chyba wstrząśnięty, ale myślę, że się trzyma. Jeśli nawet zna szczegóły, to Thena ich nie przekazała.

Nawet mimo otępienia, które ogarnęło jej umysł, Jin czuła się dumna. Oczywiście, że jej ojciec się trzymał.

Kobry, który przeżył obie qasamańskie misje, nie załamałoby coś takiego. Poza tym była gotowa założyć się o wielkie pieniądze, że cokolwiek się wydarzyło, zaszło z winy tamtego mężczyzny.

— Rozmawiałaś już z Gwen?

Fay potrząsnęła głową.

— Chciałam przedtem poznać więcej szczegółów. Ona ma już wystarczająco wiele na głowie. Nie chciałabym, żeby niepotrzebnie rzucała wszystko i przylatywała do nas.

— Niech ona zdecyduje, co jest potrzebne, a co nie — poradziła Jin. — Obronę pracy dyplomowej można w końcu przełożyć, a myślę, że byłoby jej przykro dowiedzieć się o wszystkim z sieci. A propos, jest już coś na ten temat?

— Tak wcześnie? Nie powinno. W każdym razie chciałam tylko, żebyś wiedziała, co się wydarzyło, i żebyś była w domu, kiedy przyjedzie tata.

— Tak, dzięki. — Jin kiwnęła głową. — Już jadę.

— Dobrze. Do zobaczenia.

Twarz Fay zniknęła z ekranu.

Cari, stojąca wciąż obok Jin, westchnęła głęboko.

— Lepiej zadzwonię do mamy i taty. Na pewno chcieliby o tym wiedzieć.

— Thena już to na pewno zrobiła — odparła Jin, ze wzrokiem utkwionym w zgaszonym ekranie telefonu.

Coś ją niepokoiło, jakieś złe przeczucie czaiło się w zakamarkach umysłu... wyciągnęła rękę i wystukała na klawiaturze telefonu kod łączności z główną siecią pub/info na Capitalii. Szukaj: Justin Moreau — brzmiało polecenie.

— Co robisz? — zapytała Cari. — Fay powiedziała, że jeszcze nic nie ma.

Jin zacisnęła zęby.

— Fay się myliła. Spójrz.

Rozdział 3

Na podjeździe do wielkiego budynku na planie kwadratu, usytuowanego tyłem do ulicy, o kilka przecznic od głównego centrum handlowego Capitalii, nie umieszczono żadnego znaku. Nie było takiej potrzeby. Mała tabliczka wisząca obok nieprzeszklonych drzwi wejściowych oznajmiała, że jest to Centrum Pamięci Kenneta MacDonalda. Przeciętnemu mieszkańcowi Capitalii niewiele to mówiło, jedynie dla Kobr mieszkających w mieście nazwisko to, podobnie jak sam budynek, miało jakiekolwiek znaczenie.

Drzwi były zamknięte, ale Jin znała kod. Łagodnie oświetlone sale centrum były w większości puste, co zauważyła, przechodząc cicho obok małej grupy Kobr siedzących dwójkami i trójkami. Wiedziała, że przychodzili tu coraz rzadziej, odkąd Priesly i jego wygadani Jectowie zaczęli mówić o "elitaryzmie Kobr". Spoglądając na puste stoły i krzesła, Jin wspominała czasy dzieciństwa. Spędzała tu długie godziny z ojcem i innymi Kobrami. Z ludźmi, którzy byli prawdziwymi bohaterami Światów Kobr.

Teraz ci sami ludzie unikali tego miejsca, aby nie drażnić Priesly'ego. Za samo to — pomyślała gorzko Jin — życzyła Jectom, żeby się potopili we własnej ślinie.

Znalazła ojca tam, gdzie się spodziewała: na dole, w sektorze ćwiczeń, zwanym przez Kobry Salą Niebezpieczeństw. Był sam.

Przez kilka minut spoglądała na niego z loży obserwatorów, wspominając dawne czasy. Ruchome zdalniaki sterowane przez komputer nie odznaczały się szczególną bystrością, ale było ich wiele i poruszały się szybko. Jako dziecko Jin wierzyła, że ich lasery są niebezpieczne, i pamiętała wciąż strach, jaki ją przejmował, kiedy przyglądała się ojcu, walczącemu z nimi w pojedynkę. W rzeczywistości, jak się przekonała później, lasery zdalniaków mogły zranić jedynie ambicję Kobry, ale mimo że o tym wiedziała, kiedy patrzyła na walkę, poziom adrenaliny w jej organizmie gwałtownie się podnosił.

W zasadzie nie była to prawdziwa walka. W każdym momencie przeciwko Justinowi wysyłano cztery do siedmiu robotów, strzelających na oślep, często nie zważając na własne bezpieczeństwo. Z Sali Niebezpieczeństw celowo usunięto

prawie wszystko, co mogłoby służyć za osłonę, toteż Kobra, który chciał przeżyć, musiał być bez przerwy w ruchu.

Justin nie zatrzymywał się nawet na chwilę. Zdaniem Jin ruszał się wspaniale. Jego sterowane komputerowo serwomotory pozwalały używać podłogi, ścian i sufitu jako punktów odbicia, a kiedy implantowane lasery sprzęgały się z optycznym systemem naprowadzania, z małych palców rąk prawie bez przerwy wystrzeliwały smugi światła, umożliwiając przeprowadzanie ataków z powietrza. Szyby w oknach loży obserwatorów drgały, wielokrotnie trafiane rykoszetami z broni sonicznej Justina. W pewnej chwili błyszczący promień wystrzelił z lasera przeciwpancernego lewej pięty, niszcząc upartego wroga, ukrytego za niską ścianą ochronną. Jin zacisnęła zęby, przykucnęła z dłońmi zaciśniętymi w pięści w postawie gotowości i patrzyła. Pewnego dnia — uświadomiła sobie jak przez mgłę — ja sama mogłabym tam być. Będę tam na pewno.

Nierówny pojedynek wreszcie się zakończył. Z pewnym zaskoczeniem Jin stwierdziła, że minęło niecałe pięć minut. Oddychając głęboko, strąciła kropelkę potu z czubka nosa i zastukała w okno.

Zaskoczony ojciec spojrzał w górę.

— Czy mogę zejść? — zapytała na migi.

— Oczywiście — odpowiedział w ten sam sposób. — Głównym wejściem.

Zeszła po schodach i gdy otworzyła ciężkie drzwi, miał już na szyi ręcznik, którym się wycierał.

— Hej, Jin — powiedział podchodząc, by ją uścisnąć. Jego twarz przybrała obojętny wyraz, jak zawsze kiedy starał się ukryć silne emocje. — A to niespodzianka.

— Godzinę temu dzwoniła Thena i powiedziała, że jesteś w drodze ze szpitala do domu — tłumaczyła. — Nie przyjechałeś, więc postanowiłam cię odnaleźć.

Chrząknął.

— Mam nadzieję, że nie szukałaś mnie po całej Capitalii.

— Oczywiście, że nie. Gdzie indziej mógłbyś być?

— Wracam do przeszłości? — Rozejrzał się po sali.

— Rozładowujesz napięcie — poprawiła go. — Przecież wiesz, że cię znam, tato.

Uśmiechnął się bez przekonania i maska, pod którą skrywał ból, opadła z jego twarzy.

— Masz rację, moja mała Jasmine — powiedział cicho. — Jak zawsze.

Położyła mu rękę na ramieniu.

— Niezły klops, co?

— Tak — pokiwał głową. — Jak się trzymacie?

— W porządku. Najważniejsze, jak ty się czujesz.

Wzruszył ramionami.

— Tak jak można by się spodziewać. Teraz, po tym, trochę lepiej — dodał, wskazując na Salę Niebezpieczeństw. — Co wam powiedziała Thena?

— Podała skróconą wersję wydarzeń. Co tam się stało, tato?

Przez chwilę patrzył jej w oczy, potem jego wzrok prześlizgnął się po sali.

— Była to największa głupota, jaką można było zrobić — westchnął. — Z mojej strony, oczywiście. Ten facet, Baram Monse, tak go zidentyfikowali w szpitalu, po prostu wpadł, zaczął krzyczeć i przeklinać. Miał coś przeciwko Kobrom. Próbowałem go ogłuszyć, ale był w ruchu, a ja obróciłem się zbyt wolno, żeby uruchomić broń soniczną. — Potrząsnął głową. — W każdym razie on sięgnął do kieszeni, a ja myślałem, że wyciągnie broń. Było za późno, żeby go obezwładnić... więc użyłem laserów.

Po drugiej stronie sali bocznym wejściem wtoczył się robot porządkowy i zaczął zbierać po jednym "zabite" zdalniaki.

— A on nie miał broni — zaryzykowała Jin.

— Właśnie — przytaknął Justin, z odrobiną goryczy w głosie. — Żadnego pistoletu, żadnego spryskiwacza, nie miał nawet splotrolki. Po prostu zwyczajny, nieszkodliwy, nie uzbrojony świr. A ja go zastrzeliłem.

Jin spojrzała na robota porządkowego.

— Czy to było ukartowane? — zapytała.

Kątem oka zauważyła zmarszczone brwi ojca.

— Co masz na myśli? — zapytał ostrożnie.

— Czy Monse próbował sprowokować ciebie albo stryja Corwina do ataku? Żeby potem można was było potępić? — Ponownie spojrzała mu w twarz. — Nie wiem, czy oglądałeś już wiadomości w sieci, ale praktycznie w momencie, w któ-

rym zabrali Monse'a do szpitala, runęła tam prawdziwa lawina oskarżeń. To nie była spontaniczna reakcja, ci ludzie mieli te teksty przygotowane.

Justin syknął przez zęby.

— Przyznaję, myślałem o tym. Ale nie wiesz jeszcze najważniejszego, Monse przeżyje, mimo że dostał prosto w pierś z dwóch laserów palcowych, nastawionych na poziom drugi. Spróbuj zgadnąć, jak mu się to udało?

Zmarszczyła brwi. Pancerz, to była oczywista odpowiedź... ale z tonu ojca jasno wynikało, że chodziło o coś bardziej interesującego. Monse potrzebował przecież jakiegoś zabezpieczenia. Na małą odległość, podwójny strzał z lasera na poziomie drugim wystarczał w zupełności do przecięcia żeber i zniszczenia płuc lub serca. Wystarczał, przy normalnych kościach...

— Ten sam powód, dla którego przeżył Winward? — zapytała niepewnie.

Justin przytaknął.

— Dokładnie.

Jin poczuła mrowienie w plecach. Michael Winward, trafiony w klatkę piersiową z broni palnej w czasie pierwszej misji na Qasamę dwadzieścia osiem lat wcześniej, przeżył ten atak wyłącznie dlatego, że kula zatrzymała się na ceramicznym wzmocnieniu pokrywającym kości piersi i żebra.

— Ject — wymamrotała. — Ten mały dupek, Monse, jest nędznym Jectem.

— Strzał w dziesiątkę — westchnął Justin. — Niestety, nie zmienia to faktu, że kiedy do niego strzelałem, nie był uzbrojony.

— Dlaczego nie? — oburzyła się Jin. — To znaczy, że miałam rację. Całe zajście było sfingowane, a za tym wszystkim stoi Priesly.

— Spokojnie, dziewczyno — powiedział Justin, kładąc jej ręce na ramionach. — To, co nam i Corwinowi wydaje się oczywiste, niekoniecznie da się udowodnić.

— Ale...

— I dopóki nie uda nam się udowodnić jakichkolwiek powiązań — kontynuował ostrzegawczym tonem — będzie lepiej, jeśli zachowasz te zarzuty dla siebie. Na tym etapie zaszkodziłyby bardziej nam niż Priesly'emu.

Jin zamknęła na chwilę oczy, powstrzymując pojawiające się nagle łzy.

— Ale dlaczego? Dlaczego on się na ciebie uwziął?

Justin stanął obok niej i objął ją mocno. Nawet kiedy dorosła, pozostała o kilka centymetrów niższa od niego.

Uważała, że to idealny wzrost, żeby przytulić się do jego ramienia.

— Priesly'emu nie chodzi konkretnie o mnie — westchnął Justin. — Wątpię, czy dotyczy to też Corwina, chociaż jest on dla Priesly'ego przeszkodą. Tak naprawdę chodzi mu o wyeliminowanie Kobr z ich światów.

Jin oblizała wargi i przytuliła się mocniej do ojca. Docierały do niej rozmaite pogłoski, spory, spekulacje... ale kiedy usłyszała to wypowiedziane w tak prosty, beznamiętny sposób przez kogoś, kto mógł znać prawdę, przeszył ją dreszcz.

— To szaleństwo — wyszeptała. — Całkowite szaleństwo. Jak on wyobraża sobie ekspansję na Esquilinie bez Kobr przecierających szlaki w tej dziczy? Na Esquilinie czy na innych Nowych Światach? Nie mówiąc o Pozostałości Caeliany. Co zrobi, rzuci ich peledarim i pozwoli, żeby zostali pożarci żywcem?

— Jin, jak będziesz starsza, spotkasz zadziwiająco wielu skądinąd inteligentnych ludzi — westchnął Justin — którzy wpadają w pułapkę jednotorowego myślenia, dążą wyłącznie do jednego celu i nigdy nie potrafią się od tego uwolnić. Caeliana jest tu idealnym przykładem. Ludzie, którzy jeszcze tam mieszkają, tak długo walczyli z tym szalonym ekosystemem, że nie potrafią przestać, wycofać się i zaakceptować przesiedlenia. Niektórzy Jectowie, nie wszyscy, oczywiście, myślą podobnie. Chcieli być Kobrami, bardzo chcieli, przynajmniej większość z nich, ale okazali się do tego niezdolni, z takich czy innych względów... i ich miłość zamieniła się w nienawiść. A nienawiść domaga się zemsty.

— Niezależnie od konsekwencji, jakie poniosą inne Światy Kobr?

Wzruszył ramionami.

— Najwyraźniej tak. Nie wiem, może niektórzy z nich naprawdę uważają, że zapotrzebowanie na Kobry się skończyło, że to, co potrafią Kobry, mogą równie dobrze robić normalni ludzie lub ludzie z udoskonalonymi egzoszkieletami za pomocą maszyn. Przyznam nawet, że niektóre z zarzutów Priesly'ego nie są całkiem bezpodstawne, może faktycznie staliśmy się zbyt elitarni.

Obok nich przejechał robot porządkowy, kierując się po następnego zdalniaka... Jin śledziła go wzrokiem, spojrzała na cel... gdzieś w zakamarkach umysłu jakaś synapsa zwarła połączenie i po raz pierwszy w życiu dziewczyna zdała sobie sprawę, czym tak naprawdę były te wszystkie wielkie maszyny, którym się przez tyle lat przyglądała.

— Mój Boże — szepnęła. — To są Troftowie. Te roboty mają wyglądać jak Troftowie.

— Nie wygłupiaj się — żachnął się Justin.

Ton jego głosu sprawił, że spojrzała na niego z uwagą. Wyraz twarzy pozostawał zimny, jak u pokerzysty... lub kogoś, kto wypiera się wszelkiej wiedzy o tajemnicy, której nie wolno mu zdradzić.

— Myślałam tylko... — zaczęła niezręcznie.

— Oczywiście, że to nie Troft — przerwał jej Justin. — Spójrz na kształt, rozmiary i sylwetkę. To przecież tylko ogólny cel ćwiczebny.

Ale kiedy popatrzyła na ojca, jego twarz stężała.

— Poza tym Troftowie są naszym partnerami handlowymi i politycznymi sojusznikami — dodał. — To nasi przyjaciele, nie wrogowie. Nie musimy umieć z nimi walczyć.

— Oczywiście, że nie — powiedziała, starając się dostosować to jego obojętnego tonu i usiłując jednocześnie zdążyć z odpowiedzią.

Nie, roboty z pewnością nie przypominały Troftów... ale kształty i rozmieszczenie celów były zbyt dokładne, by mogło być przypadkowe.

— Nikomu chyba nie trzeba przypominać, że byli niegdyś naszymi wrogami — mruknęła z odrobiną goryczy. — I że to Kobry zapobiegły wojnie.

Przytulił ją mocniej do siebie.

— Kobry pamiętają — powiedział cicho. — Troftowie też. To się naprawdę liczy... i dlatego znajdziemy sposób, żeby powstrzymać Priesly'ego i jego zwariowaną bandę. — Odetchnął głęboko. — Chodź, pojedziemy do domu.

Rozdział 4

Tamris Chandler, gubernator generalny Światów Kobr, zajął się polityką po pełnej sukcesów karierze prawniczej. Corwin zauważał nieraz na zebraniach rady i zarządu, że Chandler z chęcią wykorzystywał te nieliczne okazje do zabawy w oskarżyciela. Robił tak właśnie w tej chwili... tym razem jednak nie sprawiało mu to zbyt wielkiej przyjemności.

— Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę — powiedział, piorunując Corwina wzrokiem z ekranu telefonu — w jakie kłopoty wpakował nas wszystkich twój brat.

— Rozumiem naszą sytuację, panie gubernatorze — odpowiedział Corwin, starając się trzymać nerwy na wodzy. — Nie zgadzam się jednak z twierdzeniem, że wina leży po stronie Justina.

Chandler machnął ręką.

— Pomijając kwestię motywacji, to jednak strzelił do bezbronnego człowieka.

— Który włamał się do mojego biura i groził mi.

— Groził ci? — przerwał Chandler, unosząc brwi. — Czy mówił coś, co konkretnie dotyczyło ciebie?

Corwin westchnął.

— Nie, właściwie nie. Ale wypowiadał się w sposób bardzo gwałtowny przeciwko Kobrom, a moje pozytywne nastawienie do nich jest powszechnie znane. Może nie była to napaść, ale każdy sąd uzna, że miałem powody, by obawiać się o swoje bezpieczeństwo.

Chandler złościł się jeszcze przez chwilę. Potem skrzywił się i wzruszył ramionami.

— Ta sprawa nigdy nie trafi do sądu, obaj o tym wiemy. A tak między nami mówiąc, myślę, że twój scenariusz ma sens. Priesly ma cię na oku, odkąd dołączył do zarządu, a próba pogrążenia jednocześnie ciebie i Kobr jest dokładnie tym, czego bym się po nim spodziewał.

Corwin zacisnął zęby, powstrzymując ironiczną uwagę, która cisnęła mu się na usta. Wytykając Chandlerowi słabo skrywany podziw dla Priesly'ego, tego bękarta, poczułby się lepiej, ale za bardzo potrzebował poparcia generalnego gubernatora, by sobie na to pozwolić.

— Więc obaj zgadzamy się co do tego, że sprawa Monse'a była ukartowana — powiedział. — Rzecz w tym, co na to zarząd?

Oczy Chandlera uciekły od spojrzenia Corwina.

— Szczerze mówiąc, Moreau, nie jestem pewien, czy cokolwiek da się w tej sprawie zrobić — zaczął wolno. — Jeśli udowodnisz, nie oskarżysz, ale udowodnisz, że Monse wszedł tam i próbował sprowokować twojego brata do oddania strzału, i jeśli udowodnisz, że Priesly był w to zamieszany, będziemy mieli jakiś punkt zaczepienia. W innym wypadku...

Wzruszył ramionami.

— Obawiam się, że ma zbyt ugruntowaną pozycję, byśmy mogli rzucać na niego bezpodstawne oskarżenia. Słyszałeś, co jego ludzie mówią w sieci o twoim bracie. Gdybyśmy wystąpili przeciw Priesly'emu na tym etapie, obdarłby ze skóry nas wszystkich.

Innymi słowy, generalny gubernator miał zamiar po prostu zignorować tę bezczelną zagrywkę i w nadziei, że jego samego pozostawi w spokoju, pozwolić Priesly'emu ryzykować.

— Rozumiem — powiedział Corwin, nie próbując ukryć goryczy. — Jeśli uda mi się zdobyć jakieś dowody przed jutrzejszą naradą zarządu, będę mógł liczyć na większe poparcie z pana strony?

— Oczywiście — odpowiedział natychmiast Chandler. — Ale miej na uwadze, że niezależnie od tego, co się wydarzy, nie będziemy poświęcać temu incydentowi zbyt wiele czasu. Mamy ważniejsze sprawy do omówienia.

Corwin odetchnął głęboko. Oznaczało to: zrobi, co będzie mógł, by skrócić tyradę Priesly'ego do minimum. To lepsze niż nic.

— Zrozumiano, Moreau? W takim razie, jeśli to wszystko...

— Tak, panie gubernatorze. Dobranoc.

Ekran zgasł. Corwin rozparł się w fotelu, rozciągając obolałe z napięcia i zmęczenia mięśnie. To wszystko. Rozmawiał już ze wszystkimi członkami zarządu, których w tej sprawie miał szansę przeciągnąć na swoją stronę. Czy powinien teraz spróbować w radzie, wśród syndyków niższej rangi? Spojrzał na zegarek i

stwierdził z pewnym zaskoczeniem, że już po dziesiątej. Zdecydowanie za późno, by do kogokolwiek dzwonić. Nic dziwnego, że Chandler był nieco oschły.

Spojrzał w bok, gdyż jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. Thena MiGraw postawiła przed nim na biurku filiżankę parującej kahve.

— Kończysz już na dziś?

— Nie wiem, ale ty już powinnaś — powiedział zmęczonym głosem. — Wydaje mi się, że już kilka godzin temu mówiłem, żebyś poszła do domu.

Wzruszyła ramionami.

— I tak miałam do zrobienia papierkową robotę — wyjaśniła, siadając zgrabnie w fotelu stojącym przy narożniku biurka.

— Pewnie myślałaś, że mogę potrzebować moralnego wsparcia?

— Tego też, ale przede wszystkim pomocy przy odbieraniu paru wariackich telefonów — powiedziała. — Widzę jednak, że nie było to konieczne.

Corwin uniósł filiżankę, delektując się przez moment delikatnym aromatem kahve.

— Nazwisko Moreau od dawna znaczy wiele na Aventinie — przypomniał jej, upiwszy łyk. — Może nawet bardziej drapieżni dziennikarze zrozumieli, że ta rodzina zasłużyła na odrobinę szacunku.

— I na trochę odpoczynku? — dodała cicho Thena.

Corwin przyjrzał się jej, śledząc wzrokiem delikatne rysy i szczupłą figurę. Melancholijne poczucie straty ukłuło go w serce. Ostatnimi czasy miewał to uczucie coraz częściej. Powinienem był się z nią ożenić — pomyślał zmęczony. — Powinienem był założyć rodzinę.

Z wysiłkiem odrzucił tę myśl. Za jego decyzją, podjętą wiele lat temu, przemawiały ważkie powody, i w tej kwestii nic się nie zmieniło. Wieloletnie zaangażowanie ojca w politykę Światów Kobr omal nie zniszczyło matki, toteż Corwin przyrzekł sobie, że on sam nigdy nie uczyni czegoś podobnego drugiemu człowiekowi. Nawet gdyby znalazł kobietę, która zgodziłaby się na takie życie...

Ponownie zmusił się do zejścia z tej wydeptanej i prowadzącej donikąd ścieżki myślenia.

— Moreau nie słyną z tego, że odpoczywają, kiedy jest coś do zrobienia — przypomniał. — Poza tym, mogę odpocząć w przyszłym roku. Ty natomiast powinnaś jechać do domu.

— Może za chwilę. — Thena skinęła w stronę telefonu. — Jak poszły rozmowy?

— Mniej więcej tak, jak się można było spodziewać. Nikt nie jest pewien, co z tym zrobić, przynajmniej od strony praktycznej. Wydaje mi się, że na razie będą siedzieć cicho i czekać na nowe informacje.

— Jutro dają Priesly'emu możliwość przedstawienia jego wersji wydarzeń — prychnęła. — Dziwnie trafny wybór chwili. To wszystko dzieje się akurat przed zgromadzeniem zarządu.

Corwin pokiwał głową.

— Tak, sam to zauważyłem. Inni gubernatorzy na pewno także. Niestety, fakt ten nie liczy się jako dowód.

— Chyba że wykorzystasz to do odnalezienia nici łączącej... — Przerwała, przekrzywiając głowę i nasłuchując. — Ktoś pukał?

Corwin pochylił się i przerzucił na interkom obraz z kamery umieszczonej na korytarzu.

— Jeśli to jakiś dziennikarz... — zaczęła złowieszczo Thena.

— To Jin — westchnął Corwin.

Włączył interkom i odblokował drzwi. Była ostatnią osobą, z którą chciał teraz rozmawiać...

— Drzwi są otwarte, Jin, wchodź.

— Chcesz, żebym wyszła? — zapytała Thena, kiedy wyłączył interkom.

— W zasadzie nie — przyznał — ale chyba tak będzie lepiej.

Thena uśmiechnęła się lekko i wstała.

— Rozumiem. Gdybyś mnie potrzebował, będę w sekretariacie.

Dotknąwszy jego ramienia, skierowała się w stronę drzwi.

— Stryju Corwinie?

— Wejdź! — zawołał Corwin, machając do dziewczyny, nie, teraz już młodej kobiety, stojącej w drzwiach.

Jin weszła. Thenie, która minęła ją w drzwiach, skinęła ręką na powitanie.

— Usiądź — poprosił Corwin, wskazując na fotel, na którym przed chwilą siedziała Thena. — Jak się ma tata?

— Tak jak można się spodziewać — powiedziała Jin, zagłębiając się w fotelu. — Odwiedził nas stryj Joshua i długo rozmawiali z tatą o problemach, jakie nasza rodzina miała w przeszłości.

Corwin kiwnął głową.

— Pamiętam te podróże w krainę wspomnień. Niemiło się tego słucha, prawda?

Jin zacisnęła usta.

— Troszeczkę.

— Postaraj się tym nie przejmować. To jeden ze sposobów, którym się posługujemy, żeby sobie przypomnieć, że przeważnie wszystko w końcu dobrze się układa.

Jin odetchnęła głęboko.

— Tata powiedział, że moje podanie o przyjęcie do Akademii Kobr zostało odrzucone.

Szczęki Corwina zacisnęły się. Z trudem panował nad sobą.

— Czy powiedział ci dlaczego? — zapytał. Potrząsnęła głową.

— W zasadzie nie rozmawialiśmy o tym, miał inne rzeczy na głowie. Między innymi dlatego przyszłam się z tobą zobaczyć.

— Tak... Mówiąc bez ogródek, zostałaś odrzucona, ponieważ jesteś kobietą.

Tak naprawdę nie spodziewał się, że będzie tym zaskoczona, i nie była.

— To jest bezprawie, wiesz o tym — powiedziała spokojnie. — Przestudiowałam statut akademii, oficjalną deklarację programową, a nawet oryginalne dokumenty Dominium Ludzi. Nie ma w nich nic, co by jednoznacznie wykluczało kobiety z szeregów Kobr.

— Oczywiście, że nie ma — westchnął. — Nikt też nie zabrania kobietom być gubernatorami, ale zauważ, że niewielu udaje się dostać na to stanowisko. To kwestia tradycji.

— Jakiej tradycji? — zaoponowała Jin. — Żadna z tych niepisanych zasad nie powstała w Światach Kobr. Odziedziczyliśmy je po Starym Dominium Ludzi.

— Ale potrzeba czasu, by to zmienić. Musisz pamiętać o wpływach, jakie miało Stare Dominium. Od tamtych czasów minęły dopiero dwa pokolenia.

— Wystarczyło mniej niż jedno pokolenie, żeby dać Kobrom podwójny głos w wyborach — przypomniała.

— To co innego. Próba rewolty Torsa Challinora wymusiła natychmiastowe polityczne uznanie fizycznej siły Kobr. Twój przypadek nie jest niestety aż tak naglący.

Przez długą chwile Jin tylko patrzyła na niego.

— Nie będziesz próbował walczyć w mojej sprawie w radzie, prawda? — zapytała w końcu.

Rozłożył ręce w geście bezradności.

— To nie jest sprawa walki, Jin. Cały ciężar historii wojskowości jest przeciwko tobie. Jako zasadę przyjęto nieprzyjmowanie kobiet do sił specjalnych. W każdym razie do oficjalnych oddziałów wojskowych — poprawił się. — Zawsze były buntowniczki, dziewczyny służące w oddziałach partyzanckich, ale nie sądzę, żeby ten argument przekonał radę czy akademię.

— Masz przecież duże wpływy. Samo nazwisko Moreau...

— Może ma jeszcze jakieś znaczenie dla mieszkańców Aventiny — mruknął — ale jego magia nie działa na wyższe szczeble dowództwa. Zawsze tak było. Twój dziadek był postacią bardziej popularną ode mnie, ale nawet wtedy musieliśmy walczyć, starać się zachować i wykorzystać to, co zdobyliśmy.

Jin oblizała wargi.

— Stryju Corwinie... ja muszę się dostać do akademii. Muszę. To dla ojca ostatnia szansa, by ktoś z rodziny kontynuował tradycję Kobr. Teraz jest mu to potrzebne bardziej niż kiedykolwiek.

Corwin zamknął na chwilę oczy.

— Posłuchaj, Jin... wiem, jak wiele ta tradycja znaczy dla Justina. Za każdym razem, kiedy rodziła się któraś z was... — Przerwał. — Rzecz w tym, że wszechświat nie zawsze wygląda tak, jak byśmy tego chcieli. Gdyby twoi rodzice mieli syna...

— Ale nie mieli — przerwała Jin z gwałtownością, która go zaskoczyła. — Nie mieli. Mamy już nie ma, a ja jestem ostatnią szansą taty. Ostatnią szansą, nie rozumiesz?

— Jin... — Corwin zamilkł, bezskutecznie szukając czegoś, co mógłby powiedzieć... z wahaniem przyjrzał się siedzącej przed nim młodej kobiecie.

Z rysów i mimiki bardzo przypominała Justina. A kiedy wspominał dwadzieścia lat, które minęły od jej narodzin, odnajdywał w jej zachowaniu i osobowości coraz więcej cech ojca. Ile z tego — pomyślał mimochodem — zależało tylko od genów, a ile było spowodowane faktem, że Justin sam wychowywał Jin, odkąd

skończyła dziewięć lat? Myśl o Justinie wywołała serię obrazów zmieniających się przed jego oczami jak w kalejdoskopie: Justin zaraz po ukończeniu akademii, rozentuzjazmowany nadchodzącą misją na całkowicie wtedy nie znaną Qasamę, nieco starszy i rozważniejszy Justin na swym ślubie z Aimee Partae, opowiadający Corwinowi i Joshui o synu, którego będzie miał i który podtrzyma tradycję Kobr w rodzinie Moreau, Justin i jego córki, piętnaście lat później, na pogrzebie Aimee...

Z wysiłkiem skierował swe myśli ku teraźniejszości. Jin wciąż siedziała przed nim. Jej twarz wyrażała siłę i stanowczość, a zarazem opanowanie rzadko spotykane u dwudziestolatków. Były to jedne z cech najchętniej widziane u kandydatów na Kobry — błysnęło mu w głowie...

— Posłuchaj, Jin — westchnął. — Najprawdopodobniej nie jestem w stanie zrobić nic, co by wpłynęło na decyzję akademii. Ale... będę się starał.

Cień uśmiechu przeleciał po twarzy Jin.

— Dziękuję — powiedziała cicho. — Nie prosiłabym cię o to, gdyby nie chodziło o tatę. Spojrzał jej prosto w oczy.

— Prosiłabyś — stwierdził. — Nie próbuj oszukać starego polityka, dziewczyno.

Miała na tyle przyzwoitości, by się zaczerwienić.

— Masz rację — przyznała. — Chcę być Kobrą, stryju Corwinie. Chcę tego bardziej, niż czegokolwiek w życiu pragnęłam.

— Wiem — stwierdził miękko. — No, lepiej, żebyś już pojechała do domu. Powiedz ojcu... pozdrów go tylko i powiedz, że będę w tej sprawie w kontakcie.

— Dobrze. Dobranoc... i dziękuję ci.

— Nie ma za co.

Wyszła. Corwin westchnął. Typowy problem z gatunku "jajko czy kura?" — pomyślał. — Co jest dla niej ważniejsze: pragnienie zostania Kobrą czy miłość do ojca?

Ale czy tak naprawdę stanowiło to jakąkolwiek różnicę?

W drzwiach ponownie pojawiła się Thena.

— Wszystko w porządku? — zapytała.

— Oczywiście — burknął. — Właśnie obiecałem przebić głową mur, to wszystko. Że też zawsze muszę się wpakować w takie sytuacje!

Uśmiechnęła się.

— Pewnie dlatego, że kochasz swoją rodzinę.

Dla zasady spróbował spojrzeć na nią ostro, ale wymagało do zbyt dużego wysiłku.

— Pewnie masz rację — przyznał, odwzajemniając uśmiech. — No już, zmiataj stąd.

— Jeśli jesteś pewien...?

— Jestem pewien. Zostanę jeszcze tylko kilka minut.

— Dobrze. Do zobaczenia rano.

Zaczekał, aż zamknęła za sobą zewnętrzne drzwi. Potem z westchnieniem obrócił się do czytnika, wystukując kod rządowej sieci informacyjnej i swojego własnego programu korelującego. Gdzieś musiało istnieć jakieś powiązanie pomiędzy Baramem Monsem i gubernatorem Harperem Prieslym.

Miał zamiar je odkryć.

Rozdział 5

Narada zarządu rozpoczęła się punktualnie o dziesiątej następnego ranka... i przebiegała tak źle, jak się tego Corwin spodziewał.

Priesly był w dobrej formie, a jego wystąpienie krótkie i przez to jeszcze bardziej efektowne. Mniej uzdolniony polityk mógłby przesadzić i znudzić swych słuchaczy, ale Priesly z łatwością uniknął tej pułapki. Przed całą radą, gdzie sama liczba członków zachęcała do manipulowania emocjonalno-politycznymi nastrojami, dłuższe przemówienia często bywały skuteczne. Przed dziewięcioosobowym zarządem takie posunięcie groziło pewnym niebezpieczeństwem, nie mówiąc o tym, że czasem można było wypaść po prostu głupio. Ale Corwin miał nadzieję, że Priesly mimo wszystko spróbuje i tym sposobem sam założy sobie pętlę na szyję.

Powinien był znać go lepiej.

— ...i w związku z powyższym uważam, że to zgromadzenie ma obowiązek ponownie przestudiować całą kwestię elitaryzmu, którego przykładem są Kobry i ich akademia. Nie tylko dla dobra mieszkańców Aventiny i innych światów, ale także dla samych Kobr. I to zanim ponownie wydarzy się podobna tragedia. Dziękuję — zakończył Priesly.

Usiadł.

Corwin rozejrzał się dookoła, rejestrując wyrazy twarzy zebranych. Czuł niepokój, który ostatnio gnębił go coraz częściej. Wpadali w rutynę: Rolf Atterberry z Palatiny stał mocno po stronie Priesly'ego, a Fenris Yartanson z Caeliany, sam będący Kobrą, i gubernator honorowy Lizabet Telek nastawieni równie mocno przeciw Priesly'emu. Reszta lawirowała, niechętna do konkretnego opowiedzenia się za kimkolwiek.

Siedzący u szczytu stołu generalny gubernator Chandler odchrząknął.

— Panie Moreau, pańska replika?

Innymi słowy, czy Corwin odkrył jakieś powiązanie między Prieslym i Monsem.

— Nic konkretnego, panie gubernatorze — odpowiedział wstając. — Chciałbym jednak przypomnieć członkom zgromadzenia zeznania, które Justin i ja złożyliśmy wcześniej do protokołu... a także zwrócić uwagę, że mój brat wypowiadał się wielokrotnie w tym miejscu jako instruktor Akademii Kobr. Nadmienię, iż jest to stanowisko wymagające od niego poddawania się częstym testom psychologicznym, fizycznym i emocjonalnym.

— Chciałbym tu dodać — gładko wtrącił Priesly — iż nie mam nic do zarzucenia Kobrze Justinowi Moreau. Zgadzam się z gubernatorem Moreau, że jest on wybitnym i całkowicie stabilnym członkiem aventińskiej społeczności. Niepokoi mnie tylko fakt, iż człowiek, będący tak znakomitym przykładem skuteczności działania testów wstępnych akademii, był mimo wszystko w stanie zaatakować bezbronnego człowieka.

Chandler odchrząknął.

— Panie Moreau...?

— Nie mam nic do dodania — powiedział Corwin i ponownie usiadł.

Wiedział, że Priesly zaryzykował, przerywając mu i że przy z odrobinie szczęścia zadziała to na korzyść Corwina. Siła jego argumentów, jakkolwiek poważnych, znaczyła niewiele w porównaniu z efektem, jaki Priesly i Monse chcieli osiągnąć. Gdyby Monse'owi udało się wywołać odruchy bojowe zaprogramowane w nanokomputerze Justina, Priesly dostałby do ręki o wiele silniejszą broń, którą mógłby wymachiwać przed zarządem i całym społeczeństwem.

Po przeciwnej stronie stołu poruszył się Ezer Gavin.

— Chciałbym zapytać, panie Chandler, jaki jest w tym momencie status Kobry Moreau? Przypuszczam, że został zawieszony w obowiązkach w akademii?

— Tak — potwierdził Chandler. — Trwa dochodzenie, chciałbym dodać, że na tym etapie skupia się ono raczej na panu Monse.

Corwin zerknął na Priesly'ego, nie zauważył jednak jakiejkolwiek reakcji. Nic dziwnego, wiedział już, że cokolwiek łączyło Priesly'ego z Monsem, musiało pozostawać w tajemnicy.

— Chciałabym zauważyć, jeśli wolno, że robimy wielkie zamieszanie, nie tylko tu, podczas zebrania, ale także we wszystkich sieciach — odezwała się Lizabet Telek zniecierpliwionym tonem i zerknęła na Priesly'ego. — Tymczasem Monse nie został ani zabity, ani nawet ciężko ranny.

— Gdyby nie ceramicznie wzmocnione kości, byłby martwy — wtrącił Atterberry.

— Gdyby nie wtargnął do biura, nic by się w ogóle nie stało — odparowała Telek. — Panie generalny gubernatorze, czy moglibyśmy przejść do innego tematu? Niedobrze mi się już robi od tej dyskusji.

— Tak się składa, że mamy na dziś inny, o wiele ważniejszy temat do omówienia — przytaknął Chandler. — Wszelka dyskusja w sprawie Monse'a zostaje odłożona do momentu zakończenia dochodzenia... a teraz...

Nacisnął przycisk obok czytnika. W chwilę później drzwi po przeciwnej stronie otworzyły się i umundurowany Kobra wprowadził do sali chudą postać o wyglądzie naukowca.

— Pan Pash Barynson, z Centrum Nadzoru Qasamy. — przedstawił przybysza Chandler. Mężczyzna podszedł do fotela gościnnego znajdującego się po lewej ręce generalnego gubernatora. — Jest tu z nami, aby przedstawić pewne niepokojące sygnały, które mogą, lecz nie muszą świadczyć o... Oddaję panu głos, panie Barynson.

— Dziękuję, gubernatorze Chandler — odparł Barynson kiwając głową. Położywszy na stole garść kart magnetycznych, wziął jedną i umieścił w swoim czytniku. — Panowie gubernatorzy, pani gubernator — zaczął, rozglądając się po sali. — Przyznaję od razu, że czuję się nieco... powiedzmy, niezręcznie, przebywając w tym miejscu. Jak już wspomniał pan Chandler, znaleźliśmy ślady pewnych niepokojących zależności pojawiających się na Qasamie. Co te zależności tak naprawdę oznaczają i czy w ogóle istnieją, to pytania, na które wciąż nie znamy odpowiedzi.

To zupełnie jasne — pomyślał Corwin. Zerknął na Telek i ujrzał grymas niechęci malujący się na jej twarzy. Wiedział, że jako były członek akademii miała jeszcze mniej cierpliwości do kwiecistych wstępów niż on sam.

— Proszę wyjaśnić, a my osądzimy — zachęciła.

Chandler zmarszczył brwi, ale Barynson nie sprawiał wrażenia urażonego.

— Oczywiście, pani gubernator — przytaknął. — Po pierwsze, ponieważ nie wszyscy znają tło sprawy — zerknął na Priesly'ego — chciałbym pokrótce przedstawić podstawowe zagadnienia. Jak większość z państwa wie, w roku 2454 rada zdecydowała o umieszczeniu sześciu satelitów szpiegowskich na wysokiej orbicie wokół planety Qasama w celu nadzorowania rozwoju technologicznego i społecznego po wprowadzeniu do tamtejszego ekosystemu aventińskich kolczastych lampartów. Po dwudziestu latach program ten odniósł jedynie niewielki sukces. Zauważyliśmy, że sieć osad rozszerzyła się poza tak zwany Urodzajny Półksiężyc, co wskazuje na to, że kulturowa paranoja Qasaman nieco

osłabła lub że przestali chronić przed przechwyceniem informacje podawane przez ich łączność dalekiego zasięgu. Znaleźliśmy dowody świadczące o pewnych ulepszeniach wprowadzonych w ich samolotach i pojazdach naziemnych, a także o wielu drobnych zmianach, o których dostawali państwo pełne raporty w ciągu ostatnich lat. Jak dotąd nic nie wskazuje na to, by stopień zagrożenia Światów Kobr ze strony Qasaman się zwiększył.

Odchrząknął i nacisnął guzik.

Na czytniku Corwina ukazało się około pięćdziesięciu dat i godzin. Pierwsze określały czas sprzed prawie trzydziestu miesięcy, ostatnie — sprzed zaledwie trzech tygodni, a wszystko opatrzono nagłówkiem "Awarie satelitów". Zaledwie pobieżny rzut oka wystarczał, by stwierdzić, że podczas każdej awarii uszkodzone satelity traciły od trzech do dwunastu godzin zapisu.

— Jak państwo widzą — kontynuował Barynson — w ciągu ostatnich trzydziestu miesięcy straciliśmy około czterystu godzin danych z różnych rejonów Qasamy. Do niedawna nie zwracaliśmy na to zbyt wielkiej uwagi...

— Dlaczego? — przerwał Urbanie Bailar ze świeżo skolonizowanego świata Esquiliny. — Wydawało mi się, że głównym zadaniem waszego Centrum Nadzoru jest ciągła obserwacja planety. Nie wiedziałem, że dwunastogodzinne przerwy określa się jako ciągłość.

— Rozumiem pański niepokój — powiedział uspokajająco Barynson — ale zapewniam pana, że Esquilina nie była i nie jest w żaden sposób zagrożona. Nawet gdyby Qasamanie znali położenie pańskiego świata, a nie znają go, nie byliby w stanie stworzyć floty bojowej bez naszej wiedzy. Proszę pamiętać, że stracili wszelką zdolność do lotów międzygwiezdnych wkrótce po przybyciu na swoją planetę. Musieliby zaczynać od punktu wyjścia. — Corwin nie zdążył odczytać wyrazu, który nagle pojawił się w oczach uczonego, bo to coś zniknęło zbyt szybko. — Nie, nikt z nas nie jest bezpośrednio zagrożony ze strony Qasaman, tego jesteśmy pewni.

— Ja, na przykład, nie wiem, po co ten cały hałas — parsknął Atterberry. — Nawet urządzenia samonaprawiające, takie jak satelity, mają prawo psuć się od czasu do czasu, prawda?

— Owszem, ale nie tak często — wtrącił gubernator honorowy David Nguyen.

— W zasadzie obaj panowie macie rację — skinął głową Barynson. — Dlatego właśnie nie zwracaliśmy na te przerwy szczególnej uwagi. Jednak tydzień temu jeden z naszych ludzi spróbował, wiedziony przeczuciem, zbadać współza-

leżności lokacyjne i wektorowe uszkodzonych satelitów. Okazało się... proszę, sami państwo zobaczcie — powiedział, naciskając kilka kolejnych klawiszy.

Na czytniku Corwina ukazała się mapa Urodzajnego Półksiężyca, tego regionu Qasamy, w którym mieszkali w zasadzie wszyscy ludzie żyjący na tej planecie. Na krajobraz nałożone były kolorowe strzałki i owalne pola.

— Interesujące — mruknęła Telek. — W ilu obserwowanych punktach tego samego kawałka zachodniego ramienia Półksiężyca pojawiają się przerwy w obrazach?

— W trzydziestu siedmiu z pięćdziesięciu dwóch obserwowanych — powiedział Barynson. — Pozostałe, oprócz dwóch...

— Włącz obraz terenu bezpośrednio na wschód od tego rejonu — przerwał Priesly.

Corwin poczuł ciarki na plecach.

— Masz jakieś powiększenia z tego miejsca? — zapytał.

Mapę zastąpiło nieco ziarniste zdjęcie.

— To zostało zrobione trzy lata temu, przed tą plagą usterek — powiedział Barynson. — Ci z państwa, którzy znają krajobraz Qasamy, wiedzą, że miasto na lewo od środka to Azras, a to na pomocny wschód od niego to Purma.

Corwin spojrzał mimowolnie na Telek, odnajdując jej spojrzenie. Purma — miasto, w którym Qasamanie wyłazili ze skóry, usiłując zabić trzech członków pierwszej misji szpiegowskiej Telek... jednym z nich był Justin.

— Tu natomiast — pojawiło się następne zdjęcie — widzimy ten sam obszar, na podstawie danych satelitarnych sprzed dwóch tygodni.

W Azras i Purmie w zasadzie nic się nie zmieniło. Ale na środku ekranu...

— Co to jest, tam w środku? — zapytał Gavin.

— Wygląda na duży ogrodzony teren, obozowisko czy coś w tym rodzaju. — Barynson odetchnął głęboko. — Wszystko wskazuje na to, że nie jest otoczone typowym qasamańskim murem obronnym, ale jest całkowicie osłonięte od góry.

Ochrona przed obserwacją powietrzną...

— A te obszary po obu stronach? — zapytał Corwin.

— Te mogły zostać wyłączone przez przypadek — powiedział ostrożnie Barynson. — Ale jeśli nie... Naszym zdaniem znaczący jest fakt, że kierunek wschodni, zgodny z ruchem obrotowym planety, jest oczywistym kierunkiem przy próbach wystrzeliwania dużych rakiet dalekiego zasięgu.

Zapadła długa cisza.

— Chce nam pan powiedzieć — odezwał się w końcu

Bailar — że ten zakryty teren to centrum qasamańskiej bazy rakietowej?

Barynson pokiwał ponuro głową.

— Jest wysoce prawdopodobne, że Qasamanie usiłują ponownie odkryć technologię lotów kosmicznych. I być może im się to udaje.

Przez dłuższą chwilę w sali panowała cisza. W końcu przerwał ją Atterberry.

— No — mruknął — to byłoby na tyle.

— Co to znaczy "na tyle"? — burknęła Telek.

— Na tyle, jeśli chodzi o próbę powstrzymania rozwoju Qasaman — wyjaśnił Atterberry. — O próbę rozbicia współpracy między społecznościami poprzez odciągnięcie mojoków od ludzi i skierowanie ich ku kolczastym lampartom. Innymi słowy, o całą Propozycję Moreau.

— A kto twierdzi, że się nie powiódł? — wtrącił Corwin, nie próbując nawet ukryć irytacji. On i jego rodzina napracowali się jak licho przy tym projekcie... a przy okazji uratowali Światy Kobr od długiej, kosztownej i być może przegranej wojny. — Zajmujemy się tu jedynie wyciąganiem wniosków z założenia opartego na wątpliwych danych. Przy podziemnym systemie łączności Qasaman nie możemy tak naprawdę wiedzieć, co się tam dzieje.

— W porządku — parsknął Atterberry. — Posłuchajmy, co pan ma do powiedzenia na temat tej bazy.

— Może mieć setki zastosowań — odparował Corwin — a dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich nie będzie miało nic wspólnego z ekspansją w kosmos.

— Może to być na przykład nowy ośrodek próbny pocisków powietrze-powietrze, które i tak już mają — powiedziała Telek — albo dla pocisków dalekiego zasięgu, których użyją w wojnie wewnątrzplanetarnej.

Chandler odchrząknął.

— Cokolwiek tam robią, faktem pozostaje, że jeśli doktor Barynson i jego koledzy nie mylą się co do usterek satelitów, mamy do czynienia z poważnym zagrożeniem. Czy słusznie zakładam, że satelity tego rodzaju nie tak łatwo zniszczyć?

— W sposób, który uniemożliwiłby nam wykrycie celowego uszkodzenia? — Barynson pokręcił głową. — Zdecydowanie nie. Między innymi dlatego tak dużo czasu zajęło nam wytropienie zależności w występowaniu awarii. Nie

stwierdziliśmy żadnych oczywistych, fizycznych uszkodzeń, więc nie było powodu przypuszczać, że to Qasamanie są za nie odpowiedzialni.

— A czy ustaliliśmy, że to oni są odpowiedzialni? — odezwał się Yartanson. — Nie przedstawił nam pan, doktorze, jeszcze mechanizmu działania tego rzekomego sabotażu i dopóki pan tego nie uczyni, nie widzę możliwości traktowania tego inaczej niż rzeczywiście dziwny zbieg okoliczności.

Barynson podrapał się po policzku.

— Mamy taki sam dylemat, panie gubernatorze — przyznał. — Jak już powiedziałem, w żadnym satelicie nie stwierdzono oczywistych, fizycznych uszkodzeń. Sprawdziliśmy też inne możliwości, na przykład użycie laserów wielkiej mocy do oślepienia obiektywów z powierzchni planety, ale jak dotąd żadna z symulacji nie wykazała możliwości spowodowania takiego typu uszkodzeń.

— A może promieniowanie jonizujące? — upierał się Yartanson. — Niekoniecznie z samej Qasamy.

— Wybuchy słoneczne? — Barynson wzruszył ramionami. — Oczywiście, jest to jedna z możliwości. Lecz jeśli przyjmiemy, że były to przypadkowe wybuchy czy ruchy jonosfery, wciąż pozostaje pytanie, dlaczego tylko ten obszar tak często umykał kontroli monitora.

— Wydaje mi się — powiedział cicho Nguyen — że możemy się tak spierać bez końca i nie dojdziemy do niczego. Pan Moreau ma rację, dysponujemy niewystarczającymi danymi, by wyciągać jakiekolwiek miarodajne wnioski. Jedynym sposobem na zdobycie potrzebnych informacji jest wrócić na planetę.

— Innymi słowy, zorganizować kolejną misję szpiegowską — powiedział Atterberry z niesmakiem. — Ostatnia taka ekspedycja...

— Przyniosła nam prawie trzydzieści lat pokoju — zgryźliwie wtrąciła Telek.

— Odwlekła wojnę, którą i tak trzeba będzie stoczyć, chciała pani powiedzieć.

— Kto mówi, że trzeba będzie walczyć? — odparła ostro Telek. — Może się okazać, że ta baza w ogóle nie ma z nami nic wspólnego. Może jest częścią przygotowań do wojny planetarnej, która cofnie Qasaman z powrotem do epoki kamienia łupanego.

— Mam nadzieję — powiedział cicho Priesly — że nie tego pani oczekuje, chociaż sprawia pani takie wrażenie.

Szczęki Telek wyraźnie się zacisnęły.

— Nie zależy mi specjalnie na tym, by Qasamanie wyniszczyli się nawzajem — warknęła. — Ale jeśli mam wybierać pomiędzy nimi a nami, wolałabym, żebyśmy to my byli tymi, którzy przeżyją.

Chandler odchrząknął.

— Nie ulega chyba wątpliwości, że pomimo naszych zastrzeżeń pan Nguyen ma jednak rację. Potrzebna jest kolejna wyprawa na Qasamę i im prędzej ją zorganizujemy, tym szybciej się dowiemy, co się tam naprawdę dzieje.

Nacisnął przycisk przy czytniku i zdjęcia na ekranie Corwina zostały zastąpione listą dziewięciu nazwisk.

— Biorąc pod uwagę doświadczenia pierwszej misji — kontynuował Chandler — rozsądniej byłoby zacząć od rekrutów, niż próbować ponownie przygotować starsze Kobry ze służb pogranicznych do działania w sytuacjach, jakie mogą napotkać na Qasamie. Pozwoliłem sobie przeprowadzić wstępną selekcję z najnowszej listy przyjętych, oto nazwiska.

— Według jakich kryteriów? — zapytał Gavin.

— Wyjątkowe zrównoważenie emocjonalne, umiejętność łatwego i pełnego przystosowania się do warunków życia w obcej społeczności, tego typu sprawy — odpowiedział Chandler. — To jest, oczywiście, wyłącznie wstępna selekcja.

Yartanson wyprostował się znad swojego czytnika.

— Ile Kobr zamierza pan wysłać na tę misję? — zapytał Chandlera.

— Początkowy plan zakłada wysłanie jednej doświadczonej Kobry i czterech rekrutów...

— Nie dostanie ich pan — kategorycznie stwierdził Yartanson.

Wszyscy spojrzeli na Kobrę.

— O czym pan, u diabła, mówi? — zapytał Bailar, marszcząc brwi.

Yartanson wskazał na czytnik.

— Sześciu z tych rekrutów pochodzi z Caeliany. Potrzebujemy ich na miejscu.

Chandler wziął głęboki oddech.

— Panie Yartanson... rozumiem uczucia ludzi z małych planet, takich jak Caeliana...

— Zostały nas niecałe trzy tysiące, panie Chandler — przypomniał Yartanson lodowatym tonem. — Dwa i pół tysiąca cywilów, pięćset Kobr, wszyscy wal-

czymy o życie w tej piekielnej wylęgarni. Nie stać nas na to, by pozwolić panu zabrać nam nawet jedną Kobrę... i nie zrobi pan tego.

Zapadła niezręczna cisza. Caeliana to koniec świata, w każdym tego słowa znaczeniu. Planeta opuszczona po latach walki z niesłychanie płynnym ekosystemem postawiła kolonistów w sytuacji patowej. Kiedy ćwierć wieku temu zaproponowano im przesiedlenie na nowy świat — Esquilinę — większość mieszkańców wykorzystała tę szansę... ale dla małego ułamka społeczności bezrozumny ekosystem Caeliany przybrał postać potężnego i niemal obdarzonego inteligencją wroga. Ucieczka przed nim wydawała się Caelianom przyznaniem do porażki i utratą honoru. Od czasu kiedy resztka jej mieszkańców okopała się do walki, Corwin tylko raz odwiedził tę planetę. Wyjechał stamtąd, zachowując w pamięci przykry obraz ludzi mieszkających na Piekielnym Lęgowisku, przypominających flisaków na wzburzonej rzece. Oddalili się nie tylko od pozostałych społeczności Światów Kobr, ale być może także od własnego człowieczeństwa.

Wszystko to czyniło z Yartansona osobę nieobliczalną... człowieka, któremu nikt w zarządzie, nawet sam generalny gubernator, nie chciał wchodzić w drogę.

— Rozumiem — jeszcze raz uspokajająco powiedział Chandler. — W zasadzie uważam, że nawet jeśli nie znajdziemy innego kandydata, trzy nowe Kobry plus jedna z doświadczeniem powinny wystarczyć dla potrzeb misji.

Corwin odetchnął głęboko.

— A może — powiedział ostrożnie — powinniśmy potraktować brak piątej Kobry nie jako problem, lecz jako szansę. Jako okazję wyprowadzenia Qasaman w pole.

Zauważył spojrzenie Telek.

— Czy ma pan na myśli coś podobnego do wybiegu, jaki pańscy bracia zastosowali w czasie pierwszej misji? — zapytała. — To był dobry pomysł, prawdopodobnie uratował całą wyprawę.

Corwin pobłogosławił ją w duchu. Nie mogła wiedzieć, co zamierzał zaproponować, ale przypominając innym o tym, jak dobrze zadziałał tamten plan, osłabiła opór, który postawiliby z pewnością jego przeciwnicy.

— Coś w tym rodzaju — przytaknął, zbierając się w sobie. — Proponowałbym stworzenie, wyłącznie dla tej misji, pierwszej Kobry-kobiety. Zanim jednak zaczną państwo zgłaszać zastrzeżenia...

— Kobieta-Kobra? — parsknął Atterberry. — Na litość boską, Moreau, to największa bzdura, jaką kiedykolwiek słyszałem.

— Dlaczego? — zaoponował Corwin. — Tylko dlatego, że nigdy przedtem tego nie było?

— A jak pan myśli, dlaczego nie było? — wtrącił Priesly. — Dlatego, że są ku temu uzasadnione powody.

Corwin spojrzał na Chandlera.

— Panie Chandler?

Chandler miał nieco kwaśną minę, ale kiwnął głową.

— Może pan kontynuować, Moreau — powiedział.

— Dziękuję.

Spojrzenie Corwina obiegło stół i zatrzymało się na Prieslym i Atterberrym. To oni byli nastawieni najbardziej wrogo.

— Jednym z powodów, dla których pomysł stworzenia kobiet-Kobr wydaje się tak dziwaczny, jest fakt, że Stare Dominium miało silnie patriarchalną orientację. Kobiety nie były po prostu przenaczone do elitarnych jednostek wojskowych, chociaż zaznaczę, iż w czasie wojny z Troftami na Adirondack i Silvern było sporo bojowniczek ruchu oporu.

— Wszyscy znamy historię — burknął Nguyen. — Niech pan przejdzie do rzeczy.

— Rzecz w tym, że nawet nasza skąpa wiedza o qasamańskim społeczeństwie ukazuje je jako jeszcze bardziej patriarchalne niż Dominium — powiedział Corwin. — Jeśli nawet panu myśl o kobietach-wojownikach wydaje się dziwna, to proszę pomyśleć, jak spojrzą na to Qasamanie.

— Innymi słowy — powiedziała powoli Telek — nie przyjdzie im nawet do głowy, że kobieta biorąca udział w tej misji mogłaby być diabelskim wojownikiem.

— Kim? — Priesly zmarszczył brwi.

— Qasamanie tak nazywają Kobry — wyjaśnił Chandler.

— Trafne określenie — mruknął Priesly.

Yartanson spojrzał na niego zimno.

— Diabelskie balansowanie na krawędzi jest często częścią naszej pracy — zauważył oschle.

Priesly'emu drgnęła warga, odwrócił się raptownie z powrotem w stronę Corwina.

— Zakłada pan, oczywiście, że misja zostanie przechwycona — powiedział. — Czy to nie nadmierny pesymizm?

— To się nazywa bycie przygotowanym na każdą ewentualność — kąśliwie stwierdził Corwin. — Ale zakładając, że nie zostanie, pozostaje nadal druga sprawa. Potrzebujemy ludzi, którzy będą potrafili na tyle upodobnić się do Qasaman, by mogli się trochę rozejrzeć, nie dając się natychmiast rozpoznać. Mam rację? — Spojrzał na Chandlera. — Czy może mi pan powiedzieć, panie Chandler, ilu kandydatów na Kobry znajdujących się na pańskiej liście zna język qasamański?

— Wszyscy — odparł chłodno generalny gubernator. — Bez przesady, panie Moreau, mowa Qasaman nie jest może najpopularniejszym językiem, ale mamy sporo osób, które nim biegle władają.

— Szczególnie że większość młodych mężczyzn mających ambicję zostać Kobrami próbuje się go nauczyć — dodał Gavin.

— Rozumiem — zgodził się Corwin. — Ilu z tej grupy mówi bez aventińskiego akcentu?

— Każdy, kto uczy się obcego języka, mówi z akcentem — burknął z niedowierzeniem Chandler.

Corwin spojrzał mu prosto w oczy.

— Znam kogoś, kto mówi bez akcentu — powiedział stanowczo. — Moja siostrzenica, Jasmine Moreau.

— O, proszę bardzo — sarkastycznie wtrącił Atterberry. — Po prostu kolejna zagrywka o władzę w wykonaniu rodziny Moreau. Oto z czym mamy tu do czynienia.

— Pod jakim względem jest to zagrywka o władzę? — parsknął Corwin. — Czy dlatego, że ryzykuję życie swojej siostrzenicy?

— Dość. — Chandler nie podniósł głosu, ale stanowczość, z jaką to wypowiedział, ucięła rodzący się spór. — Opracowałem wstępny kosztorys proponowanej misji na Qasamę. Zrobimy teraz krótką przerwę, aby mogli się państwo z nim zapoznać. Panie Moreau, chciałbym porozmawiać z panem w moim gabinecie, jeśli można.

— Zakładam, że zdajesz sobie sprawę z tego, o co prosisz zarząd — powiedział Chandler, wpatrując się w Corwina. — Nie mówiąc o tym, w jakiej sytuacji mnie stawiasz.

Corwin zmusił się, by spojrzeć Chandlerowi w oczy.

— Staram się jedynie zwiększyć szansę powodzenia tej twojej misji.

Chandler skrzywił się.

— A więc teraz to moja misja, tak?

— A czy tak nie jest? — odparł Corwin. — Najwyraźniej zaplanowałeś ją prywatnie, bez pomocy czy nawet wiedzy rady akademii. Nie mówiąc już o samym zarządzie.

Wyraz twarzy Chandlera nie zmienił się.

— Masz na to jakiekolwiek dowody?

— Gdyby Justin wiedział, że coś takiego się szykuje, na pewno by mi o tym powiedział.

— To jeszcze nie dowód. Mogłem nakazać wszystkim dyrektorom akademii zachowanie misji w tajemnicy.

Corwin się nie odezwał. Zapanowała chwila ciszy.

— Bądźmy szczerzy, dobrze, Moreau? Pomijając logikę i cele społeczne, prawdziwym powodem, dla którego chcesz, żeby twoja siostrzenica została Kobrą, jest to, że chce tego twój brat.

— Ona sama też tego chce — powiedział Corwin. — Przyznam, że ja także pragnę podtrzymania rodzinnej tradycji. To wszystko jednak nie wyklucza powodów, które podałem zarządowi przed kilkoma minutami.

— Nie, ale dość znacznie gmatwa sytuację — mruknął Chandler. — W porządku, przedstaw mi scenariusz, jak rozłożą się głosy, jeśli wrócimy tam i odkryjemy karty?

— Telek i ja będziemy głosować za — powiedział wolno Corwin. — Priesly i Atterberry oczywiście zagłosują przeciw, niezależnie od tego, czy będą się ze mną zgadzać, czy nie. Yartanson i Bailar... prawdopodobnie mnie poprą. Yartanson dlatego, że jeśli zezwolimy na przyjmowanie kobiet, to na Caelianie podwoi się liczba kandydatów na Kobry, a Bailar dlatego, że Qasamanie znajdują się zaledwie o kilka lat świetlnych od przedsionka Esquiliny, w związku z czym będzie go bardziej interesowało logiczne rozwiązanie sprawy niż kwestie historyczne. Zważywszy, że głos Vartansona liczy się podwójnie, daje mi to pięć głosów.

— Co oznacza, że potrzebujesz jeszcze jednego, by osiągnąć zdecydowaną większość — powiedział Chandler. — Na przykład mojego.

Corwin spojrzał mu prosto w oczy.

— Tak naprawdę, potrzebuję tylko twojego głosu.

Przez chwilę Chandler wpatrywał się w niego w milczeniu.

— Polityka lubi się powtarzać — odezwał się w końcu. — Nie będę przepraszał za to, że biuro generalnego gubernatora ma teraz większą władzę niż dawniej. — Zacisnął usta i potrząsnął głową. — Mylisz się, jeśli uważasz, że jestem w stanie przeforsować to sam przeciw całej opozycji. Już Priesly to twardy orzech do zgryzienia.

Corwin odwrócił wzrok. Spojrzał przez okno, zajmujące całą ścianę gabinetu, na panoramę Capitalii. Oczami duszy zobaczył Jin, która wczorajszej nocy błagała go... widział też wyraz twarzy leżącego w szpitalu Justina, kiedy powoli zaczął sobie zdawać sprawę z wagi swego czynu. Co z władzą? — pomyślał mgliście. — Po co ten cały urząd, jeśli nie po to, by robić to, co powinno być zrobione?

— W porządku — powiedział wolno. — Jeśli Priesly potrzebuje zachęty, to mu jej dostarczę. — Odwrócił się do Chandlera. — Przyjmiemy Jin do Kobr, oficjalnie z powodu jej przydatności dla misji szpiegowskiej na Qasamę. Uznamy to za eksperyment, mający wykazać, czy kobiety mogą być włączane do całości programu Kobr. Jeśli to nie zadziała i eksperyment się nie powiedzie — odetchnął głęboko — podam się do dymisji.

Wtedy chyba po raz pierwszy zobaczył na twarzy Chandlera wyraz prawdziwego zaskoczenia.

— Co zrobisz? Moreau, to... to szaleństwo.

— Zamierzam to zrobić — spokojnie powiedział Corwin. — Wiem, do czego zdolna jest Jin. Poradzi sobie z tym zadaniem, i to dobrze.

— To praktycznie bez znaczenia. Cokolwiek się zdarzy, Priesly będzie twierdził, że eksperyment się nie udał. Tylko po to, by się ciebie pozbyć. Wiesz o tym.

— Z pewnością spróbuje tak postąpić — zgodził się Corwin. — Ale to, czy jego zdanie będzie się naprawdę liczyło, zależy od Jin, nieprawdaż?

Chandler zacisnął usta, przypatrując się Corwinowi.

— Będzie oczywiście potrzebna zgoda całej rady.

— Wszyscy mamy tam swoich sprzymierzeńców — podsunął Corwin. — Stosunek ilościowy moich, twoich i Priesly'ego powinien okazać się wystarczający. Szczególnie jeśli wykorzystamy argument o tajności misji na Qasamę i ograniczymy udzielanie informacji o eksperymencie. Wtedy prawdopodobieństwo politycznego ostrzału ze strony społeczeństwa będzie mniejsze.

Chandler uśmiechnął się krzywo.

— Na starość robisz się cyniczny. Corwin ponownie popatrzył przez okno.

— Nie — powiedział z westchnieniem. — Robię się polityczny.

Zastanawiał się, dlaczego zabrzmiało to jak przekleństwo.

Rozdział 6

Późne lato w okręgu Syzra, jak kiedyś słyszała Jin, było najprzyjemniejszą porą roku w tej części Aventiny... jeśli akurat było się kaczką. Przez większą cześć trzech kolejnych miesięcy niebo nad Syzrą albo chmurzyło się, albo zalewało ziemię strumieniami zimnego deszczu.

Jeśli te opowieści były prawdziwe, ten dzień był miłym wyjątkiem. Wschodzące słońce, wyglądające zza gęstej otaczającej ich z trzech stron puszczy, świeciło jasno i przejrzyście. Niebo było upstrzone wysokimi cirrusami, które podkreślały klarowność jego barwy. Łagodne podmuchy wiatru oraz dość niska temperatura powietrza działały przyjemnie orzeźwiająco. Jin uwielbiała takie dni.

I czuła się okropnie. Przymrużając oczy z powodu rażącego słońca, zaciskała pięści, żeby powstrzymać wymioty, i usiłowała stać równie prosto jak trzej młodzi mężczyźni po jej prawej stronie.

— W porządku, rekruci, nadstawcie uszu — ryknął stojący przed nimi mężczyzna, a Jin jeszcze bardziej starała się opanować swój buntujący się układ pokarmowy. Głos instruktora Mistry Layna, wyjątkowo bogaty w niskie tony, ani trochę nie polepszał sytuacji. Nic niewarte te moje osławione żelazne bebechy — pomyślała kwaśno, przypominając sobie, że wszyscy ostrzegali ją przed normalnymi, fizjologicznymi reakcjami na zabiegi chirurgiczne, jakim poddawane były przyszłe Kobry. Najwyraźniej zbyt lekko potraktowała te przestrogi. Teraz mogła mieć tylko nadzieję, że efekty będą tak krótkotrwałe, jak to wszyscy zapowiadali.

— Wiecie już — ciągnął Layn — że zostaliśmy wytypowani do specjalnej misji na Qasamie, nie będę już więc zanudzał was kolejnym przemówieniem. Prawdopodobnie zastanawiacie się, co robimy na tym pustkowiu, zamiast ćwiczyć w jednym z głównych ośrodków akademii. A więc...?

Minęła chwila, zanim Jin zorientowała się, że zadał im pytanie. Kolejną chwilę zajęło jej stwierdzenie, że żaden z pozostałych kadetów nie ma zamiaru odpowiedzieć.

— Panie instruktorze? — odezwała się nieśmiało.

Grymas niezadowolenia przemknął po twarzy Layna.

— Kadet Moreau? — zapytał jednak obojętnym tonem.

— Czy znajdujemy się tu, ponieważ misja będzie wymagała przemieszczania się po zalesionych obszarach Qasamy?

Layn uniósł brew i spojrzał za siebie.

— Tak, owszem, mamy tu puszczę, prawda? W ośrodku ćwiczebnym w okręgu Pindaric też jest puszcza, o ile dobrze pamiętam. Więc czemu jesteśmy tu, a nie tam?

Jin zacisnęła zęby.

— Nie wiem, proszę pana.

Młody człowiek po prawej stronie Jin poruszył się.

— Kadet Sun?

— Ośrodek ćwiczebny Pindaric specjalizuje się w ćwiczeniu nowych Kobr w tropieniu i zabijaniu kolczastych lampartów — powiedział Mander Sun. — Do zadań naszej misji nie należy polowanie, ale raczej umiejętność ukrywania się i utrzymywania przy życiu.

— A czy Kobry w Pindaric nie uczą się, jak przeżyć? — odparował Layn.

Z oczami utkwionymi w Layna Jin nie widziała, czy Sun się zarumienił, ale z brzmienia jego głosu wywnioskowała, że raczej tak.

— Metody ćwiczenia ataku różnią się całkowicie od sposobów ćwiczenia obrony — powiedział Sun. — Ponadto byłyby to różnice oczywiste dla innych kadetów. Rozumiem, że misja ta ma być tajna.

Przez dłuższą chwilę Layn po prostu przyglądał się Sunowi.

— Masz mniej więcej rację, kadecie Sun. Myślę o tajnym charakterze misji, oczywiście. Ale kto twierdzi, że ćwiczenie ataku i obrony się różni?

— Mój dziadek, proszę pana. Przez dwadzieścia lat był koordynatorem akademii.

— Czy to was upoważnia do spierania się ze swoim instruktorem? — powiedział zimno Layn.

Tym razem Sun się zaczerwienił.

— Nie — odpowiedział sztywno.

— Miło mi to słyszeć. — Layn powędrował spojrzeniem po całej czwórce. — Nie mam zamiaru lecieć na Qasamę bez wsparcia absolutnie najlepszych ludzi. Jeśli uznam, że ktoś z was nie dorasta do wykonania zadania, mogę go wykopać i

zrobię to. Nieważne, czy pierwszego dnia, czy wtedy jak będą was wwozić na operację wszczepienia nanokomputera. Wszyscy zrozumieli?

Jin przełknęła ślinę, uświadamiając sobie nagle istnienie komputerowej obroży, umieszczonej poniżej jej szczęki. Gdyby nie przeszła treningu i z jakiegokolwiek powodu została uznana za niezdatną, nanokomputer, który w końcu zostanie wszczepiony poniżej jej mózgu, będzie tylko cieniem prawdziwego komputera Kobry i nie zostanie do niego podłączone całe, nowo nabyte uzbrojenie, a moc, dostępna układom wspomagającym jej mięśnie, zostanie poważnie ograniczona. Innymi słowy, stałaby się Jectem.

— W porządku — powiedział Layn. — Wiem, że wszyscy chcecie sprawdzić, co te wasze obolałe ciała potrafią zrobić. Chwilowo raczej niewiele. Komputery, które macie na szyi, dadzą wam ograniczone wspomaganie, ale żadnej broni. Za cztery dni, przy prawidłowych postępach, dostaniecie nowe obroże, które pozwolą wam uruchomić wzmacniacze wzroku i słuchu. Potem za cztery tygodnie otrzymacie lasery palcowe i wzmacniacze, broń soniczną i miotacz energii elektrycznej, lasery przeciwpancerne i całą resztę, a na końcu zaprogramowane odruchy. Zauważcie, że celem tego jest danie wam najlepszych szans na nauczenie się posługiwania waszymi nowymi ciałami, i to tak, byście nie zabili przy tym siebie albo kogoś innego.

— Czy można zadać pytanie? — odezwał się nieśmiało kadet stojący na końcu szeregu.

— Kadet Hariman?

— Sądziłem, że normalny okres ćwiczeń wynosi nie cztery, lecz sześć do ośmiu tygodni.

— A nie powiedziano wam, że to nie będą normalne ćwiczenia?

— Tak, tylko wydało mi się, że to... trochę za krótko, to wszystko. Szczególnie że grupa będzie wyposażona w nową broń.

Layn uniósł brew.

— O jakiej nowej broni mówicie, kadecie?

— Odniosłem wrażenie, że rada zaaprobowała użycie generatorów pola elektrycznego krótkiego zasięgu poprzez obwody miotaczy łuku.

— Mówicie o tak zwanych obezwładniaczach? Jesteście dobrze poinformowani, kadecie Hariman.

— Spora część debaty na temat broni była powszechnie znana, panie instruktorze.

— To prawda. Tak się jednak składa, że to nie ma znaczenia. Z prostej przyczyny: nikt z was nie będzie uczestniczył w tym eksperymencie. Rada zadecydowała, że i tak będziecie już wystarczająco eksperymentalni... — Layn przerzucił spojrzenie na Jin. — I nie ma potrzeby dawania wam na dodatek nie sprawdzonego wyposażenia.

— Tak jest — powiedział Hariman. — To jednak nie wyjaśnia, w jaki sposób zostaniemy Kobrami w cztery tygodnie zamiast w sześć.

— Kwestionujecie swoje zdolności jako kadeta, czy moje jako instruktora?

— Hm... nie, proszę pana.

— Dobrze. Czy powiedzieliście coś przed chwilą, kadecie Todor?

— Słucham?

Kadet stojący pomiędzy Harimanem a Sunem był zaskoczony.

— Zadałem proste pytanie, kadecie. Czy powiedzieliście coś kadetowi Sunowi, kiedy wyjaśniałem, dlaczego nie zainstalowano wam obezwładniaczy?

— Hm... nie, nic takiego.

— Powtórzcie to.

— Ja, hm... — Todor głośno zaczerpnął powietrza. — Pomyślałem tylko, że jeśli chodzi o dodatkowe uzbrojenie, to kadeta Moreau można by łatwo wyposażyć w dwa działka obrotowe.

Wyraz twarzy Layna nie zmienił się, ale Jin zdawało się, że zanim popatrzył jej w oczy, jego spojrzenie przemknęło po jej piersiach.

— Kadet Moreau, jakieś uwagi?

Jin przyszła do głowy naprawdę cięta riposta, ale wolała się powstrzymać. Przynajmniej tu i teraz.

— Nie, nie mam uwag — odpowiedziała.

— Nie. Więc ja się wypowiem. — Spojrzenie Layna przeskoczyło na trzech pozostałych kadetów. Nagle jego twarz stężała. — To jasne, że żaden z was nie jest szczególnie zachwycony obecnością kobiety w oddziale. Wszyscy znacie powody, dla których rada uznała, że warto tego spróbować, wiec nie będę poruszał jeszcze raz tego samego problemu. Powiem wam jednak, co myślę na ten temat. Jeśli mam być szczery, mnie też się to nie bardzo podoba. Specjalne jednostki wojskowe przeznaczone były zawsze tylko dla mężczyzn, od czasów Oddziałów Alfa w Starym Dominium, aż po czasy Kobr. Nie podoba mi się zrywanie z tradycją w ten sposób, a szczególnie nie podoba mi się pomysł traktowania tego jako

sprawdzianu, mającego wykazać, czy w przyszłości oddziały Kobr mają zostać otwarte dla kobiet. Posunę się nawet do tego, by powiedzieć, że mam nadzieję, iż kadet Moreau odpadnie. Ale... — Jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej groźne. — Będzie to zależało tylko od niej. Zrozumiano? Nie odpadnie jedynie w przypadku jeżeli wy albo ja, lub ktokolwiek inny popchnie ją dalej, niż należy. Pomijając sprawę uczciwości, nie chcę, by ktokolwiek twierdził, że sprawdzian był niesprawiedliwy. Jasne?

Rozległy się trzy pomruki.

— Pytałem, czy to jasne — warknął Layn.

— Tak jest, panie instruktorze — odpowiedzieli chórem.

— Dobrze. — Layn odetchnął głęboko. — W porządku, do roboty. Tamto drzewo — wskazał na prawo — znajduje się w odległości około trzech kilometrów. Macie sześć minut na to, by się tam znaleźć.

Sun ruszył pierwszy, ustawił się za Todorem i Harimanem, żeby wyjść na prowadzenie. Jin była tuż za nim, pozostali dwaj kadeci z opóźnieniem zajęli dalsze pozycjach. Spokojnie, dziewczyno — ostrzegła samą siebie, starając się pozostawić większą część wysiłku układom wspomagania umieszczonym w nogach. Tępy odgłos uderzeń stóp wokół niej zagłuszał niemalże słaby gwizd dochodzący z...

Dźwięk ten dotarł nagle do jej świadomości. Spojrzała w górę, przeszukując wzrokiem niebo. Jest. W polu widzenia, ponad szczytami drzew po jej prawej stronie pojawił się właśnie statek powietrzny o konstrukcji charakterystycznej dla statków Troftów. Zmierzał w kierunku zabudowań służących im za ośrodek ćwiczeń. Obróciła głowę i spojrzała na Layna, ale ten, nawet jeśli był zaskoczony pojawieniem się pojazdu powietrznego, nie okazywał tego po sobie. Prawdopodobnie ktoś z zarządu przyleciał na obserwację — zdecydowała, koncentrując się z powrotem na wyścigu.

Z irytacją stwierdziła, że w czasie kiedy jej uwaga skupiona była na statku, Todor i Hariman zdołali ją wyprzedzić. W porządku — powiedziała sobie i lekko przyśpieszyła. Bardziej koncentrują się na tym, żeby nie dobiec ostatni, niż na tym, by utrzymać równe tempo. Prawdopodobnie obróci się to przeciwko nim. Todor, jak zauważyła, oddychał już ciężej, niż powinien. Albo hiperwentylował płuca, albo nie pozwalał serwomotorom przejąć tyle obciążenia, ile należało. Będzie miał kłopoty już przed ukończeniem biegu.

Jin mimowolnie zacisnęła szczęki. Nie chciała bawić się w podobne taktyczne zagrywki, w szczególności nie z ludźmi, którzy mieli być jej towarzyszami na

Qasamie. Nie miała jednak dużego wyboru. Layn postawił sprawę jasno: jej wyniki w części ćwiczeń zadecydują nie tylko o tym, czy zostanie pełnowartościową Kobrą, ale także o tym, czy jakakolwiek inna kobieta w Światach Kobr otrzyma kiedykolwiek taką szansę.

Nigdy nie była zbyt chętna do walki o sprawy ogółu, ale niezależnie od tego, czy jej się to podobało, czy nie, utknęła w samym środku takiej właśnie rozgrywki, wspierana jedynie własną siłą i wytrwałością.

I, być może, dziedzictwem rodziny Moreau.

— Spokojnie — powtarzała raz po raz, używając tego słowa jak metronomu. — Spokojnie...

Kiedy w końcu dobiegli do drzewa, była druga po Sunie.

Troft leżący na kanapie pod oknem przy prawej burcie statku poruszył się, kiedy w dole czterej kadeci dobiegli do drzewa.

— [Człowiek na drugim miejscu] — powiedział wysokim głosem, ginącym niemal w szumie silników statku. — [Czy to kobieta?]

Siedzący obok Corwina generalny gubernator Chandler odchrząknął.

— Jesteś bardzo spostrzegawczy — zauważył niechętnie, rzucając Corwinowi gniewne spojrzenie.

— To tylko eksperyment — zgryźliwie dodał Priesly. — Przepchnięty przez pewne czynniki w naszym rządzie.

— [Z tej czwórki ona jest najlepsza] — stwierdził Troft.

Priesly przymrużył oczy.

— Dlaczego tak uważasz? — zapytał.

Membrany ramion Trofta uniosły się, po czym opadły z powrotem na jego górne ramiona.

— [Nasze przybycie, tylko ona je zauważyła] — wyjaśnił. — [Jej twarz, ona odszukała źródło dźwięku i potwierdziła naszą tożsamość jako niewrogą, zanim kontynuowała bieg. Ten rodzaj czujności to cecha priorytetowa u wojownika Kobry?]

— Istotnie — przyznał Chandler. — W każdym razie, skoro zobaczyliśmy już kadetów, przynajmniej z pewnej odległości, skierujemy się do specjalnego obozowiska, w którym znajduje się kwatera główna proponowanej misji. Udostępnimy ci wszelkie dane na temat Qasamy, przekonasz się, dlaczego uważamy, że dzieje się tam coś, co należałoby zbadać.

Troft najwyraźniej rozważał to zdanie.

— [Te informacje, nie dawalibyście ich bez przyczyny. Czego Chcecie?]

Chandler odetchnął głęboko.

— Krótko mówiąc, potrzebny nam transport. Do przewiezienia grupy na Qasamę możemy użyć jednego z naszych gwiazdolotów, ale nie mamy jeszcze bezpiecznych sposobów na przetransportowanie ich z orbity na powierzchnię. Do tego celu chcieliśmy wypożyczyć jeden z waszych wojskowych wahadłowców.

— Nie chcemy lądować całym gwiazdolotem — wtrącił Priesly. — Nie tylko z powodu niebezpieczeństwa wykrycia...

— [Pojazd z napędem gwiezdnym, nie chcecie, żeby wpadł w ręce Qasaman] — przerwał mu Pierwszy Mówca. — [Moja inteligencja, nie obrażaj jej, gubernatorze Priesly].

Priesly zamilkł ze zbolałą miną, a Corwinowi przez moment omal nie zrobiło się go żal. W wypowiedzi Pierwszego Mówcy nie było gniewu, raczej chęć zaoszczędzenia czasu, ale Priesly nie miał wcześniej do czynienia z tym reprezentantem domeny Tlos'khin'fahi na tyle długo, by poznać jego osobowość. Pierwszy Mówca przed objęciem cztery lata temu stanowiska łącznika ze Światami Kobr zajmował się handlem pomiędzy domenami. Corwin wiedział, że Troftowie tego rodzaju dysponowali prawie ponadnaturalnymi zdolnościami panowania nad swoimi emocjami. Nie było to zaskakujące, wziąwszy pod uwagę luźne, a czasem nawet wrogie stosunki panujące pomiędzy setkami domen, które składały się na Zgromadzenie Troftów. Handlowiec, który za każdym razem wdawałby się w słowne potyczki ze swymi klientami, nie pozostałby handlowcem długo.

— Gubernator Priesly nie miał niczego złego na myśli, Pierwszy Mówco — odezwał się Chandler, przerywając zalegającą ciszę.

Ale zakłopotanie Priesly'ego sprawiało mu przyjemność.

— Taktyczne przyczyny wypożyczenia takiego statku do lądowania są oczywiste. Domyślam się także, że przyczyny finansowe są dla ciebie równie jasne.

— [Taki wahadłowiec, nie stać was na niego].

Chandler pokiwał głową.

— Dokładnie tak. Mimo że jesteśmy w tej chwili w o wiele lepszej kondycji niż trzydzieści lat temu, kiedy to zaczął się ten cały qasamański bałagan, to nawet teraz nasz budżet jest w stanie pokryć wyłącznie koszty samej misji, czyli załogi, podstawowego wyposażenia i specjalistycznego treningu. Pamiętasz, że

wciąż spłacamy ostatni kompletny gwiazdolot, który od was kupiliśmy, nie stać nas więc jednocześnie na wahadłowiec.

— [Domena Tlos'khin'fahi, dlaczego miałaby wypożyczyć wam ten statek? Jesteśmy oddaleni od Qasamy, niewiele ryzykujemy, gdyby udało im się opuścić planetę].

Można powiedzieć, że rozpoczęło się targowanie.

— Dostawcą wahadłowca nie musi koniecznie być domena Tlos'khin'fahi — wtrącił Corwin, zanim Chandler zdążył odpowiedzieć. — Jednakże jesteście naszym głównym partnerem handlowym i stan naszej gospodarki powinien was obchodzić... Gdyby ucierpiała wskutek zakupu wahadłowca, nie byłoby to dla was bez znaczenia.

— [Domena Baliu'ckha'spmi, czy ona nie miałaby ważniejszych powodów, by dostarczyć wam wahadłowiec?]

Chandler zerknął na Corwina.

— Niewykluczone — zgodził się. — Problem tkwi w tym, że Baliu'ckha'spmi mogłaby z takiej prośby wyciągnąć... niewłaściwe wnioski.

— [Masz na myśli umowę, na podstawie której uzyskaliście Nowe Światy?]

— Tak — powiedział z trudem Chandler. — Umowa mówiła przecież, że zneutralizujemy dla nich zagrożenie ze strony Qasamy. Gdyby zrozumieli przez to, że Qasama nie została należycie zneutralizowana... wolelibyśmy raczej nie otwierać tej puszki Pandory.

Membrany Trofta zatrzepotały, kiedy poszukiwał znaczenia idiomu.

— [Powód, dla którego przywieźliście mnie tu w tajemnicy, czy ma związek z tą sprawą?]

— Niewiele umyka twej uwadze — przyznał Chandler. — Owszem, nie chcieliśmy, aby dowiedzieli się o tym przedstawiciele innych domen, o ile da się tego uniknąć.

Pierwszy Mówca milczał przez chwilę. Statek wszedł w łagodny łuk, a Corwin wyjrzał przez okno. W dole, usadowiony na sztucznej polanie znajdował się mały zespół budynków tartaku, przejęty tymczasowo przez Akademię Kobr w celu przeprowadzenia specjalnego treningu.

— [Ten problem, przedstawię go władcy mojej domeny] — zgodził się Pierwszy Mówca, podczas gdy statek opadał na poharatane lądowisko w pobliżu wejścia do głównego budynku. — [Jakaś wymiana handlowa, ona będzie oczywiście niezbędna].

— Oczywiście. — Chandler z ulgą kiwnął głową. — Z chęcią rozważymy wasze żądanie.

— [Władca mojej domeny, on będzie też pamiętał, że początkowy plan pacyfikacji został opracowany przez zmarłego gubernatora Jonny'ego Moreau] — kontynuował Troft. — [Gdybym mógł mu przekazać, że ktoś z rodziny Jonny'ego Moreau planuje także tę misję, to by dodało siły mym argumentom].

Chandler zaskoczony spojrzał na Corwina.

— Dlaczego? — zapytał.

— [Ciągłość w sprawach wojny, ona jest tak samo ceniona jak w sprawach handlu] — odpowiedział Troft.

Bez większego entuzjazmu — pomyślał Corwin.

— [Coś takiego, generalny gubernatorze Chandler, czy jest to możliwe?]

Chandler odetchnął głęboko. Sądząc po wyrazie twarzy, jasno wyobrażał sobie polityczną wrzawę, jaką wywołałoby przywrócenie do akademii Justina, będącego wciąż pod ostrzałem w związku ze sprawą Monse'a...

— Obawiam się, Pierwszy Mówco — odezwał się cierpko Priesly — że rodzina Moreau nie jest już bezpośrednio zaangażowana w tego rodzaju wojskowe planowanie...

— Na szczęście nie stanowi to problemu — przerwał Corwin. — Kobieta, którą widziałeś kilka minut temu na polanie, ta, o której powiedziałeś, że jest najlepszym z kadetów, to Jasmine Moreau, córka Kobry Justina Moreau i wnuczka gubernatora Jonny'ego Moreau.

Priesly parsknął. Chandler uciszył go gestem.

— Czy to wystarczy, Pierwszy Mówco? — zapytał generalny gubernator.

Drobny wstrząs oznaczał, że statek usiadł na lądowisku.

— [W samej rzeczy] — powiedział Troft. — [Wasze informacje, chętnie je teraz przestudiuję].

Chandler odetchnął cicho.

— Oczywiście. Proszę za mną.

Rozdział 7

— W porządku, Kobry, ruszać się — warknął Mistra Layn. — Pamiętajcie, to jest puszcza, patrzcie pod nogi i uważajcie na głowy.

Nastawiając wzmacniacze słuchu na nieco większą moc, Jin zajęła swoją ustaloną pozycję na lewym skrzydle luźnej, romboidalnej formacji otaczającej Layna i wraz z innymi przeszła pod drzewami na skraj polany. Był to manewr, który ćwiczyli już kilkakrotnie w ciągu ostatnich dni. Maszerowali po ogrodzonej części puszczy wokół obozowiska, używając wzmacniaczy wzroku i słuchu do tropienia symulatorów rozmaitych zwierząt i ruchomych celów ustawionych przez instruktorów. Spostrzeżenie skrzekacza lub ruchomego celu dawało kadetowi jeden punkt, trafienie ich z lasera palcowego, zanim grupa znalazła się w teoretycznym zasięgu ataku zwierzęcia — kolejne dwa.

Był to jeszcze jeden z serii głupich konkursów wymyślanych przez Layna tylko po to, by wrogo nastawić do siebie członków grupy. Kolejny powód — pomyślała gorzko Jin — żeby pozostali trzej kadeci mogli ją nienawidzić.

Trudno było winić ją za to, że była lepsza od nich. A już z pewnością za to, że tamci nie potrafili się z tym pogodzić.

Jej niewinność była jednak słabą pociechą, sama myśl o rodzącym się konflikcie powodowała ucisk w gardle. Nie spodziewała się ze stronych innych członków grupy natychmiastowej akceptacji. Wiedziała, że stryj Corwin nie mówił swych kazań na temat tradycji wojskowych wyłącznie dla postrachu. Wydawało jej się jednak, że po jedenastu dniach ćwiczeń przynajmniej część tej wrogości powinna się ulotnić. Tak się jednak nie stało. Oczywiście, wszyscy byli wobec niej uprzejmi, przemówienie Layna pierwszego dnia ćwiczeń na temat tego, że sama przyczyni się do swego usunięcia, zostało poparte działaniem. Zarówno Layn, jak i kadeci bardzo uważali na to, by uniknąć zachowań jawnie dyskryminujących Jin. Ale szeptane komentarze i tajemnicze uśmieszki pozostały. Nasilały się szczególnie, kiedy kadeci pozostawali sami.

Lub raczej kiedy Jin była sama. Pozostała trójka spędzała razem bardzo wiele czasu.

Bolało ją to. Pod wieloma względami bolało bardziej niż jakiekolwiek fizyczne dolegliwości związane z zabiegami chirurgicznymi. Kiedy dorastała, zawsze była w pewnym stopniu nieprzystosowana. Zbyt cicha albo zbyt agresywna dla innych dziewcząt, a nawet dla większości chłopców w jej wieku. Naprawdę dobrze czuła się wyłącznie z rodziną, która ją w pełni akceptowała, a także, choć w mniejszym stopniu, z Kobrami, przyjaciółmi ojca...

Jej rozmyślania przerwało słabe ćwierkanie. Skrzekacz symulujący tarbina — pomyślała, automatycznie kręcąc głową we wszystkie strony, aby zlokalizować źródło dźwięku. Tam? Jest. Uruchomiwszy urządzenie celownicze czujników wzroku, namierzyła mały czarny sześcian usadowiony w zagięciu gałęzi i strzeliła z lasera prawego palca.

Powietrze przeszył promień światła i skrzynka przestała nagle ćwierkać.

— Tarbin? — zawołał cicho Sun z tyłu formacji.

— Tak — odpowiedziała przez ramię.

— Dlaczego go zabiłaś? — zapytał Layn ze środka. — Tarbiny nie są niebezpieczne.

— Nie, proszę pana — odpowiedziała, orientując się, że podjęła właściwą decyzję i że Layn chciał po prostu, żeby wyjaśniła to innym. — Ale tam, gdzie są tarbiny, można łatwo spotkać mojoki.

— I towarzyszące im kolczaste lamparty lub krisjawy — dodał Layn. — Dobrze. A poza tym...? Może ktoś inny odpowie?

— Ich ćwierkanie może tłumić odgłosy czegoś, co jest bardziej niebezpieczne? — zaryzykował Todor, stojący przed Laynem.

— Blisko — mruknął instruktor. — Koniec rozmów. Idziemy.

Ćwiczenia nagle przestały być rutyną. Krzaki na wprost rozsunęły się gwałtownie i naprzeciw nich ukazało się ogromne zwierzę podobne do kota.

Kolczasty lampart.

Niemożliwe — upierała się jakaś część umysłu Jasmine. Ogrodzenie otaczające tę część puszczy miało pięć metrów wysokości i teoretycznie stanowiło barierę nieprzekraczalną nawet dla kolczastego lamparta.

Zwierzę prychnęło i teoria poszła w niepamięć, cztery pary laserów zabłysły i skupiły się na głowie lamparta.

Bezskutecznie, oczywiście. Jin przeklęła swoje nieprzemyślane odruchy. Zmarnowała w ten sposób cenny czas. Zdecentralizowany układ nerwowy kol-

czastych lampartów okazał się niewrażliwy na punktowe uszkodzenia, jakich mogły dokonać lasery palcowe, gdyż takie obrażenia nie zakłócały funkcjonowania organizmu bestii. Jedynym znanym sposobem na pokonanie zwierzęcia było celne trafienie z broni przeciwpancernej umieszczonej wzdłuż lewej łydki.

Przenosiła właśnie ciężar ciała na prawą nogę, kiedy do jej świadomości dotarł decydujący fakt. Komputerowe obroże, które im założono, nie pozwalały na użycie przeciwpancernego lasera.

Lasery umieszczone w palcach pozostałych kadetów bezskutecznie trafiały lamparta, pozostawiając czarne ślady na jego sierści. A w oczach zwierzęcia...

— Przestańcie! — warknęła Jin. — Nie widzicie, że tylko go rozwścieczacie?

— To co, do cholery, mamy robić? — warknął Todor.

— Broń soniczna! — przerwał Sun.

W chwilę później fala na wpół słyszanego, na wpół odczuwanego dźwięku przeszyła Jin, kiedy pozostali posłusznie wysłali w kierunku lamparta zwarte stożki ultradźwięków. Kolejna strata czasu — nerwowo podsumowała Jin. Broń soniczna mogła najwyżej zachwiać równowagę drapieżnika, i to wyłącznie chwilowo. Podobnie jak lasery palcowe najwyraźniej jedynie rozwścieczała bestię. Kiedy tylko zwierzę odzyska równowagę...

I wtedy ją olśniło. Layn, w pełni wyposażony w laser i broń przeciwpancerną oraz nanokomputer niezbędny do jej wykorzystania, wciąż jeszcze nie oddał strzału.

Kolejny sprawdzian. No jasne, wszystkie elementy ułożyły się w całość. Pojedynczy kolczasty lampart został schwytany i wypuszczony na tym terenie po to, by sprawdzić, czy w pierwszym odruchu kadeci rzucą się do ucieczki, czy też będą kontynuować powierzone im zadanie ochrony Layna. Ten z pewnością miał już zwierzę namierzone w celowniku przeciwpancernego lasera i był gotowy do strzału, gdyby sprawy zaczęły się wymykać spod kontroli.

Phrijpicker mousfm — sklęła go w duchu. Wyjątkowo głupia sztuczka. Namierzone czy nie, kolczaste lamparty były zbyt niebezpieczne, by się z nimi w ten sposób bawić, zwłaszcza w obecności niedoświadczonych kadetów. Musieli w jakiś sposób powstrzymać to zwierzę, zanim otrząśnie się z efektów działania broni sonicznej, ruszy do ataku i zabije kogoś.

Cokolwiek zamierzali, powinni zrobić to szybko. Lampart kiwał się nieznacznie na boki, kolce na przednich łapach zaczęły wysuwać się do przodu, znak, że zwierzę poczuło się zagrożone, co spowoduje, że jego atak będzie jeszcze gwałtowniejszy...

Omiotła spojrzeniem okolicę, zatrzymując wzrok na grubych, lepkich winoroślach oplatających pnie cyprysowców... w jej pamięci otworzył się mały rozdział historii rodziny.

— Sun! — krzyknęła, wskakując przy użyciu serwomotorów na owinięte winoroślą drzewo, znajdujące się w połowie drogi pomiędzy nią a lampartem. Napięła mięśnie, ale jej nagły ruch nie wywołał ataku zwierzęcia. — Utnij winorośl u podstawy drzewa! — zawołała przez ramię, kierując własne lasery na górną część najbliższego pnącza. — Oderwij ją i nie dotykaj obciętego końca.

Sun usłuchał i po chwili w jej ręku zawisł pięciometrowy odcinek winorośli. Zerknąwszy w dół, zobaczyła, że lampart wciąż był na miejscu... ale zaczął już przysiadać na zadzie. Gotował się do skoku...

— Hariman, rozetnij pnącze wzdłuż! — zawołał Sun. — Moreau? Trzymam koniec. Jesteś gotowa?

Oznaczało to, że domyślił się, co zamierzała zrobić.

— Gotowa — odpowiedziała przez zaciśnięte zęby. — Hariman?

W odpowiedzi seria laserowych strzałów rozpruła grubą zewnętrzną osłonę winorośli, wypuszczając znajdującą się wewnątrz niewiarygodnie lepką substancję.

— Już! — krzyknął Sun.

Jin skoczyła.

Jej celem był inny cyprysowiec, znajdujący się tuż obok miejsca, w którym lampart szykował się do skoku. Do skoku, który doniósłby go do Todora, wciąż uparcie posługującego się bronią soniczną... i kiedy wydało jej się, że czas zaczął płynąć wolniej, zauważyła, że Hariman, podchodząc by ściąć winorośl, nieświadomie stanął na linii strzału pomiędzy Laynem a lampartem. Jeśli plan nie zadziała, prawdopodobnie zginie albo Todor, albo Hariman. W czasie skoku gałązki drzewa podrapały jej ręce i twarz... Z całej siły rzuciła pnącze w kierunku ziemi, trafiając dokładnie w grzbiet lamparta. Zwierzę zawyło mrożącym krew w żyłach głosem. Jin nigdy dotąd nie słyszała tak strasznego ryku. Przerażona, ledwo zdołała złapać się pnia cyprysowca. Rozcięła sobie przy tym lewą rękę. Krew pulsowała jej w skroniach, kiedy obracała się, by spojrzeć na dół.

Lampart skoczył mimo wszystko... ale w momencie, w którym odrywał się od ziemi, Sun szarpnął drugi koniec pnącza i sekundę później drapieżnik ostrym łukiem przeleciał obok Todora. Wylądował na łapach, z lepką winoroślą wciąż mocno przyczepioną wzdłuż grzbietu i przednimi kolcami wysuniętymi w pozycji obronnej. Obrócił się w stronę Suna.

— Przyklej gdzieś pnącze i zabieraj się stamtąd! — krzyknęła Jin.

Sun nie potrzebował podpowiedzi. Przycisnął luźny koniec winorośli do drzewa, z którego ją odciął, i wskoczył na gałęzie. Nie zatrzymując się, złapał równowagę i odepchnął się w kierunku drzewa, na którym siedziała Jin, w pół sekundy po tym jak uwiązany lampart skoczył, by złapać go za kostki.

Uchwycił pień sterczący tuż nad Jin, obsypując ją deszczem gałązek i liści.

— Co teraz? — mruknął.

— Myślę, że Layn strzeli w końcu do tej bestii — powiedziała... ale instruktor stał wciąż nieruchomo obok Todora i Harimana, obserwując sytuację, podczas gdy lampart miotał się na wszystkie strony, próbując uwolnić się z uwięzi.

— Nie wygląda na to, żeby był tym zainteresowany — mruknął Sun, podczas gdy Todor odskoczył pośpiesznie do tyłu. — Może chcą go uśpić i wykorzystać dla następnej grupy kadetów.

Myśli Suną biegły tym samym torem co jej własne.

— Moim zdaniem to cholernie głupia zabawa — mruknęła do niego. — Mogli przynajmniej poczekać, aż uruchomią nam przeciwpancerne lasery.

— Może chcieli, żebyśmy wykazali się inwencją. Jin odwróciła głowę w jego stronę.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— No... jak myślisz, ile pożyje ze złamanym pseudo-kręgosłupem?

Popatrzyła na zwierzę w dole. Zdołało oderwać kilka centymetrów pnącza, stracił przy tym wąski pasek sierści. Gdyby dać mu jeszcze parę minut...

— Może sprawdzimy? — zaproponowała ponuro.

— Niezła myśl. Ty weź tył, ja skoczę tuż za głową. Na trzy: raz, dwa, trzy.

Jin odepchnęła się od drzewa, wznosząc się łukiem tak wysoko, jak tylko się odważyła. Sun leciał równolegle z nią... minęli górny punkt łuku i zaczęli spadać.

— Nie! — ryknął Layn, ale było już za późno. Jin trafiła lamparta w sam środek grzbietu, zginając kolana dopiero w ostatniej chwili, po to by przenieść jak najwięcej siły uderzenia na ciało zwierzęcia. Sun uderzył w ułamek sekundy po niej. Jin poczuła i usłyszała dwa trzaśniecia.

— Nie, do diabła, nie! — ponownie wrzasnął Layn, przyklękając obok bezwładnego lamparta... ale tym razem Jin usłyszała w jego głosie dziwną nutę rezygnacji. — Do diabła z tym...

Kiedy wstał, wyraz jego twarzy skutecznie uciszył wszelkie komentarze, jakie mogły przyjść Jin do głowy. Sun nie był aż tak powściągliwy.

— Czy jest jakiś problem, panie instruktorze? — zapytał z ironią w głosie. — Chciał pan chyba, żebyśmy go zabili, prawda?

Layn przeszył go spojrzeniem ostrym jak promień lasera.

— Mieliście tylko bezpiecznie mnie stamtąd wyprowadzić — odparł z oburzeniem. — A nie... — Odetchnął głęboko. — Chciałem was poinformować, kadecie, że wy, para idiotów, zniszczyliście właśnie centralny przekaźnik ruchu niezwykle kosztownego robota. Mam nadzieję, że jesteście usatysfakcjonowani.

Sunowi szczęka opadła, a oczy Jin otworzyły się szeroko, kiedy spojrzała na lamparta.

— To chyba tłumaczy — usłyszała samą siebie — dlaczego nie strzelił pan do niego z lasera.

Layn miał taką minę, jakby był gotów gryźć kamienie.

— Wszyscy, powrót do kwater — prychnął. — Wieczorne zajęcia o zwykłej porze. Do tego czasu jesteście wolni. Zejdźcie mi z oczu.

Pukanie do jej drzwi było delikatne, niemal nieśmiałe.

— Tak?! — zawołała Jin, podnosząc wzrok znad czytnika.

— To ja, Mander Sun — odpowiedział znajomy głos. — Czy mogę wejść?

— Oczywiście — powiedziała Jin, marszcząc czoło i otwierając drzwi.

Wyglądał na zawstydzonego, kiedy wszedł niepewnym krokiem do pokoju.

— Pomyślałem, że ktoś powinien obejrzeć twoje dzisiejsze skaleczenie — powiedział.

Spojrzała zaskoczona na szybko gojący plaster na lewej ręce.

— Nie ma problemu, nie było głębokie, tylko trochę się paskudzi.

— Aha — kiwnął głową. — W takim razie... przepraszam, że cię niepokoiłem...

Zawahał się, z nieco niepewną miną.

Jin oblizała wargi. Powiedz coś — rozkazała samej sobie. Jak na złość, miała jednak pustkę w głowie.

— Hm, przy okazji — wydobyła z siebie, kiedy Sun odwracał się już w kierunku drzwi — myślisz, że Layn będzie nam robił problemy z powodu tego robota?

— Niech lepiej nie próbuje — powiedział, odwracając się ponownie. — Jeśli mają zamiar wyskakiwać z takimi sprawdzianami, to niech potem nie narzekają, że nie robimy tego, czego od nas oczekiwali. — Zawahał się przez moment. — Ten pomysł z winoroślą, hm... to było całkiem niezłe.

Wzruszyła ramionami.

— Tak naprawdę, to nie było aż takie odkrycie — przyznała. — Mój dziadek zrobił kiedyś coś podobnego z oszalałą gantują. A skoro już rozdajemy komplementy, to ty też spisałeś się nieźle. Szybko zrozumiałeś, o co chodzi.

— Nie miałem specjalnego wyboru — powiedział kwaśno. — Nie wyglądało na to, żebyś miała czas na tłumaczenie.

— Głupi robot — mruknęła, potrząsając głową. — Wstyd, że sami się tego nie domyśliliśmy. Layn dostałby chyba zawału, gdyby ktoś z nas podszedł i pogłaskał lamparta.

Sun uśmiechnął się szeroko.

— Myślę, że i tak był bliski zawału. — Jego uśmiech przeszedł w minę pełną zażenowania. — Wiesz, Moreau... Jin... muszę przyznać, że z początku nie podobało mi się to, że jesteś w oddziale. Nie z powodu tradycji, o których opowiadał Layn, ale dlatego, że żadna z kobiet, jakie znałem, nie miała tego, no... nie wiem, jak to nazwać... instynktu zabójcy, który niezbędny jest wojownikowi.

Jin wzruszyła ramionami, zmuszając się, by spojrzeć mu w oczy.

— Mógłbyś się zdziwić — powiedziała. — Poza tym w dzisiejszych czasach Kobry zajmują się raczej patrolowaniem niż konkretnymi działaniami wojennymi, przynajmniej w spokojniejszych rejonach światów.

— Dosyć tego — mruknął Sun, unosząc ręce w udawanym rozdrażnieniu. — Nie przeszkadza mi twoja obecność, ale nie, dziękuję, nie dam się wciągnąć w dyskusję na temat przydatności kobiet jako Kobr. — Zerknął na zegarek. — Za jakieś pół godziny mamy test z technik zwiadowczych. A niech to, muszę się jeszcze trochę pouczyć.

— Ja też. — Jin oblizała wargi. — Dzięki, że wpadłeś, Mander. Ja, hm...

— Mandy — powiedział, otwierając drzwi. — Wszyscy tak na mnie mówią. Do zobaczenia na zajęciach.

— W porządku. Cześć.

Przez dłuższą chwilę po jego wyjściu Jin wpatrywała się w zamknięte drzwi. Nie była do końca pewna, czy powinna zaufać ciepłym uczuciom, które się w niej odezwały. Czyżby naprawdę kończyła się jej izolacja w grupie? Tak łatwo i szyb-

ko? Tylko dlatego, że nieświadomie pomogła utrzeć nosa ich gburowatemu i wymagającemu instruktorowi?

Uśmiechnęła się nagle. Oczywiście, że tak. Jeśli istniała jakakolwiek wojskowa tradycja silniejsza od pozostałych, to był nią stosunek kadetów do całej reszty, wyrażający się sformułowaniem "my przeciw nim" ... a w szczególności przeciwko instruktorom. Pomagając Sunowi zniszczyć robota Layna, Jin znalazła się nagle po stronie "my".

A przynajmniej — pomyślała — wykonałam pierwszy krok. Na razie to wystarczało. Pierwsze lody, jak mawiał jej ojciec, zawsze najtrudniej przełamać.

Zmarszczyła na chwilę brwi, bowiem niespodziewanie przyszła jej do głowy dziwna myśl. Przecież Layn nie mógł celowo pozwolić jej zniszczyć tego robota... a może? Nie, oczywiście, że nie. Sam pomysł był absurdalny. Przecież powiedział, że wolałby, żeby jej się nie udało.

A propos udawania się... Obróciwszy się z powrotem do czytnika, wyświetliła szybki przegląd lekcji technik zwiadowczych. Zbliżał się przecież test.

Rozdział 8

Na biurku odezwał się budzik. Corwin spojrzał na niego z pewnym zaskoczeniem. Jakimś sposobem uciekło mu całe popołudnie. Była za dziesięć piąta, za czterdzieści minut w domu Justina miała rozpocząć się uroczystość z okazji ukończenia przez jego córkę Akademii Kobr.

Corwin wrócił myślami do podobnego wydarzenia sprzed prawie trzydziestu lat, kiedy to jego rodzice urządzali podobną uroczystość dla Justina. Był to męczący wieczór, wszyscy starali się zapomnieć o tym, że on i nowy Kobra, a zarazem jego brat bliźniak, odlecą za kilka dni na tajemniczy świat, Qasamę, być może po to, by nigdy nie powrócić.

Za tydzień na tę samą planetę w prawie identycznej sytuacji odlecieć miała Jin.

Po to, by załatwić tę samą sprawę.

Corwin pamiętał mgliście czasy swej młodości. Zdawało mu się wówczas, iż sprawy należycie rozwiązane za pierwszym razem nie stwarzają już więcej kłopotów. Wierzył, że można je załatwić raz na zawsze.

Nagle poczuł się bardzo stary.

— Corwin?

Otrząsając się ze wspomnień, powrócił do rzeczywistości.

— Słucham, Thena, o co chodzi?

— Gubernator generalny na linii. Mówi, że to coś ważnego.

Corwin zerknął jeszcze raz na zegar.

— Jak zwykle — mruknął. — No dobrze.

Nacisnął właściwy guzik i zamiast Theny na ekranie ukazał się obraz Chandlera.

— Tak?

Chandler wyglądał jak struty.

— Mam dla ciebie złe wiadomości, Moreau — powiedział bez wstępów. — Na moim biurku leży petycja, żądającą zatrzymania twojego brata do czasu ostatecznego wyjaśnienia sprawy Monse'a. Podpisało ją siedemdziesięciu jeden członków Rady Światów Kobr.

Corwin poczuł, że twarz mu tężeje. Siedemdziesięciu jeden członków to około sześćdziesięciu procent, absolutnie niewiarygodna liczba.

— To absurd — powiedział. — Cała ta sprawa...

— Cała ta sprawa — ponuro przerwał Chandler — zajmuje od siedmiu tygodni więcej czasu w sieci niż jakiekolwiek inne wydarzenie. Jeśli sam tego nie zauważyłeś, powiem ci, że publiczna gadanina o tym całym bałaganie nigdy na dobre nie umilkła, a w ostatnich dwóch tygodniach znowu zaczęło być o tym głośno.

Corwin zacisnął zęby aż do bólu. Zajęty organizacją i szczegółami dotyczącymi misji Kobr, nie miał czasu śledzić poglądów opinii publicznej Aventiny. Ale dlaczego ani Justin, ani Joshua lub ktokolwiek inny nie przypomnieli mu o tym?

Nie chcieli, żeby się denerwował, to jasne. Kiedy jego uwaga zwrócona była w inną stronę, Priesly i jego banda równie pilnie szykowali atak.

Może jednak nie było jeszcze za późno, by walczyć.

Nawet petycja złożona przez członków Rady Światów Kobr nie ograniczała prawnie działalności gubernatora generalnego. Gdyby udało mu się przeciągnąć Chandlera na swoją stronę... lub gdyby chociaż zachował neutralność...

— Skoro dzwoni pan z tym do mnie — powiedział Corwin ostrożnie — mam rozumieć, że zamierza pan podporządkować się ich żądaniu?

Oczy Chandlera błysnęły.

— Trudno to nazwać żądaniem, Moreau, jeśli zechcę, mogę zignorować całą sprawę. Rzecz sprowadza się do tego, czy jesteś wart tego, żebym narażał się w ten sposób opinii ogółu.

— Innymi słowy, po co ryzykować polityczną klapę dla gubernatora, który i tak jest na wylocie? — zapytał cicho Corwin.

Chandler miał na tyle przyzwoitości, by przynajmniej wyglądać na zakłopotanego.

— Nie o to chodzi — mruknął. — Cokolwiek stanie się z twoją siostrzenicą na Qasamie, nie zmienia faktu, że jesteś w obecnej chwili pełnoprawnym aventińskim gubernatorem.

— To prawda. — Corwin kiwnął głową. — Nie mówiąc już o tym, że być może Jin spisze się tak dobrze, że w ogóle nie będę musiał odchodzić.

— Myślę, że to możliwe — zgodził się Chandler. — Chociaż mało prawdopodobne.

Corwin wzruszył ramionami. Z zachowania Chandlera jasno wynikało, że czułby się niezręcznie, bez wyraźnej przyczyny odmawiając pomocy. Dawało to Corwinowi psychologiczny atut. Słaby, ale jedyny, na jaki mógł liczyć.

— Zakładam w takim razie, że nakaże pan, by wobec Justina zastosowano areszt domowy? — sondował. — Nie ma chyba potrzeby umieszczenia go w więzieniu.

— Może ich to zadowoli — powiedział spokojnie Chandler, patrząc mu w oczy. — A jeśli ktoś zasugeruje, że stanowi on potencjalne zagrożenie dla społeczeństwa i powinien znajdować pod pełniejszym nadzorem?

— Mógłby pan wtedy zapytać, gdzie ten ktoś, do cholery, wyobraża sobie uwięzienie Kobry, który nie ma ochoty być przetrzymywany — podsunął Corwin. — Mógłby też pan wskazać na oczywisty fakt, że Justin nie stanowi zagrożenia dla kogoś, kto nie ma wobec niego złych zamiarów. A jeśli ta osoba okaże się członkiem zarządu i będzie upoważniona do otrzymania tego typu informacji, mógłby pan powiedzieć, że wykorzystanie wahadłowca Troftów do planowanej misji może okazać się niemożliwe, jeśli Pierwszy Mówca dowie się, że ktoś z rodziny Moreau został aresztowany.

Chandler odrobinę uniósł brwi.

— Trudno mi uwierzyć w to, że ty i Tlosowie jesteście aż tak zaprzyjaźnieni.

— Nie jesteśmy. — Corwin potrząsnął głową. — Ale zauważ, że ten anonimowy osobnik był na statku, kiedy Pierwszy Mówca poprosił, by ktoś z rodziny Moreau pomógł planować wyprawę na Qasamę. Przypomnienie mu tego powinno uczynić go ostrożniejszym w podejmowaniu starań o publiczne uwięzienie.

Chandler sapnął cicho.

— Być może, być może. — Odetchnął głęboko. — Dobrze, będzie areszt domowy i postaramy się uniknąć rozgłosu.

— Dziękuję. — Corwin zawahał się. — Gdybym mógł prosić o jeszcze jedną przysługę... dziś wieczorem mamy przyjęcie z okazji ukończenia akademii przez Jin. Czy mógłby pan wstrzymać nakaz do jutra rana? To by nam wszystkim ułatwiło życie.

— Trudno mi wyobrazić sobie Justina uciekającego z planety — prawie natychmiast odpowiedział Chandler. Jeśli zdecydował się przeciwstawić Priesly'emu w jednej sprawie, postawienie się okoniem także w innej nie kosztowało go najwyraźniej żadnego dodatkowego wysiłku.

— W takim razie areszt domowy rozpocznie się oficjalnie jutro o ósmej rano. Zdajesz sobie oczywiście sprawę z tego, że Priesly potraktuje to jako przysługę, za którą będziesz mu coś dłużny. Niezależnie od tego, jak ty na to patrzysz.

— I tak już oddałem moją karierę w jego ręce, kiedy chodziło o przyjęcie Jin do Kobr — powiedział zimno Corwin. — Jeśli Priesly'emu zdaje się, że może wycisnąć ze mnie więcej, to się grubo myli.

— Tak przypuszczam — westchnął Chandler. — Chociaż na twoim miejscu doceniłbym jego umiejętności manipulowania siecią informacyjną. Ciche odejście ze stanowiska gubernatora a odejście po publicznym zniesławieniu, to dwie zupełnie różne sprawy. Sądzę, że miałby wielką przyjemność, mieszając z błotem nazwisko Moreau.

Corwin poczuł ucisk w żołądku. Nazwisko Moreau stanowiło chwalebną część krótkiej historii Światów Kobr. Było jednym z nielicznych nazwisk znanych od dzieciństwa w zasadzie wszystkim mieszkańcom Aventiny. Obrona jego honoru była decydującym czynnikiem w walce ojca przeciwko rebelii Challinora wiele lat temu i w jego późniejszej pracy nad przekształceniem aventińskiej polityki. Nazwisko stanowiło jeden z niewielu darów prawdziwej wartości, jakie Corwin mógł ofiarować swym siostrzenicom i swoim dzieciom, jeśli będzie je kiedykolwiek miał. Myśl o tym, że Priesly mógłby położyć na nim swoje brudne łapy...

— Pożałuje, jeśli to zrobi — odpowiedział cicho Chandlerowi. — Niech pan nazwie to groźbą albo stwierdzeniem faktu, ale proszę się upewnić, że zrozumiał.

Chandler pokiwał głową.

— Postaram się. Chciałem tylko, żebyś przyjął do wiadomości, z kim mamy do czynienia. W każdym razie... powinienem już kończyć. Z pewnością będziesz chciał powiedzieć o tym dziś wieczorem swemu bratu.

— Powiem — westchnął Corwin. — Dobranoc, panie gubernatorze... i dziękuję.

Gubernator generalny uśmiechnął się ponuro i zniknął z ekranu.

Przez dłuższą chwilę Corwin po prostu siedział, wpatrując rię tępym wzrokiem w pusty ekran. A więc Priesly nie zadowolił się tylko zawstydzeniem rodzi-

ny Moreau. Chciał krwi. Skoro chce dalszej walki — pomyślał gorzko — będzie ją miał. Corwin działał w polityce znacznie dłużej niż Priesly. Znajdzie jakiś sposób, żeby obrócić wszystko przeciw temu Jectowi.

Jakoś znajdzie.

Biorąc głęboki oddech, odsunął tę myśl od siebie najdalej, jak potrafił, po czym wstał. W końcu wybierał się na przyjęcie i powinien przynajmniej spróbować sprawiać wrażenie osoby zadowolonej, niezależnie od tego, jak się czuł naprawdę.

Czerwone smugi zachodzącego słońca bladły w mroku wczesnego wiosennego wieczoru, kiedy Jin podjechała do krawężnika i wysiadła z samochodu. Stała tak przez chwilę patrząc na dom, tak dobrze znany jej z czasów dzieciństwa, i zastanawiała się, dlaczego teraz wydawał jej się tak odmienny. Z pewnością nie dlatego, że nie była w nim od czterech tygodni. Wyjeżdżała na tak długo już wiele razy. Nie, dom się nie zmienił. Zmieniła się ona. Dom jej dzieciństwa... ale ona nie była już dzieckiem. Dorosła.

Dorosła i stała się Kobrą.

Kiedy zbliżała się do budynku, nieomal odruchowo uruchomiła wzmacniacz wzroku i dostrzegła nie znane dotąd szczegóły budynku oraz przylegającego doń terenu. Podczerwień ukazała jej coś, co wyglądało na mały ubytek ciepła na rogu, przy jej sypialni, nic dziwnego, że ten pokój zawsze wydawał się zimą chłodniejszy niż reszta domu. Wzmocnienie teleskopowe pokazało, iż rzekomo trwała podmurówka popękała przy studzience kanalizacyjnej, a przy wzmocnieniu świetlnym w połączeniu z teleskopowym spostrzegła w dziupli wysokiego drzewa, rosnącego obok domu, parę zwierzęcych oczu. Wspomnienia z przeszłości, przewidywania przyszłości, wszystko to mieszało się z rzeczywistością dnia dzisiejszego. W tym dniu, pokonawszy wszelkie przeciwności losu, zaspokoiła ambicję swojego życia. Została Kobrą.

Usłyszała odgłos zatrzymującego się za nią samochodu. Odwróciła głowę, spodziewając się ujrzeć jednego ze swych stryjów.

Był to Mander Sun.

— Hej, Jin! — zawołał, wystawiając głowę przez okno. — Zaczekaj chwilę.

Zawróciła i przeszła przez ulicę, podczas gdy Mandy parkował samochód przy przeciwległym krawężniku.

— Co się stało? — zapytała, dostrzegając napięcie na jego twarzy. — Coś nie w porządku?

— Nie wiem. — Jego oczy bacznie ją obserwowały. — Może to tylko plotki... posłuchaj... usłyszałem to dziś po południu, od znajomego mojego ojca, który opracowuje dane dla zarządu. Wiesz, dlaczego przyjęli cię do akademii?

Oczywiste, formalne powody, które przyszły Jin do głowy, ulotniły się gdzieś nie wypowiedziane.

— Wiem tyle, ile mi powiedzieli. Czego się dowiedziałeś?

— To była cicha umowa — mruknął. — Twój stryj, gubernator, zaręczył za ciebie. Jeśli misja się powiedzie, pozostanie na stanowisku. W przeciwnym wypadku... będzie musiał złożyć rezygnację.

Jin poczuła suchość w gardle. Wspomnienia tej strasznej nocy sprzed wielu tygodni, kiedy ojciec zastrzelił Monse'a... Tej nocy, kiedy błagała stryja Corwina, żeby załatwił jej jakimś sposobem przyjęcie do Kobr.

— Nie — szepnęła. — Nie. Nie zrobiłby tego. Polityka to całe jego życie.

Sun bezradnie wzruszył ramionami.

— Nie wiem, czy to prawda, Jin. Pomyślałem tylko... że i być może nie wiedziałaś o tym, a powinnaś.

— Po co? Po to, żebym się jeszcze bardziej denerwowała wyprawą? — wybuchnęła nagłym gniewem.

— Nie — powiedział cicho Sun. — Po to, żebyś usłyszała o tym od przyjaciela. I po to, żebym mógł ci powiedzieć, że reszta grupy jest po twojej stronie.

Otworzyła usta, po czym je zamknęła. Cały gniew gdzieś się ulotnił.

— Że co?...

Popatrzył jej w oczy.

— Przed przyjazdem tutaj rozmawiałem z Rafem i Peterem. Wszyscy zgadzamy się co do tego, że jesteś dobrym członkiem zespołu i nie zasługujesz na takie dodatkowe obciążenie. — Odsapnął cicho. — Zgodziliśmy się także, że ktoś, kto zamierza podłożyć taką świnię gubernatorowi Moreau, jest pełnokrwistą kanalią i mógłby chcieć, żebyś dowiedziała się o tym w ostatniej chwili. Wiesz, utrudnić ci całą sytuację. Jak powiedziałem... pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli dowiesz się o tym od przyjaciół.

Popatrzyła z powrotem na dom, chciała, by Mander nie zauważył łez w jej oczach. To była oczywiście prawda. W końcu musiało to odbyć się w podobny sposób. "Stryju Corwinie..." "Ja..." "Tak". "Dziękuję ci" — przypomniała sobie, jak go prosiła.

Nieśmiało dotknął jej dłoni, opartej o samochód.

— Uda nam się, Jin — powiedział. — Odwalimy na Qasamie taką wystrzałową robotę, że będą mieli szczęście, jeśli nie każemy im zorganizować dla nas w mieście parady i kanonizować przy okazji gubernatora Moreau.

Jin zamrugała oczami, rozpraszając łzy i starając się uśmiechnąć.

— Masz rację — wydusiła, ściskając przelotnie jego dłoń. — Pożałują, że próbowali dobrać się do kogoś z rodziny Moreau.

— Jeszcze bardziej pożałują, że chcieli wykorzystać do tego jednego z Sunów — dodał Mander groźnie, ale z dumą w głosie. — No, na mnie już czas, rodzina czeka. Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

— Tak — kiwnęła głową. — Dzięki, Mandy.

— Nie ma sprawy, kolego. — Miała wrażenie, że niechętnie puścił jej dłoń. — No dobrze, uważaj na siebie, postaraj się nie wpakować w żadne kłopoty. Do zobaczenia za tydzień na lądowisku.

— W porządku. Do zobaczenia.

— Do zobaczenia.

Patrzyła za nim, dopóki samochód nie zniknął za zakrętem. Potem, biorąc głęboki oddech, wyprostowała się i poszła z powrotem w stronę domu. Nie wszystkie szczegóły tego bałaganu były dla niej jasne. Rodzina nie chciała, żeby wiedziała o transakcji stryja Corwina, toteż nikt nie może się zorientować, że ona coś wie. Nie miała przygotowania aktorskiego, ale dorastała wraz z dwoma starszymi siostrami i dawno nauczyła się naginać prawdę, zachowując kamienną twarz.

A może warto się nawet uśmiechnąć. Wybierała się w końcu na przyjęcie i powinna przynajmniej spróbować stworzyć wrażenie osoby zadowolonej, niezależnie od tego, co czuła naprawdę.

Rozdział 9

Nowe Kobry dostały przed zaplanowanym odlotem tydzień urlopu. Jin ten czas upłynął błyskawicznie.

— ...i cokolwiek będziesz robić, słuchaj się Layna, dobrze? — mówił Justin swojej córce, kiedy szli pod rękę wzdłuż długiej pochylni prowadzącej do luku wejściowego "Southern Cross"... — Wiem, że jako instruktor jest niesłychanie dokuczliwy, ale to bystry taktyk i wspaniały żołnierz. Trzymaj się go, a wszystko będzie dobrze.

— Dobrze, tato. — Jin kiwnęła głową. — No, nie martw się, poradzimy sobie.

Justin spojrzał na twarz córki i przez chwilę ogarnęło go intesywne wrażenie deja vu.

— Qasama jest ostatnim miejscem w świecie, gdzie można by czuć się zbyt pewnym siebie, Jin — powiedział spokojnie. — Tam wszystko jest niebezpieczne, począwszy od krisjawów, kolczastych lampartów, skończywszy na mojokach i Qasamanach. Wszyscy są niebezpieczni i wszyscy was nienawidzą. A ciebie w szczególności.

Jin przytuliła się mocniej do niego.

— Nie martw się, tato. Wiem, czego się spodziewać.

— Nie, nie wiesz. Nikt tego nigdy nie wie. Musisz... zresztą nieważne.

Odetchnął głęboko, walcząc z chęcią zrobienia jej wykładu.

— Po prostu bądź ostrożna i wróć szczęśliwie, dobrze?

— Dobra rada — powiedziała poważnie. — Ty też bądź ostrożny, dobrze? Ja przynajmniej lecę w towarzystwie Kobr i innych kompetentnych ludzi, ty natomiast zostajesz tu z Prieslym i jego bandą.

W wymyślonym przez Priesly'ego areszcie domowym... Szczęki Justina zacisnęły się na chwilę, kiedy ponownie uświadomił sobie obecność dwóch strażników, stojących o kilka kroków za nimi.

— Nie jest tak źle — powiedział, zmuszając się do uśmiechu. — Dopóki Corwin walczy w mojej sprawie, Priesly nie ma szans nabić mnie w butelkę.

Po twarzy Jin przemknął jakiś cień. Za szybko jednak, by Justin mógł odczytać, jakie uczucie się za nim kryło.

— Tak — powiedziała. — Jasne.... Wejdziesz ze mną na pochylnię?

Tak też zrobił. Przy wejściu uścisnęli się po raz ostatni... Kiedy Justin poczuł w ramionach Jin siłę Kobry, do oczu napłynęły mu łzy. Ćwierć wieku nadziei i niepokoju dobiegło wreszcie końca. Jego dziecko zastąpiło go w roli Kobry.

Przy wejściu rozległ się potrójny gong.

— Chyba powinnam już iść — mruknęła z twarzą opartą o jego pierś. — Zobaczymy się za kilka tygodni, tato. Dbaj o siebie, dobrze?

— Oczywiście.

Puścił ją niechętnie i zrobił pół kroku w tył. Uśmiechnęła się do niego, mruganiem powiek rozpraszając łzy, po czym pomachała po raz ostatni w tę stronę, gdzie jej siostry i kuzynki oczekiwały na odlot "Southern Cross".

Zniknęła, a Justin zaczął oddalać się od statku. Nic się jej nie stanie — powtarzał w myślach raz po raz. — Nic się jej nie stanie. Na pewno. Jest moją córką. Wszystko musi się udać.

Wtedy po raz pierwszy zrozumiał, co jego rodzice czuli tego dnia, dawno temu, kiedy on i Joshua odlatywali na Qasamę. Wspomnienie to wywołało gorzki uśmiech.

Czy we wszechświecie istniała sprawiedliwość, tego nie wiedział. Ale wyglądało na to, że obowiązywała pewna równowaga.

Rozdział 10

Podróż na Qasamę trwała dwa tygodnie, które minęły bardzo szybko. Była to pierwsza okazja, by nowe Kobry mogły kontaktować się miedzy sobą na poziomie zbliżonym do towarzyskiego. Między sobą, a także z dwoma mężczyznami, którzy mieli dowodzić misją.

Dowódcy, jak się Jin wydawało, bardzo różnili się od siebie. Obaj byli najlepszymi ekspertami Aventińskiego Centrum Nadzoru Qasamy, ale na tym podobieństwa się kończyły. Pash Barynson — w średnim wieku, chudy i niski, niższy o kilka centymetrów od Jin — miał rzadkie czarne włosy i męczące, akademickie maniery, tak sztywne, że aż karykaturalne. Como Raines stanowił prawie dokładne przeciwieństwo kolegi, zarówno w zachowaniu, jak i wyglądzie. Wysoki, pulchny, w wieku około trzydziestu lat, miał rudoblond włosy i stale się uśmiechał, co przy jego wylewnym sposobie bycia umożliwiło mu zaprzyjaźnienie się ze wszystkimi na pokładzie, zanim jeszcze "Southern Cross" opuścił atmosferę Aventiny.

Tworzyli niezwykłą parę i Jin potrzebowała prawie tygodnia, by zrozumieć, że organizatorzy misji nie wyciągnęli ich kandydatur z kapelusza. Raines dzięki łatwości nawiązywania przyjaźni miał być prawdopodobnie specjalistą od kontaktów z Qasamanami, natomiast Barynson miał pozostać na zapleczu i analizować dane dostarczane przez Rainesa i innych.

W trakcie odpraw ona i jej koledzy zorientowali się szybko, że to Barynson był szefem.

— Podejście wykonamy od nie zamieszkanej, zachodniej strony, a lądować będziemy mniej więcej godzinę przed świtem, według lokalnego czasu — powiedział Barynson, pochylając się nad fotomapą i pokazując palcem fragment puszczy. — Najbliższe osady na granicy obszaru Urodzajnego Półksiężyca znajdują się w odległości około piętnastu kilometrów na wschód i południowy wschód... — Wskazał je kolejno. — W tej samej mniej więcej odległości na pomocny wschód, nad rzeką, mamy coś, co wygląda na teren wyrębu. Zauważcie, że lokalizacja punktu lądowania jest, przynajmniej teoretycznie, wynikiem kompromisu przy uwzględnieniu czynnika odległości i bezpieczeństwa. Czy okaże się w praktyce szczęśliwym rozwiązaniem, dowiemy się dopiero, kiedy się tam znajdziemy.

— Czy wiadomo coś na temat poszycia, przez które będziemy musieli się przedzierać? — zapytał Todor.

— Niestety nie — przyznał Barynson. — Większość danych dotyczących qasamańskich puszczy pochodzi z rejonów położonych daleko na wschód od tego miejsca, a badania podczerwienią wskazują, że na tym terenie występuje odmienna roślinność.

— Oczywiście jeśli przeprawa okaże się niemożliwa — dodał Raines — możemy zawsze wznieść wahadłowiec na wysokość drzew i zbliżyć się do osad.

— Wyłącznie jeśli warunki okażą się naprawdę cholernie trudne — mruknął Layn. — Możemy tylko wierzyć Troftom na słowo, że qasamańskie systemy obserwacyjne nie będą w stanie wykryć naszego podejścia. Im częściej będziemy latać wahadłowcem, tym większe ryzyko, że nas wytropią.

— Zgadzam się — przytaknął Barynson. — Chociaż prawdopodobnie bardziej bezpośrednie niebezpieczeństwo będzie groziło nam ze strony qasamańskiej fauny. Mam nadzieję, że wy, Kobry, jesteście gotowi podjąć to wyzwanie.

— Jesteśmy gotowi — odpowiedział Layn. — Ci faceci wiedzą, co robią.

Barynson spojrzał na Jin, ale szybko odwrócił wzrok.

— Tak, z pewnością wiedzą — powiedział, jakby prawie wierzył, że i ona jest mężczyzną. — No, w każdym razie... wszyscy będziemy wyposażeni w najlepsze podróbki qasamańskiej odzieży, jakich mogły dostarczyć nam analizy telezdjęć. Czas lądowania jest obliczony tak, byśmy mogli przedostać się przez puszczę w ciągu dnia i dotrzeć do wioski z zapadnięciem nocy. Da to nam szansę na sprawdzenie, czy nasze stroje są odpowiednie i na wstępne rozeznanie się w terenie, zanim podejdziemy do Azras i głównego skupiska Urodzajnego Półksiężyca. Czy są jakieś pytania?

Jin pochwyciła spojrzenie Suną siedzącego po przeciwnej stronie stołu. Inni nieznacznie wzruszyli ramionami, wtórując myślom Jin. Zadawanie pytań, na które nie było odpowiedzi, nie miało sensu.

— W porządku. — Barynson omiótł spojrzeniem obecnych. — Do lądowania zostały trzy dni i przez ten czas macie się postarać zostać Qasamanami. Będziecie ubierać się po qasamańsku, jeść potrawy zbliżone do tego, co Qasamanie jadali trzydzieści lat temu i, co najważniejsze, będziecie rozmawiać między sobą wyłącznie mową Qasaman. Nie ma odstępstw od tej reguły. Nie wolno wam mówić po anglicku do nikogo, nawet do załogi "Southern Cross". Jeśli ktoś z nich się do was odezwie, macie udawać, że nie rozumiecie. Jasne?

— Czy to nie przesada? — zapytał Hariman, marszcząc brwi.

— Qasamanie mieli wystarczająco dużo okazji do nauczenia się anglickiego przy poprzedniej wizycie Kobr — wtrąciła cicho Jin. — Niektórym udało się nawet wkuć go na tyle, by móc się w nim porozumiewać. Jeśli zaczną nas podejrzewać, mogą podesłać takiego człowieka.

— Właśnie — przytaknął Barynson, mimowolnie okazując podziw. — Stara sztuczka z podpuszczeniem szpiega, żeby zaczął mówić we własnym języku. Wolałbym, żeby nikt z nas nie dał się na to nabrać.

— Rozumiemy — powiedział Sun po qasamańsku. — My, diabelscy wojownicy, nie damy się na to nabrać.

— Mam nadzieję. — Barynson spojrzał mu prosto w oczy. — Bo gdyby się tak kiedykolwiek stało, prawdopodobnie dostałbyś solidną nauczkę.

Qasama w porównaniu z gwiazdami wyglądała jak czarna masa, na brzegu której niewyraźna linia światła w kształcie księżyca w nowiu zaznaczała linię świtu. Wahadłowiec odłączył się od "Southern Cross" i rozpoczął swobodny dryf w stronę planety. Wyglądając przez mały iluminator po lewej stronie, Jin oblizała zeschnięte wargi, starając się uspokoić bijące głośno serce. Jesteśmy już prawie na miejscu — powiedziała do siebie. — Prawie na miejscu. Jej pierwsza misja w roli Kobry — zadanie, o którym marzyła i które wyobrażała sobie przez prawie pół życia, miało się za chwilę rozpocząć. A teraz, kiedy ten wyśniony cel znalazł się na wyciągnięcie ręki, nie potrafiła czuć nic innego poza cichym przerażeniem.

I to ma być bohaterska postawa wojownika-Kobry — pomyślała prawie z goryczą.

— Leciałaś już kiedyś? — zapytał cicho Sun, siedzący obok niej.

— Samolotem tak, ale nigdy statkiem kosmicznym — odpowiedziała Jin, z wdzięcznością odwracając uwagę od iluminatora. — A już na pewno nigdy na terytorium wroga.

Zachichotał, starając się ukryć nerwowe drganie powieki.

— Poradzimy sobie — zapewnił ją. — Parady i kanonizacja, pamiętasz?

Mimo napięcia uśmiechnęła się nieświadomie.

— Oczywiście.

Sięgając przez podłokietnik, wzięła go za rękę. Była prawie tak zimna jak jej własna.

— Wchodzimy w atmosferę — usłyszała głos z oświetlonej na czerwono kabiny pilotów znajdującej się przed przedziałem pasażerskim. — Kąt wejścia... idealnie.

Jin zacisnęła zęby. Rozumiała powody, dla których szybowali bez silników tak długo, jak tylko się dało. Poświata antygrawitorów statku była bardzo widoczna, szczególnie na tle nocnego nieba. Niemniej milczenie silników ani trochę nie uspokajało jej nerwów. Spoglądając znów przez iluminator próbowała nie wyobrażać sobie, że to planeta pędzi, by rozstrzaskać ich statek na miazgę.

— Oho — mruknął pilot.

— Co? — warknął Barynson z sąsiedniego fotela.

— Właśnie radar nas namierzył.

Jin poczuła jeszcze większą suchość w ustach, a Sun chwycił ją mocniej za rękę.

— Przecież nie mogą nas wykryć, prawda? — zapytał Barynson. — Troftowie powiedzieli nam...

— Nie, nie, jesteśmy bezpieczni — zapewnił go pilot. — Zdziwiłem się tylko, że prowadzą nasłuch tak daleko od Urodzajnego Półksiężyca, to wszystko.

— To paranoicy — mruknął Layn, siedzący twarzą do Suną w sąsiednim rzędzie. — Co nowego poza tym?

Przecież mieli już tego nie robić — pomyślała Jin posępnie. — Podobno przestali być wrogo do nas nastawieni, kiedy zdjęliśmy im z ramion mojoki. Przecież po to w końcu przed trzydziestoma laty zasiedlono całą planetę aventińskimi kolczastymi lampartami. Jeśli to nie zadziałało...

Potrząsnęła głową, by oddalić te myśli. Jeśli nie zadziałało, to szybko się o tym przekonają. Na razie nie było sensu się tym martwić.

— Parady i kanonizacja — mruknął Sun, źle odczytując jej myśli. Ale ta uwaga pomogła i Jin posłała mu uśmiech pełen wdzięczności.

Minuty wlokły się jedna za drugą. Dziwnie odległy gwizd powietrza smagającego kadłub wahadłowca nasilił się, a potem ucichł i powoli wszystkie gwiazdy, poza najjaśniej świecącymi, znikały w coraz grubszych warstwach Otaczającej ich atmosfery. Gdy zapięła pasy bezpieczeństwa, Jin mogła dostrzec najważniejsze szczegóły znajdującej się pod nimi planety, a w oddali horyzont całkowicie zatracił twą łukowatość. Według jej oceny wylądują za pięć, najwyżej dziesięć minut. Włączywszy obwód zegarowy nanokomputera, oparła się w fotelu, zamknęła oczy i głęboko odetchnęła.

Przez zamknięte powieki zobaczyła, że prawa strona przedziału pasażerskiego zabłysła nagle nagle niczym ognista kula, po czym miażdżąca siła grzmotu wgniotła ją w fotel. Zaległa całkowita ciemność.

Rozdział 11

Najpierw poczuła ból. Nie umiejscowiony, na początku nawet nie bardzo dokuczliwy. Była to raczej nieokreślona i nieprzyjemna świadomość, że gdzieś coś boli. Bardzo boli...

Jin starała się tym nie przejmować. Ciemność była cichai łatwa do rozpoznania, byłoby miło pozostać w niej na zawsze. Ale ból naciskał nieustannie, więc kiedy musiała w końcu zauważyć i uznać jego istnienie, poczuła, że powoli wydobywa się zmroku. Opornie, niechętnie przeszła przez czerń ku ciemnej szarości, następnie ku szarości nieco jaśniejszej...

Ocknęła się nagle, gwałtownie łapiąc oddech, bo ból wzmógł się i skupił w ramionach, klatce piersiowej i kolanie. Tkwiła w dziwacznej, niewygodnej pozycji, półsiedząc, półleżąc na lewym boku. W piersi i górną część ud boleśnie wbijały się pasy bezpieczeństwa. Mrugając powiekami poczuła coś mokrego wokół oczu.

Krew? — pomyślała niepewnie i rozejrzała się po przekrzywionym, ciemnym wnętrzu wahadłowca. Niczego nie widziała wyraźnie. Dopiero po kilku sekundach, kiedy wysilała wzrok, zamroczony umysł przypomniał jej o wzmacniaczach wzroku. Widok zaparł jej dech w piersiach.

Wnętrze wahadłowca przypominało pobojowisko. Po przeciwnej stronie przedziału, w kadłubie widniała dziura mniej więcej metrowej średnicy o ostrych, poszarpanych krawędziach. Pasma pogiętego, osmalonego metalu odstawały od brzegów otworu jak zamarznięte wstążki. Kawałki plastiku, szkła i strzępy ubrań. Podwójne fotele, które znajdować się powinny obok dziury, zniknęły.

Fotele, na których siedzieli Layn i Raines.

O Boże. Jin patrzyła przez chwilę z przerażeniem na zniszczone wsporniki foteli. Zniknęli, nie było ich w ogóle na pokładzie wahadłowca... wypadli trzydzieści czy czterdzieści kilometrów wyżej.

Gdzieś ktoś jęknął.

— Peter? — wychrypiała.

Todor i Hariman siedzieli w fotelach tuż za dowódcami...

— Peter? — spróbowała ponownie. — Rafe?

Nikt nie odpowiadał. Okrwawioną ręką sięgnęła do zapięcia pasów bezpieczeństwa. Zacięło się. Zaciskając zęby, uruchomiła wspomaganie mięśni i odpięła zatrzask. Wstała niepewnie, potykając się na pochyłej podłodze. Żeby złapać równowagę, chwyciła się resztek awaryjnej poduszki powietrznej przy swoim fotelu. Uderzyła przy tym kolanem o przegrodę. Obezwładniający ból przeszył staw, wyrywając ją z otępienia. Potrząsnęła głową, co wywołało kolejne ukłucia bólu, i podniosła wzrok, by spojrzeć ponad fotelem na miejsce, w którym powinni znajdować się Todor i Hariman.

Dopiero wtedy zobaczyła, co stało się z Sunem.

Gwałtownie złapała oddech, jej żołądek skurczył się nagle i omal nie zwymiotowała. Wybuch obsypał powietrzną poduszkę Suna odłamkami, które przebiły twardy plastik. Mężczyzna był zupełnie bezbronny wobec wstrząsu spowodowanego upadkiem wahadłowca. Wciąż tkwił przypięty do fotela, krew plamiła jego kombinezon w miejscach, w których pasy wbiły się w skórę, głowę miał opartą o klatkę piersiową pod przedziwnym kątem. Był martwy.

Jin wpatrywała się w niego przez dobrą minutę. To się nie dzieje naprawdę — powiedziała do siebie, usiłując w to uwierzyć. Może jeśli uwierzy dostatecznie mocno, to tak się stanie... To się nie dzieje naprawdę. To nasza pierwsza misja. Dopiero pierwsza misja. To się nie mogło stać. Nie teraz. Boże, błagam... Nie teraz.

Świat zaczął falować jej przed oczami, a na optycznie wzmocniony obraz nałożyła się czerwona obwódka. Czujniki ostrzegały ją o zbliżającej się utracie przytomności. Kogo to obchodzi? — pomyślała z wściekłością. Sun nie żyje, podobnie jak Layn, Raines i nie wiadomo kto jeszcze. Po co mam być przytomna?

Jakby w odpowiedzi ponownie usłyszała jęk.

Dźwięk ten odwrócił jej uwagę od martwego ciała Suna. Przecisnąwszy się obok niego, dostała się na zaśmiecone przejście miedzy rzędami, z trudem starając się skupić wzrok na fotelach, w których bezwładnie zwisali Hariman i Todor. Nie mogła znieść widoku Harimana. Było jasne, że zginął od wybuchu, w sposób bardziej gwałtowny i okropny niż Sun. Ale Todor, siedzący w fotelu obok, wciąż żył, podrygując jak dziecko, któremu śni się koszmar.

Jin znalazła się przy nim w ciągu kilku sekund. Sięgnęła po awaryjny zestaw medyczny z przedniej ściany pasażerskiego przedziału. Lekceważąc ból w kolanie, uklękła przy rannym i zabrała się do pracy.

Szybko okazało się, że zarówno wyposażenie zestawu, jak i jej własne umiejętności udzielania pierwszej pomocy są niewystarczające. Przy rozległym wewnętrznym krwotoku, jaki czujniki rejestrowały w jego klatce piersiowej, powierzchniowe opatrywanie ran nie miało większego sensu. Leki przeciwszokowe okazały się nieskuteczne wobec ciężkiego wstrząsu, który rozsadzał mózg Todora, zamknięty w ceramicznie wzmocnionej czaszce.

Ale Jin się nie poddawała. Nie mogła się poddać. Klnąc i pocąc się opatrywała Todora, próbując wszystkich sposobów.

— Jin?

Ochrypły szept zaskoczył ją tak bardzo, że upuściła pistolet do zastrzyków, który właśnie ładowała.

— Peter? — zapytała, spoglądając na jego twarz. — Słyszysz mnie?

— Nie trać... czasu... — zakaszlał, na wargach pojawiła się krew.

— Nie próbuj mówić — powiedziała Jin, ukrywając przerażenie. — Postaraj się leżeć spokojnie, proszę.

— Nie... warto... — wyszeptał. — Idź... uciekaj... stąd... ktoś... przyjść. Ktoś... musi.

— Peter, przestań mówić, proszę cię — błagała. — Inni, Mandy i Rafe, wszyscy nie żyją. Muszę cię uratować...

— Nie ma... szans. Zbyt poważne... rany. Mis... misja, Jin... musisz... musisz... — zakaszlał ponownie, tym razem słabiej. — Uciekać... gdzieś... kryć się.

Jego głos odpłynął w ciszę. Jin przez chwilę jeszcze klęczała obok Petera, rozdarta pomiędzy przeciwstawnymi racjami. Miał oczywiście słuszność i im bardziej dochodziła do siebie po wstrząsie, tym jaśniej zdawała sobie sprawę, jak niewiele pozostało jej czasu. Wahadłowiec został strącony celowo... ktokolwiek to zrobił, w końcu pojawi się, by obejrzeć swoją robotę.

Ale uciekając, pozostawiłaby tu Todora samego. Na pewną śmierć.

— Nie mogę odejść, Peter — ostatnie słowo zamieniło się w szloch. — Nie mogę.

Nie usłyszała odpowiedzi... i kiedy patrzyła bezradnie, drgawki wstrząsające jego ciałem ustały. Popatrzyła jeszcze przez chwilę, po czym wyciągnąwszy rękę, dotknęła palcami jego szyi. Nie żył.

Jin ostrożnie odsunęła dłoń i wzdrygając się odetchnęła głęboko, starała się nie płakać. Zauważyła, że palcowe lasery Todora żarzą się łagodnym światłem.

Nowy system autodestrukcji wbudowany w ich osprzęt zaktywizował się, kierując prąd z kondensatorów miotacza energii elektrycznej do wewnątrz, do nanokomputera i serwomotorów, automatycznie uszkadzając elektronikę i uzbrojenie poniżej stanu naprawialności na wypadek, gdyby Qasamanie mieli znaleźć i zbadać ciało Todora.

Nie. Nie, jeżeli znajdą ciało... wtedy gdy znajdą ciało, a znajdą je na pewno.

Starając się nie widzieć tego, co się stało wokół niej, Jin próbowała się skupić. Minęło... Ile czasu minęło od katastrofy? Sprawdziła obwód zegarowy, włączony tuż przed pierwszym wybuchem.

Od tamtego momentu upłynęło prawie siedemdziesiąt minut.

Jin zacisnęła zęby. Siedemdziesiąt minut? Boże, było gorzej, niż się spodziewała. Samoloty, którymi Qasamanie przylecą, by obejrzeć skutki swych ćwiczeń strzeleckich, mogły pojawić się w każdej chwili, a ostatnią rzeczą, na jaką Jin była w tej chwili gotowa, byk walka. Chwyciwszy się fotela Todora, wstała i przeszła do przodu.

Kabina pilotów znajdowała się w jeszcze gorszym stanie niż przedział pasażerski. Wyglądało na to, że przetrzymała wybuch tylko po to, by przyjąć na siebie cały impet tego piekielnego, awaryjnego lądowania. Jedno spojrzenie rozwiało jakiekolwiek nadzieje na skontaktowanie się z "Southern Cross", aby prosić o pomoc lub radę. Nadajniki wahadłowca, radiowy jak również laserowy, były kompletnie zniszczone. Oznaczało to, że dopóki załoga "Southern Cross" jakoś nie zorientuje się, że coś się stało, Jin była pozostawiona samej sobie. Całkowicie.

Barynson i pilot nie żyli, zostali zmiażdżeni, nie pomogły im ani pasy bezpieczeństwa, ani poduszki powietrzne. Jin z lekkim poczuciem winy zdała sobie sprawę, że nie znała nawet nazwiska pilota. Nie spojrzała na nich po raz drugi, wpadała w jeszcze większą panikę. Chciała się za wszelką cenę jak najszybciej wydostać.

Za fotelem Barynsona, zrzucone z półki siłą zderzenia, znajdowały się resztki "skrzynki kontaktowej" grupy. Zawierały mapy lotnicze, skanery krótkiego zasięgu, przedmioty wymiany handlowej i urządzenie do łączności z bazą. Zgarniając to wszystko, Jin wróciła na tył przedziału pasażerskiego, gdzie znajdowała się reszta sprzętu. Jej "pakiet przetrwania" wydawał się nie naruszony, podobnie jak inne pakiety. Zabrała na wszelki wypadek jeszcze pakiet Suna, podeszła do włazu wyjściowego i szarpnęła dźwignię awaryjnego otwierania. Bez skutku.

— Cholera — warknęła, a napięcie przeszło w chwilową furię.

Obracając się na prawej pięcie, strzeliła z lewej nogi w wygięty metal palącym ogniem przeciwpancernego lasera. Udało jej się w ten sposób osiągnąć niewiele więcej ponad migotanie fioletowych plamek poświaty przed oczami i setek maleńkich, punktowych oparzeń od kropelek stopionego metalu.

W porządku — pomyślała, rozpraszając pojawiające się znowu łzy. — Dosyć tej histerii, dziewczyno. Uspokój się i spróbuj dla odmiany pomyśleć. Badając wypaczone drzwi, znalazła punkty, które je najprawdopodobniej trzymały, i wymierzyła do nich z przeciwpancernego lasera. Potem, krzywiąc się z bólu, kiedy przeniosła ciężar całego ciała na osłabione lewe kolano, kopnęła w środek płyty. Klapa włazu ustąpiła mniej więcej o centymetr. Kilka kopniaków i dodatkowych strzałów uchyliło ją na tyle, by Jin mogła w końcu się przecisnąć.

Lądowanie zaplanowano na godzinę przed świtem, a opóźnienie sprawiło, że w puszczy było już na tyle widno, iż mogła wyłączyć wzmacniacze wzroku. Oparła się o klapę włazu — zdołała ją jako tako zatrzasnąć. Głęboko wdychając zaskakująco aromatyczne powietrze, rozejrzała się wokół siebie.

Z zewnątrz wahadłowiec wyglądał jeszcze gorzej niż w środku. Wydawało się, że każda płyta kadłuba była wypaczona, a dziób statku zgnieciony niemal nie do rozpoznania. Większość pokrycia pochłaniającego fale radarowe oraz wszystkie wystające czujniki zniknęły. Wyglądało to tak, jakby tysiąc kolczastych lampartów próbowało rozszarpać statek pazurami. Przyczyn nie trzeba było szukać daleko. Kiedy skazany na zagładę statek kończył swój szaleńczy lot ku ziemi, zniszczył doszczętnie drzewa na odcinku stu metrów.

Zaciskając zęby, popatrzyła w górę. Niebieskawe niebo było nadal puste, ale to nie potrwa długo... a kiedy Qasamanie nadlecą, przeorany pas miedzy drzewami będzie dla nich drogowskazem nie do przeoczenia. Włączając wzmacniacze słuchu, przystanęła i nasłuchiwała dźwięku zbliżających się silników.

Zamiast tego usłyszała niewyraźne, ale dobrze znane warczenie.

Powoli, uważając, by nie wykonać żadnych gwałtownych ruchów, opuściła na ziemię plecaki i odwróciła się. To był oczywiście kolczasty lampart, ukryty za krzakiem w odległości niecałych dziesięciu metrów.

Skradał się ku niej.

Przez chwilę Jin patrzyła bestii prosto w oczy. Miała dziwne wrażenie, że spotyka takie zwierzę po raz pierwszy. Wyglądało dokładnie jak te, przeciwko którym uczyła się walczyć na Aventinie... ale w jego pysku, a szczególnie w oczach było coś, czego do tej pory nie widywała u kolczastych lampartów. Dziwna, prawie ponadnaturalna czujność i inteligencja? Oblizując zeschnięte wargi,

oderwała wzrok od jego głowy, spoglądając na srebrnoniebieskiego ptaka siedzącego na grzbiecie lamparta.

Był to bez wątpienia mojok. Pasował do opisów, które słyszała od ojca i jego przyjaciół — Kobr... Ale żadna relacja nie oddawała w pełni cech ptaka. Podobny do jastrzębia, z przerośniętymi łapami i ohydnie zakrzywionymi szponami, mojok stanowił idealny przykład drapieżcy. A w oczach...

W oczach miał tę samą czujność, którą spostrzegła wcześniej u towarzyszącego mu kolczastego lamparta.

Jin ponownie oblizała wargi. Przed nią stał żywy dowód na to, że plan opracowany przez jej ojca przed tyloma laty się powiódł, przynajmniej w pewnym stopniu. W innych warunkach prawdopodobnie powinna poświęcić więcej uwagi tej współpracy, ale w obecnej sytuacji czas był bardzo ograniczony, a akademickie obserwacje nie miały wielkiego znaczenia. Dwa spojrzenia wystarczyły, aby ustawić celownik na łby obu zwierząt. Przenosząc ciężar na prawą nogę, uniosła lewą...

W chwili kiedy mojok wrzasnął i wystrzelił w niebo, skoczył również kolczasty lampart.

Pierwsza salwa z przeciwpancernego lasera trafiła drapieżnika prosto w pysk, zamieniając większą jego część w parę. Ale w momencie kiedy Jin skierowała uwagę na niebo, zaatakował mojok.

Jej czujniki optyczne implantowane wokół oczu zarejestrowały zagrożenie z powietrza, kontrolę nad ciałem przejęły komputerowo zaprogramowane odruchy, przemieszczając ją w bok płaskim skokiem. O ułamek sekundy za późno. Zakrzywione szpony zawadziły o lewy policzek i ramię dziewczyny, robiąc na skórze piekące linie. Jin gwałtownie chwytała powietrze, walcząc z bólem, gniewem i z oplatającym ją poszyciem. W panice spoglądała na niebo w poszukiwaniu napastnika. Nagle go zobaczyła. Zawracał, szykując się do kolejnego nurkowego ataku. Modląc się, w nadziei, że w czasie skoku nie straciła namiaru na celowniku, uruchomiła lasery małych palców.

Ramiona uniosły się odruchowo, implantowane wspomaganie ustawiło je według wskazówek nanokomputera. Lśniące pióra ptaka zapłonęły ogniem. Mojok zaskrzeczał po raz ostatni, jego poczerniałe szczątki przeleciały obok głowy Jin i spadły na ziemię.

Przez chwilę klęczała jeszcze pomiędzy pnączami i suchymi liśćmi, gwałtownie łapiąc oddech, całe jej ciało drżało w reakcji na wstrząs adrenalinowy. Zadrapania na twarzy paliły jak ogień, dokładając swoją porcję bólu do pozostałych,

pulsujących obrażeń. Do tej chwili była zbyt zajęta innymi sprawami, by zwracać uwagę na siebie. Teraz nadszedł czas, by oszacować straty.

Sprawy nie wyglądały zachęcająco. Bolały ją plecy i kark, a kilka prób wykazało, że obie te części ciała zaczynały sztywnieć. Na klatce piersiowej, w miejscach gdzie podczas zderzenia w skórę wbiły się pasy bezpieczeństwa, widniały potężne siniaki, a lewy łokieć był miękki, jakby staw najpierw częściowo wybito, a potem nastawiono. Najgorzej przedstawiało się lewe kolano. Nie wiedziała dokładnie, co się z nim stało, ale bolało nieznośnie.

— Przynajmniej — powiedziała na głos — nie muszę się martwić połamanymi kośćmi. To już chyba coś.

Dźwięk własnego głosu poprawił jej samopoczucie.

— W porządku — mówiła dalej, podnosząc się. — Po pierwsze, należy się stąd wydostać i znaleźć jakiś cywilizowany obszar. Dobrze. — A więc... Spojrzała na niebo ponownie, włączając przy tym wzmacniacze słuchu. Nie słychać odgłosów silnika ani kolejnych drapieżników. Słońce znajdowało się... — W porządku, więc wschód jest tam. Jeśli rozbiliśmy się w pobliżu miejsca lądowania, to właśnie w tamtym kierunku powinnam iść.

A jeśli wahadłowiec minął Urodzajny Półksiężyc...

Zdecydowanie odepchnęła od siebie tę myśl. Jeśli pójdzie w niewłaściwym kierunku, najbliższa osada będzie oddalona o około tysiąc kilometrów drogi wiodącej przez puszczę. Zebrawszy swoje trzy plecaki, zawiesiła je jak najwygodniej na ramionach i biorąc głęboki oddech, ruszyła przez puszczę.

Rozdział 12

Zaczęło się dość łatwo, jak na marsz przez taki teren. W odległości kilku metrów od miejsca katastrofy natknęła się na kilkumetrowej długości poletko splątanych, podobnych do paproci roślin. Przedzierając przez nie, miała wrażenie, że brnie po kolana w wodzie. Ledwo pozostawiła za sobą paprocie, kiedy okazało się, że musi za pomocą laserów małych palców wycinać drogę w gąszczu oplatających drzewa pnączy, które przypominały aventińskie lepkie winorośle z pięciocentymetrowymi cierniami. Ale przeszkody terenowe najmniej ją martwiły. Kiedy używała laserów i wspomagania mięśni w walce przeciwko puszczy, próbowała skupić jak największą część uwagi na ledwo uchwytnych odgłosach docierających do niej dzięki wzmacniaczom słuchu.

Pierwszy atak nadszedł dokładnie tam, gdzie powinna była się go spodziewać. W miejscu, w którym poszycie lasu przechodziło nagle w szeroki pas stratowanej ziemi ciągnący się w kierunku północno-zachodnim. Ślad po stadzie bololinów... a tam gdzie występowały bololiny, na pewno były też krisjawy.

Z początku oczywiście nie rozpoznała w atakującym ją zwierzęciu krisjawa. Zidentyfikowała bestię dopiero po krótkiej walce, kiedy zdołała odwrócić poczerniałe od promieni lasera ciało i dokładnie przyjrzeć się falistym kłom w kształcie płomieni. "Złośliwe, przebiegłe i niebezpieczne" — tak opisywano jej te zwierzęta.

Już po pierwszym spotkaniu zrozumiała, dlaczego pierwsze pokolenie ludzi, którzy dotarli na Qasamę, starało się je wytępić. Owinąwszy bandażem z pakietu ratunkowego spowodowane pazurami drapieżnika skaleczenie na lewym przedramieniu, ruszyła w dalszą drogę. Krisjawy były tak dokuczliwe, jak ostrzegał Layn, ale teraz, kiedy wiedziała już, czego nasłuchiwać, nie powinna dać się podejść. Jeśli warunki się nie pogorszą, powinna przedostać się przez puszczę bez większych problemów.

Niestety, warunki się pogorszyły.

Pas stratowanego poszycia znaczący trasę przejścia bololinów okazał się szeroki na około trzy kilometry. W oczyszczonej strefie spotkała nadspodziewanie wiele zwierząt naziemnych. Poznała też resztę tej ekosfery. Dookoła Jin brzę-

czały owady, prawdopodobnie zwabione krwią z jej ran. Większość okazała się tylko irytująca, ale niektóre, dorodniejsze, miały żądła i korzystały z nich bez skrupułów. Właśnie oganiała się od tych natrętów, gdy się okazało, że krisjawy nie były jedynym gatunkiem drapieżników występujących na Qasamie.

Ten rodzaj, przypominający nieco małpy o sześciopalczastych łapach, polował stadami i Jin zarobiła wiele zadrapań, zanim znalazła sposób, jak sobie radzić z nowym przeciwnikiem. Jej dookolna broń soniczna, przeznaczona przede wszystkim do unieszkodliwiania znajdującego się w pobliżu sprzętu elektronicznego, okazała się skuteczna w zakłócaniu porozumiewania się stada małp. Grzmot i błysk energii z miotacza spowodował, że rozbiegły się z piskiem pod osłonę najbliższych drzew.

Niestety, użycie broni sonicznej dało niespodziewany efekt uboczny. Zwabiło jakiś nieznany gatunek szybujących jaszczurek, które, podobnie jak małpy, atakowały grupowo z pobliskich drzew. Mniejsze i mniej niebezpieczne od większych drapieżników, były również zbyt głupie, by się przestraszyć błysku energii z miotacza. Musiała więc zabić wszystkie, zyskując przy okazji kilka nowych obrażeń, zadanych zębami przypominającymi igły.

Wydawało jej się, że upłynęła wieczność, zanim w końcu dotarła do szosy przecinającej ścieżkę, po której szła.

Kapitan Rivero Koja przyglądał się na ekranie zdjęciom o wysokiej rozdzielczości. Miał wrażenie, że lodowata ręka ściska go za serce. Zniszczony pas qasamańskiej puszczy mógł oznaczać tylko jedno.

— Do diabła — mruknął.

Przez dłuższą chwilę na mostku "Southern Cross" panowała cisza, przerywana tylko stukotem klawiszy dochodzącym ze stanowiska operatora radarów.

— Co się stało? — zapytał w końcu Koja.

Pierwszy oficer LuCass bezradnie wzruszył ramionami.

— Nie można określić, panie kapitanie — powiedział. — Być może jakaś awaria zepchnęła ich za daleko z toru lotu...

— Albo ktoś ich zestrzelił? — warknął Koja, z trudem tłumiąc wywołaną bezradnością furię.

— Troftowie zapewniali, że to się nie może wydarzyć — przypomniał mu LuCass.

— Tak, oczywiście. — Koja odetchnął głęboko, próbując pohamować wściekłość, która zamieniła się w zimny gniew. Gdyby tylko w chwili upadku waha-

dłowca "Southern Cross" znajdował się nad nimi, a nie na swojej orbicie, oddalony o pół świata. Gdyby tylko byli tam na miejscu, gdyby tylko spostrzegli sami ten upadek, zamiast dowiedzieć się o nim godzinę później...

Jeśli nawet tak by się stało, nie miałoby to żadnego znaczenia. Najmniejszego. Nawet gdyby "Southern Cross" mógł wylądować, a nie mógł, i tak znaleźliby się tam zbyt późno, by kogokolwiek uratować. Tak silne zderzenie z pewnością zabiło wszystkich na pokładzie.

Koja zamknął na chwilę oczy. Przynajmniej — pomyślał — zginęli szybką śmiercią. Nie było to wielkie pocieszenie.

— A niech mnie diabli — mruknął nagle operator radarów. — Powinien pan na to popatrzeć, kapitanie.

Koja odwrócił się w stronę ekranu. Poprzednie zdjęcie zostało zastąpione przez zbliżenie miejsca katastrofy.

— Pięknie — mruknął.

— Niewykluczone, że to jest... — powiedział operator, biorąc do ręki pióro świetlne. Po chwili w prawym dolnym rogu ukazało się kółko. — Proszę spojrzeć i powiedzieć mi, czy widzę to, co myślę, że widzę.

To było zwierzę. Nawet niewprawne oko Koi z łatwością to dostrzegło. Czworonóg o kształtach drapieżnika z gatunku kotów, leżący bezwładnie na pokrytej liśćmi ziemi odsłoniętej po rozrywającym baldachim drzew przelocie wahadłowca.

— Kolczasty lampart? — zaryzykował.

— Też tak pomyślałem — pokiwał głową operator. — Czy zauważył pan coś niezwykłego w jego łbie?

Marszcząc brwi, Koja pochylił się bliżej zdjęcia. Łeb... Łba nie było.

— Musiał wpaść pod wahadłowiec — powiedział, czując nagły przypływ mdłości. Jeśli zwierzę, które znajdowało się poza statkiem, oberwało tak mocno...

— Może tak, może nie — mruknął operator dziwnym głosem. — Przekonamy się, gdy uda mi się zwiększyć przybliżenie...

Nowe, bardziej szczegółowe zdjęcie zastąpiło poprzednie. Zamglenia spowodowane atmosferą zniknęły, kiedy komputer oczyścił obraz. Głowa kolczastego lamparta...

— O mój Boże — szepnął z boku LuCass. — Kapitanie... to nie są rany od uderzenia.

Koja pokiwał głową, lodowata ręka ścisnęła jego serce jeszcze mocniej. Nie od uderzenia. Od lasera. Lasera Kobry.

Ktoś przeżył katastrofę.

— Całościowe przeszukanie — zeschniętymi wargami rozkazał Koja operatorowi radarów. — Musimy go odnaleźć.

— Sprawdziłem już obszar, do którego jesteśmy w stanie dotrzeć...

— To zrób to jeszcze raz — warknął Koja.

— Tak jest, panie kapitanie — operator zabrał się do pracy.

LuCass postąpił krok w kierunku fotela Koi.

— Co zrobimy, jeśli naprawdę go znajdziemy? — zapytał cicho. — Nie ma tam nigdzie miejsca na ładowanie tym olbrzymem.

— Nawet gdyby było, wątpię, czy Qasamanie pozwoliliby nam lądować i siedzieli przy tym z założonymi rękoma.

Koja zacisnął zęby aż do bólu. Prosił zarząd, błagał, żeby wynająć od Troftów drugi wahadłowiec jako wsparcie awaryjne. Ale nie, cholerny generalny gubernator uznał to za kosztowny, zbędny luksus i odmówił.

— Czy jest szansa na zrzucenie zapasów żywności i środków medycznych? Dałoby to ocalałej Kobrze przynajmniej szansę walki.

LuCass stukał już w klawiaturę komputera Koi.

— Zobaczmy, co mamy na pokładzie... moglibyśmy załadować trochę ablatora w postaci piany do minikapsuły ładunkowej. Spadochron... tak, moglibyśmy zamontować spadochron. Czujnik ciśnieniowy, żeby otworzył go w odpowiednim momencie... Hmm. Nie... chwileczkę, moglibyśmy zainstalować zwyczajny zegar, który uruchomiłby go w ustalonym czasie. Chyba jest to wykonalne, kapitanie.

— W tym miejscu pojawia się pytanie, gdzie zrzucić ładunek tak, żeby Kobra mógł go odnaleźć. — Koja spojrzał na operatora radarów. — Masz jakiś pomysł?

Tamten porząsnął głową.

— Nie, panie kapitanie. Tam jest za gruba warstwa roślinności, by przeniknęła ją podczerwień czy fale krótkie. Jedyną szansą Kobry na dotarcie do cywilizacji jest poruszanie się w kierunku wschodnim. Moglibyśmy więc spróbować zrzucić zapasy w miejscu, w którym droga znajdująca się przed nim przecina ścieżkę wiodącą na wschód. — Zawahał się. — Oczywiście nie ma gwarancji, że myśli przytomnie — dodał. — Mógł pójść w innym kierunku albo nawet kręcić

się w kółko, może jego mózg działa, ale odniósł zbyt ciężkie obrażenia, by zdołał dotrzeć do drogi.

— W obu przypadkach zginie — powiedział w napięciu Koja. — Może zginąć nawet, jeśli uda mu się trafić do którejś z osad. Przywódcy Qasamy nie będą przecież trzymać katastrofy wahadłowca w tajemnicy.

Spojrzał na LuCassa.

— Niech jakiś zespół zajmie się tą kapsułą — rozkazał. — Dołączcie do zapasów nadajnik. Zanim się przygotujecie, znajdziemy punkt, w który będziemy mierzyć.

— Tak jest, panie kapitanie. — LuCass odwrócił się do własnego pulpitu, włączył interkom i zaczął wydawać rozkazy.

Koja z westchnieniem popatrzył jeszcze raz na martwego kolczastego lamparta, znajdującego się wciąż na jego wyświetlaczu. Wszystko co robimy, to tylko niepotrzebny wysiłek — pomyślał ponuro. Im dłużej Kobra przebywa samotnie na terytorium wroga, tym mniejsze ma szansę na uratowanie. Qasamanie zidentyfikują go w końcu albo spotka się z krisjawem lub kolczastym lampartem czy czymś zupełnie nie znanym.

Qasama była śmiertelną pułapką... a jedyni ludzie, którzy mieli jakąkolwiek szansę na uwolnienie rozbitka, znajdowali się na Aventinie. Odlegli o osiem dni i czterdzieści pięć lat świetlnych.

Osiem dni. Koja skulił się, desperacko usiłując znaleźć szybsze rozwiązanie. Może Nowe Światy — Esquilina i inne nowo powstałe kolonie, albo nawet pobliska domena Baliu'ckha'spmi Troftów zechce przyjść z pomocą. Ale Esąuilina też nie będzie miała statku kosmicznego zdolnego do lądowania na powierzchni. A bez oficjalnego poświadczenia kredytowego i zapasu towarów przeznaczonych na wymianę handlową na pokładzie próba przejścia przez biurokrację Troftów w celu wynajęcia kolejnego wahadłowca mogła ciągnąć się miesiącami.

Osiem dni. Minimum czternaście dni na podróż w obie strony, nawet gdyby skorzystać z szybszej "Dewdrop". Jeśli dodać czas potrzebny na dobranie i wyposażenie ekipy poszukiwawczo-ratunkowej, minie co najmniej dwadzieścia dni, zanim w ogóle zaczną szukać rozbitka.

Z kapsułą z zapasami czy też bez niej dwadzieścia dni w pojedynkę na Qasamie to wyrok śmierci. Trzeba to sobie było jasno i wyraźnie powiedzieć.

Ale nie oznaczało, że mieli poddać się bez walki... a jeśli tą walką miało być oczekiwanie na cud, to niech tak będzie. Fakt, że jedna z Kobr przeżyła katastro-

fę, był już cudem samym w sobie. Może anioł odpowiedzialny za ten rejon będzie hojny.

W końcu mieli się o tym dowiedzieć. A w tym czasie... Sięgnąwszy do klawiatury, Koja rozpoczął wyznaczanie trasy i postojów dla pobrania paliwa na najkrótszym kursie na Aventinę. Z doświadczenia wiedział, że cuda zdarzają się z reguły tym, którzy potrafią im pomóc się zdarzyć.

Rozdział 13

Jin długo stała obok szosy i zastanawiała się, co dalej robić.

Potwierdziło się jej przypuszczenie, że wahadłowiec rozbił się na zachód od Urodzajnego Półksiężyca. Szosy zawsze prowadziły w kierunku ośrodków cywilizacji. Musiała tylko wybrać jedną z nich. Pytanie brzmiało: w którą stronę iść? Krajobraz zafalował jej na chwilę przed oczami i ponownie ujrzała czerwoną, ostrzegawczą obwódkę. Obróciła głową, wywołując szarpnięcie bólu w zesztywniałym karku. W ciągu ostatniej półgodziny dostała nie mniej niż pięć takich ostrzeżeń — pewny znak, że zbliżała się utrata przytomności. Zmęczenie walką, wstrząs pourazowy czy jakiś wolno działający jad w ugryzieniach i zadrapaniach zadanych przez zwierzęta, powód nie miał wielkiego znaczenia. Musiała tylko znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, żeby upaść. A wiec... którędy?

Do oczu napłynęły jej łzy, ale zdołała je powstrzymać, po czym przyjrzała się drodze. Dwupasmówka, wyłożona rodzajem czarnego kamienia, nie była główną arterią komunikacyjną. Biegła prawie dokładnie z północy na południe, przynajmniej w tym miejscu, gdzie znajdowała się Jin, prawdopodobnie była jedną z dróg łączących małe, leśne osady na zachód i północny zachód od Azras, najważniejszego miasta Urodzajnego Półksiężyca. Według map, które miała w plecaku, osady te znajdowały się w odległości dziesięciu do piętnastu kilometrów od siebie. Był to niewielki dystans dla zdrowej Kobry, ale jej obecny stan pozostawiał wiele do życzenia.

Przed oczami znowu pojawiła się czerwona obwódka. Przygryzając boleśnie dolną wargę, Jin po raz kolejny zwalczyła uczucie słabości.

Myśl o mapach przypomniała jej o czymś. O czymś ważnym...

Skupiając się mocno, usiłowała zmusić mózg do pracy.

Plecaki, o to chodziło. Plecaki, z aventińskimi mapami, awaryjnymi pakietami, żywnością i qasamańską odzieżą...

Qasamańska odzież.

Z wysiłkiem uruchomiła wzmacniacze słuchu. Słyszała jedynie ćwierkanie ptaków i brzęczenie owadów. Zszedłszy z drogi, podeszła z powrotem do linii

drzew i rzuciła plecaki na ziemię za dziwnym krzakiem, który składał się w połowie z liści, a w połowie z cierni. Odnalazła wśród trzech plecaków własny, otworzyła niezdarnie zatrzaski i wyciągnęła komplet qasamańskiego ubrania.

Przebieranie się było udręką. Przy krwawiących skaleczeniach na rękach i twarzy oraz licznych obrażeniach, które odniosła w czasie katastrofy, każdy ruch wywoływał własny, odrębny rodzaj bólu. Ale to z kolei powodowało rozjaśnienie umysłu, więc kiedy zmieniła ubranie, była na tyle przytomna, by schować swój podarty aventiński strój i przynajmniej częściowo ukryć wszystkie trzy plecaki pod cierniowym krzakiem. Chwilę później z trudem ruszyła drogą na północ. Sama nie bardzo wiedziała, dlaczego wybrała właśnie ten kierunek.

Nie usłyszała nadjeżdżającego samochodu. Głosy, które do niej wołały, dochodziły z wielkiej odległości, jak gdyby przebijały się przez mgłę otaczającą ją ze wszystkich stron, wypełniającą jej oczy i uszy.

— ...się z tobą dzieje? Co?

Stanęła i spróbowała się odwrócić, ale wykonała zaledwie pół obrotu, kiedy para rąk złapała ją nagle za ramiona.

— Boże w niebiosach, paniczu Sammon! Proszę spojrzeć na jej twarz.

— Weź ją do samochodu — przerwał drugi, spokojniejszy głos. — Ende, pomóż mu.

I wśród przyprawiającego o zawrót głowy zamieszania ktoś uchwycił ją mocno za ramiona i biodra, po czym zaniósł ją w kierunku, czegoś co przypominało czerwone pudełko...

Czujnik powietrza przypięty do prawego nadgarstka zabrzęczał dwukrotnie. Daulo Sammon przybliżył go do oczu, przecierając z kurzu ochronne okulary. Czytnik potwierdził to, co brzęczyk i jego własne płuca już wiedziały: powietrze w tej części kopalni było stęchłe. Unosząc drugi nadgarstek, Daulo spojrzał na zegarek. Oficjalnie robotnikom pozostało do końca szychty piętnaście minut. Gdyby w tej chwili włączył na trzy minuty wymieniacze powietrza...

Nie warto.

— Sztygar! — zawołał do mikrofonu połączonego ze słuchawkami. — Mówi Daulo Sammon. Ogłaszam zakończenie szychty. Możesz już rozpocząć przeprowadzanie ludzi z powrotem do szybu.

— Tak, paniczu Sammon — odpowiedział głos tamtego,

Bumiący od zakłóceń spowodowanych interferencją żył rud metali.

Daulo nadstawił uszu, ale nawet jeśli sztygar był zadowolony, a jednocześnie zaskoczony tą niespotykaną wyrozumiałością, to nie okazywał tego.

— Wszyscy robotnicy, rozpocząć powrót do centralnego rdzenia.

Daulo odstroił odbiornik z ogólnej częstotliwości i zawrócił. Lampa, którą niósł, rzucała głębokie cienie w poprzek krzyżujących się stempli, które w połowie pokrywały nierówne ściany korytarza. Dziadek spodziewał się, że zasoby kopalni wyczerpią się za jego życia i nie dbał specjalnie o bezpieczeństwo. Naprawienie powstałych w związku z tym uszkodzeń zajęło ojcu Daula dziesięć lat.

Czy zostaną usunięte całkowicie, zanim kopalnia stanie się moja? — zastanawiał się Daulo, przesuwając światło po połyskującym kamieniu, wystającym pomiędzy wspornikami. W głębi duszy miał nadzieję, że tak się stanie. Myśl o tym, że będzie odpowiedzialny za życie tych wszystkich, którzy harują tu codziennie, zawsze go trochę niepokoiła. Widział, że jego dziadek nie czuł tej odpowiedzialności, i widział, jakim ciężarem była ona dla ojca. Gdyby sam miał ponieść na swych barkach taki ciężar...

Ale jeśli kopalnia upadnie, to samo stanie się z bogactwem, prestiżem i znaczeniem rodziny Sammonów w osadzie. Bez kopalni, jedynym opłacalnym przemysłem stałby się przerób drewna, a tym rodzina Sammonów nie zajmowałaby się z pewnością.

Jeśli chodzi o zagrożenia w kopalni, to poza murami Miliki górnicy musieliby stawiać czoło krisjawom, brzytwołapom i całej reszcie zabójczej fauny Qasamy. Daulo skrzywił się pod filtrującą maską, przypomniawszy sobie stare powiedzenie: "Na Qasamie nie ma bezpiecznych miejsc, jest tylko wybór pomiędzy niebezpiecznymi".

Kiedy kilka minut później dotarł do centralnego szybu, zastał tam powiększającą się kolejkę mężczyzn czekających przy trzech windach. Minął ich i wsiadł do kabiny, która akurat zabierała pasażerów. Gestem nakazał znajdującym się już w niej ludziom, aby wysiedli. Uczynili to pośpiesznie, wykonując znak szacunku, kiedy go mijali. Daulo, wsiadłszy do kabiny, zasunął za sobą wrota i nacisnął odpowiedni guzik.

Jazda trwała długo, ale nie aż tak długo, jak wydawała się trwać podróż w przeciwną stronę. Podczas gdy winda trzęsąc się jechała w górę, zdjął słuchawki, ochronne okulary, maskę i rozmasował delikatnie nasadę nosa. Potrzebny był mu teraz gorący prysznic, a po nim solidny posiłek. Nie, posiłek będzie trzeci w kolejności. Po kąpieli zostanie prawdopodobnie wezwany do ojca, by złożyć raport z przeprowadzonej inspekcji. Odpowiadało mu to. W trakcie zeskrobywania

z ciała brudu z kopalni będzie miał czas na uporządkowanie swych obserwacji i wniosków.

Kiedy winda dojechała na powierzchnię, silny strumień światła spowodował, że Sammon przymrużył oczy. Przekładając trzymany w rękach sprzęt raz za razem wycierał pojawiające się nagle łzy. Operatorzy stojący na zewnątrz otworzyli wrota i rozstąpili się, wykonując znak szacunku. Daulo wyszedł, skinąwszy głową kierownikowi kopalni, kiedy ten także uczynił znak szacunku.

— Wierzę, paniczu Sammon, że inspekcja nie wykazała żadnych braków?

— Dobrze służysz memu ojcu — powiedział Daulo, zachowując neutralność zarówno w głosie, jak i wyrazie twarzy.

Chociaż wszystko na dole okazało się w najlepszym porządku, nie miał zamiaru wygłaszać pochlebstw. Nie chciał wbijać kierownika w pychę publicznymi pochwałami, poza tym ojciec zawsze ostrzegał go przed wypowiadaniem pochopnych sądów.

— Zamelduję memu ojcu o tym, co zobaczyłem.

Kierownik kopalni ukłonił się. Minąwszy go, Daulo 1 wyszedł spod kopuły windy i przeszedł obok magazynów i zabudowań gospodarczych w stronę drogi dojazdowej, na której Walare czekał na niego z samochodem.

— Paniczu Sammon — powiedział Walare, wykonując znak szacunku, kiedy Daulo podszedł do niego.

Daulo wsiadł i w chwilę później Walare wyprowadził samochód na ulice Miliki.

— Jakie wiadomości? — zapytał Daulo, kiedy skręcili w stronę centrum i domu rodziny Sammonów.

— Publiczne czy prywatne? — zapytał Walare.

— Prywatne, oczywiście — powiedział Daulo. — Chociaż możesz pominąć kuchenne plotki.

Walare uśmiechnął się pod nosem.

— Ach, jakże czasy się zmieniły — powiedział udając smutek. — Pamiętam, że nie dalej jak trzy lata temu kuchenne plotki byłyby pierwszą rzeczą, o którą byś zapytał...

— Wiadomości, Walare, przejdź do wiadomości — przerwał Daulo z tak samo udawanym rozdrażnieniem.

Znał Walare z czasów dzieciństwa, które spędzali wspólnie. Publiczne stosunki pomiędzy kierowcą a spadkobiercą rodziny Sammonów były sztywno określone, prywatnie jednak, w samochodzie, rozmowa mogła toczyć się o wiele swobodniej.

— Później możesz powspominać miniony złoty wiek.

Walare zachichotał.

— Prawdę mówiąc, był to bardzo spokojny dzień. Rodzina Yithtrów mobilizuje swoje ciężarówki, ktoś z nich musiał znaleźć bogaty odcinek puszczy. Być może z tego powodu burmistrz znowu próbuje namówić twego ojca, by poparł jego wysiłki przebudowania górnej części murów.

— Strata czasu i pieniędzy — parsknął Daulo, zerkając za siebie. Spomiędzy zabudowań osady widoczny był fragment muru, którego dolna część pokryta malowidłami przypominającymi puszczę kontrastowała ostro ze sztywną metalową siatką umieszczoną na jego szczycie. — Brzytwołapy nie potrafią przechodzić przez to, co mamy teraz.

Walare wzruszył ramionami.

— Burmistrzowie istnieją zazwyczaj po to, by robić dużo szumu. A czym innym mógłby się popisać nasz burmistrz?

Daulo wyszczerzył zęby.

— Oprócz naszych kłopotów z rodziną Yithtra, chciałeś powiedzieć?

— A co może na ten temat powiedzeć, czego by do tej pory nie mówił?

— Niewiele — przyznał Daulo.

Wolałby, żeby rywalizacja pomiędzy jego rodziną a rodziną Yithtrów w ogóle nie istniała, ale niestety tak już było, a fakt, że mu się to nie podobało, niczego nie zmieniał. — Czy coś jeszcze?

— Twój brat Perto przywiózł z Azras dostawę części zamiennych do silników — powiedział Walare, jego głos nagle spoważniał. — Oraz pasażerkę, ranną kobietę, którą znaleźli na drodze.

Daulo wyprostował się odrobinę.

— Kobietę? Kto to taki?

— Nikt w domu jej nie rozpoznał.

— Dokumenty?

— Żadnych. — Walare zawahał się. — Być może zaginęły... kiedy miała kłopoty.

Daulo zmarszczył brwi.

— Jakiego rodzaju kłopoty?

Walare wziął głęboki oddech.

— Według tego, co mówił kierowca, który pomagał ją przywieźć, przynajmniej raz zaatakował ją krisjaw... i bael-cra. Ma też ślady ugryzień monotów.

Daulo poczuł skurcz w żołądku.

— Boże nad nami — mruknął. — I jeszcze żyje?

— Żyła, kiedy przynieśli ją do domu — powiedział Walare. — Ale kto wie, ile jeszcze wytrzyma?

— Tylko Bóg — westchnął Daulo.

Rozdział 14

Kilka minut później dotarli do domu. Walare mistrzowsko wprowadził samochód przez niewielką bramę do szerokiego garażu usadowionego za parą drzew owocowych w rogu centralnego dziedzińca. Daulo ruszył w kierunku kobiecej części domu, mdło mu się robiło na myśl o okropnym widoku, jaki miał ujrzeć.

Ale okazało się, że jego jak najgorsze obawy nie były uzasadnione.

— Czy to wszystko? — zapytał, marszcząc brwi i patrząc na kobietę, która leżała na łóżku po drugiej stronie pokoju. Mimo iż otaczały ją trzy inne kobiety i lekarz, a koc miała podciągnięty pod szyję, najwyraźniej nie była straszliwie zmasakrowaną ofiarą, jaką spodziewał się zobaczyć. Na policzku miała kilka poważnych zadrapań widocznych pod gojącą maścią, a na ramieniu parę jeszcze gorszych, które właśnie opatrywano. Ale poza tym...

Matka Daula spojrzała na niego ze swego miejsca po drugiej stronie łóżka.

— Nie podchodź, proszę — powiedziała cicho Ivria Sammon. — Kurz z twojego ubrania...

— Rozumiem. — Daulo kiwnął głową. Jeszcze raz zbadał wzrokiem widoczne rany, potem po raz pierwszy Spojrzał na jej twarz. Stwierdził, że dziewczyna była mniej więcej w jego wieku, jej skóra wyglądała delikatnie, jak u kogoś, kto niewiele czasu spędził na wietrze i słońcu. Jego wzrok prześlizgnął się wzdłuż jej lewej ręki, poniżej ran, ku dłoni.

Brak ślubnej obrączki.

Zmarszczył brwi, spoglądając ponownie na twarz leżącej. Nie mylił się, miała przynajmniej tyle lat co on. I jeszcze niezamężna?

— Musiała przybyć z daleka — powiedziała Ivria. — Spójrzcie na jej rysy.

Daulo zerknął na matkę, a potem z powrotem na tajemniczą kobietę. Tak, teraz, kiedy się na tym skupił, też to dostrzegał. W jej twarzy było coś odmiennego, ślad czegoś egzotycznego, czego nigdy przedtem nie widział.

— Być może pochodzi z jakiegoś odległego miasta na północy — zasugerował. — Albo może gdzieś ze Wschodniego Ramienia.

— Być może — mruknął lekarz. — Z pewnością nie ma zbyt dużej tolerancji na ugryzienia monotów.

— Czy w tym właśnie tkwi problem? — zapytał Daulo.

Lekarz pokiwał głową.

— Na ramionach i dłoniach ma mnóstwo śladów — dodał, wskazując obrażenia. — Wygląda na to, że musiała się przed nimi bronić gołymi rękoma.

— Po tym, jak skończyła jej się amunicja? — zasugerował Daulo. — Z pewnością przecież nie obroniła się gołymi rękoma przed krisjawem.

— Być może — powiedział lekarz. — Chociaż jeśli miała broń, to musiała ją zgubić, zanim ją odnaleziono. Kaburę też.

Daulo przygryzł wewnętrzną stronę policzka i rozejrzał się po pokoju. W rogu rzucono stertę odzieży. Trzymając się z daleka od łóżka, podszedł do ubrań. Było to oczywiście ubranie rannej kobiety. Już plamy krwi świadczyły o tym wyraźnie. Dziwna faktura tkaniny wskazywała, że nieznajoma pochodziła z daleka. Poza tym lekarz miał rację — w zestawie nie było ani kabury, ani śladów na pasie, na którym musiała wisieć.

— Może miała towarzyszy — zasugerował, rzucając odzież z powrotem na podłogę. Z pewnością było to bardziej prawdopodobne niż wędrówka samotnej kobiety po puszczy. — Czy poczyniono jakieś kroki, by sprawdzić, czy w pobliżu miejsca, w którym ją znaleziono, nie było innych ludzi?

— Nie od razu, ale Perto po pewnym czasie wrócił, by ich poszukać — odpowiedziała Ivria.

Podchodząc do interkomu, Daulo włączył prywatny obwód domowy.

— Mówi Daulo Sammon — przedstawił się służącemu, który się zgłosił. — Czy Perto powrócił już z puszczy?

— Proszę poczekać, paniczu Sammon — usłyszał w odpowiedzi. — ...Nikt się nie zgłasza.

Daulo kiwnął głową. Przebywając poza domem, z dala od wszystkich zabudowań należących do rodziny Sammonów, Perto znalazł się poza zasięgiem podziemnej sieci komunikacji światłowodowej, która była w Milice jedynym bezpiecznym sposobem przekazywania wiadomości.

— Przekaż mu, żeby skontaktował się ze mną jak najszybciej.

— Tak, paniczu Sammon.

Daulo wyłączył interkom i odwrócił się, by jeszcze raz spojrzeć na kobietę. Skąd ona może być? — zastanawiał się. I czemu się tu znalazła? Na razie nie znał na to pytanie odpowiedzi... ale się dowie. W tej chwili najważniejsze było to, że rodzina Sammonów miała sprawy pod kontrolą.

Niezależnie od tego, czy pojawienie się tej kobiety było wydarzeniem zupełnie bez znaczenia, czy może przypadkową okazją podarowaną im przez Boga lub też częścią jakiejś dziwnej intrygi, prowadzonej przez jednego z ich rywali, Sammonowie mogli wykorzystać obecność dziwnego gościa dla własnych celów.

Przypomniało mu się, że miał się umyć przed spotkaniem z ojcem. Otwierając cicho drzwi, wysunął się z pokoju.

— Wejdź. — Zza rzeźbionych drzwi doszedł go znajomy, i zgrzytliwy głos.

Zbierając się w sobie, Daulo otworzył je i wszedł do środka.

Pamiętał jeszcze czas, nie tak bardzo odległy, kiedy bal się ojca. Przerażała go nie tyle jego siła i postawa, czy nawet zimny głos i przenikliwe czarne oczy, ale fakt, że to właśnie on — Kruin Sammon — był głową rodziny Sammonów. To on dzięki swej władzy kierował ogromnym domem i kopalnią, a także prawie jedną trzecią osady. To jego wpływy sięgały poza Milikę, obejmując pobliskie osady i obozy wyrębowe, a nawet samo miasto Azras, którego mieszkańcy zwykle traktowali osadników takich jak oni z ledwo ukrywaną pogardą. Kruin Sammon to była władza... i nawet kiedy lęk przed tą władzą nieco osłabł, Daulo nie zapomniał uczuć, jakie w nim wzbudzała.

Dopiero znacznie później zdał sobie sprawę, że była to prawdopodobnie zaplanowana lekcja, której ojciec chciał mu udzielić.

— A, to ty Daulo. — Starszy mężczyzna kiwnął głową ze swego podobnego do poduszki tronu, uroczyście witając swego najstarszego syna. — Wierzę, że twoja wycieczka do kopalni się udała?

— Tak, mój ojcze — odpowiedział Daulo.

Czyniąc znak szacunku, podszedł do poduszki leżącej przed niskim roboczym stołem Kruina i usiadł na niej.

— Konieczność dodatkowego stemplowania zwalnia postęp robót w nowym korytarzu, ale nie tak bardzo, jak się obawialiśmy.

— A praca wykonywana jest właściwie? — spytał Kruin.

— Na to wygląda, przynajmniej na ile się orientuję.

— Robota jest wykonywana właściwie? — powtórzył Kruin.

Nie było to trafne określenie. Daulo starał się, jak mógł, by nie okazywać zdenerwowania. Jedną z rzeczy, których ojciec nienawidził, była niejasność wypowiedzi.

— Tak, mój ojcze. Stemplowanie jest wykonywane właściwie.

— Dobrze.

Kruin kiwnął głową. Sięgnął po leżący na stole rylec, coś zanotował na tabliczce.

— A robotnicy?

— Zadowoleni. W każdym razie takie sprawiają wrażenie.

— Kierownik kopalni?

Daulo przypomniał sobie jego twarz, kiedy wysiadał z windy.

— Pod wrażeniem własnej osoby — powiedział. — Skory do tego, by wszyscy wiedzieli, jaki jest ważny.

Wywołało to cień uśmiechu na twarzy Kruina.

— Taki właśnie jest — zgodził się. — Ale jest także zdolny i skrupulatny, i dlatego można z nim wytrzymać.

Rzucając rylec z powrotem na stół, oparł się na poduszkach i przyjrzał synowi.

— A teraz, co sądzisz o naszym gościu?

— Naszym? A... ta kobieta.

Daulo zmarszczył brwi.

— Są sprawy, których nie rozumiem. Po pierwsze, jest już zdecydowanie w wieku małżeńskim, a pozostaje wciąż niezamężna...

— Lub owdowiała — wtrącił Kruin.

— Prawda, może być wdową. Nie pochodzi z naszych stron, jej odzież wykonana jest z tkaniny, której nie znam, a lekarz powiedział, że ma niską tolerancję na ugryzienia monotów.

— A jej raczej dramatyczne pojawienie się w Milice? Została znaleziona sama na drodze, po jakimś bliżej nie określonym wypadku czy czymś podobnym.

Daulo wzruszył ramionami.

— Słyszałem już o ludziach, którzy zabłądzili na drogach, mój ojcze. A także o takich, co przeżyli atak krisjawów.

Starszy Sammon uśmiechnął się.

— Bardzo dobrze, przewidziałeś moje następne pytanie. Ale czy słyszałeś kiedykolwiek o kimś, kto znalazł się tak blisko krisjawa, że został pokaleczony, i mimo wszystko przeżył to doświadczenie?

— Istnieją takie przypadki — powiedział Daulo, zastanawiając się, dlaczego tak się upiera. Z pewnością nie miał powodu, by w tej dyskusji stawać po stronie tajemniczej kobiety. — Jeśli w czasie ataku nie była sama, to któryś z jej uzbrojonych towarzyszy mógł zastrzelić atakujące zwierzę, nawet w ostatniej chwili.

Kruin kiwnął głową, ściągając mocniej wargi.

— Tak, istnieje taka możliwość. Ale nasuwa się natychmiast inne pytanie. Ci jej rzekomi obrońcy najwyraźniej wyparowali w powietrze jak dżiny. Dlaczego?

Daulo zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę, boleśnie świadom tego, że ojciec musiał już to wszystko wcześniej przemyśleć, a teraz sprawdzał po prostu, czy Daulo dojdzie do takich samych wniosków.

— Istnieją tylko trzy możliwości — powiedział w końcu. — Zginęli, są unieruchomieni lub gdzieś się ukryli.

— Zgadzam się — stwierdził Kruin. — Jeśli zginęli lub są unieruchomieni, Perto ich odnajdzie. Wysłałem go, by dokładnie przeszukał drogę. Jeśli się ukrywają... pytanie, dlaczego?

— Boją się lub należą do spisku — odparł szybko Daulo. — Jeśli są w strachu, ujawnią się, kiedy okaże się, że ich towarzyszce nie stała się krzywda. Jeśli należą do spisku... — zawahał się — ...to kobieta jest tu po to, by szpiegować w naszym domu, lub po to, by odwrócić naszą uwagę od zadań reszty grupy.

Kruin odetchnął głęboko. Już nie patrzył na Daula.

— Tak. Niestety, też tak sądzę. Masz jakieś pomysły, kto mógłby spiskować przeciw nam?

Daulo żachnął się, nim zdołał powstrzymać ten odruch.

— Rodzina Yithtrów, czyż potrzeba szukać dalej?

— Tak mogłoby być rzeczywiście. — Kruin wzruszył ramionami. — Ale mimo to oczekiwałbym po Yithtrze większej subtelności. A także inteligencji. Przy spodziewanej dostawie drewna będzie miał wystarczająco dużo uczciwej pracy, by być zajętym, po co jednocześnie knuć spisek mający nas zdyskredytować?

— Być może spodziewa się, że tak właśnie pomyślimy — zasugerował Daulo.

— Być może. Mimo wszystko byłoby dobrze, gdybyśmy pamiętali, że na Qasamie są też inni, którzy mogą widzieć korzyść w sianiu niezgody w osadach Zachodniego Ramienia.

Daulo przytaknął w zamyśleniu. Byli wśród nich przede wszystkim wrogowie burmistrza Capparisa z Azras. Przyjaźń Capparisa z rodziną Sammonów i łatwy dostęp do kopalnianego urobku, jaki ten związek mu dawał — od dawna były solą w oku jego wrogów. Może któryś z nich próbował złamać potęgę rodziny i zastąpić ich kimś mniej nieustępliwym.

Szczególnie że ostatnio ogromną część produkcji kopalni pochłaniała tajemnicza, zamknięta operacja, prowadzona na wschód od Azras. Miasto to — jak inne w Zachodnim Ramieniu — było wystarczającym kłopotem dla Miliki i podobnych osad. Władze Mangus i jej służalczy agenci handlowi stali się równie dokuczliwi jak wszystkie miasta razem wzięte. Jeśli ktoś w Azras pomyślał, że zapotrzebowanie Mangus na minerały może wzrosnąć, a także, że to ktoś inny, a nie rodzina Sammonów, powinnien na tych potrzebach skorzystać...

— Cóż więc uczynimy, mój ojcze? — zapytał Daulo. — Wyprawimy tę kobietę z naszego domu, niech wraca do zdrowia w domu burmistrza?

Kruin milczał przez chwilę.

— Nie — powiedział w końcu. — To, iż nasi wrogowie sądzą, że uważamy ją za nieszkodliwą, daje nam w tej grze nieznaczną przewagę. Zatrzymamy ją tu, przynajmniej na razie. Jeśli Pertowi nie uda się znaleźć jej towarzyszy, to i tak będziemy mogli zapytać ją samą o to, w jaki sposób przeżyła podróż.

A jeśli jej opowieść będzie całkowicie zmyślona...? — pomyślał Daulo.

— Rozumiem. Czy mam ustawić strażnika przed jej pokojem?

— Nie, nie chcemy działać jawnie. Dopóki jest chora i nie opuszcza kobiecej części domu, normalne warty wystarczą. Uprzedzisz oczywiście strażników, żeby byli przygotowani na ewentualne kłopoty z jej strony.

— Tak, mój ojcze. A kiedy wyzdrowieje?

Kruin uśmiechnął się.

— Wtedy twoim zadaniem, jako dobrego i dbającego gospodarza, będzie dotrzymywanie jej towarzystwa. I sprawdzenie, o co jej właściwie chodzi.

— Tak, mój ojcze — kiwnął głową Daulo.

Zachowanie starszego Sammona wskazywało na to, że audiencja dobiegła końca. Wstając, Daulo wykonał znak szacunku i ukłonił się.

— Zajmę się strażnikami, a potem będę oczekiwał przybycia Perta.

— Do widzenia, mój najstarszy synu — powiedział Kruin, skinąwszy głową. — Spraw, bym był z ciebie dumny.

— Zrobię to.

Dopóki starczy mi sił — dodał Daulo w duchu. Otworzył ciężkie drzwi i po cichu wysunął się z sali.

Rozdział 15

Pierwszą rzeczą, którą Jin poczuła powracając do przytomności, było łaskotanie czegoś futrzanego w podbródek. Drugą był fakt, że nic jej nie bolało.

Uchyliła powieki, mrużąc oczy od światła płynącego gdzieś z prawej strony i starając się zorientować w sytuacji. Jeśli jej pamięć dobrze fukcjonowała — a co do tego miała pewne wątpliwości — to kiedy w końcu wyszła z puszczy na drogę, było późne popołudnie. Czyżby wciąż trwał ten sam dzień? Nie, czuła się na to zbyt wypoczęta. Poza tym... spróbowała delikatnie obrócić głowę. Szyję miała wciąż trochę sztywną, ale już nie tak bardzo jak przedtem. Minął więc przynajmniej dzień, a może więcej.

Przez cały czas pozostawała nieprzytomna. Sama straciła przytomność? Czy może ktoś podał jej narkotyki? Podał narkotyki i przesłuchał?

Z prawej strony rozległo się skrzypienie drewna. Jin powoli odwróciła głowę. Obok okna, na ciężkim krześle siedziała ze skrzyżowanymi nogami mała, siedmio— może ośmioletnia dziewczynka i trzymała na kolanach otwartą książkę.

— Cześć — wychrypiała Jin.

Dziewczynka podniosła wzrok, zaskoczona.

— Cześć.

Zamknęła książkę i położyła ją na podłodze obok krzesła.

— Nie wiedziałam, że się obudziłaś. Jak się czujesz?

Jin z wysiłkiem zwilżyła usta.

— Całkiem nieźle — powiedziała, już dużo mocniejszym głosem. — Jestem głodna. Jak długo spałam?

— O, długo, prawie pięć dni. Ale przez jakiś czas byłaś przytomna i gorączkowałaś...

— Pięć dni? — Jin poczuła, że szczęka opada jej ze zdziwienia... po czym dotarła do niej dalsza część wypowiedzi dziewczynki. — Gorączkowałam, mówisz?

— zapytała ostrożnie. — Mam nadzieję, że nie zrobiłam ani nie powiedziałam czegoś zbyt dziwacznego.

— Nie, skądże, chociaż moja ciotka powiedziała, że jesteś bardzo silna.

Jin skrzywiła się.

— Tak, mówiono mi to.

Miała tylko nadzieję, że jej siła Kobry nie zrobiła nikomu krzywdy... ani jej nie zdradziła.

— Czy ktoś... przepraszam, jak masz na imię? .

Dziewczynka wyglądała na zbitą z tropu.

— O, wybacz mi.

Schyliła głowę, unosząc prawą rękę i dotykając złączonymi palcami do czoła. — Jestem Gissella, druga córka Namida Sammona, młodszego brata Kruina Sammona.

Jin próbowała poruszyć ręką, przyglądając się przy tym uważnie twarzy Gisselli. Jeśli nawet jej się to nie całkiem udało, to dziewczynka tego nie zauważyła.

— Jestem Jasmine — przedstawiła się Jin. — Trzecia córka Justina Alventina.

— Jestem zaszczycona — kiwnęła głową Gissella, wstając i podchodząc do łóżka. — Przepraszam, ale miałam dać znać mojej ciotce Ivrii, kiedy się obudzisz i będziesz przytomna.

Podeszła w kierunku drzwi do czegoś, co wyglądało jak wbudowany w ścianę interkom. Mała uzyskawszy połączenie, przekazywała wiadomość, a Jin w tym czasie obejrzała pobieżnie swoje obrażenia.

Zadziwiające. Głębokie skaleczenia na ramieniu i policzku pokryły się już różową skórą, a rozległe sińce, jakie pozostawiły na klatce piersiowej pasy bezpieczeństwa, zniknęły zupełnie. Lewe kolano i łokieć były nadal miękkie, ale i tak znajdowały się w lepszym stanie, niż mogła się tego spodziewać po tym, jak wyglądały zaraz po katastrofie. Albo obrażenia były lżejsze, niż wtedy myślała, albo...

Nie. Żadnego albo. Medycyna na Qasamie była po prostu tak samo zaawansowana jak na Światach Kobr, być może nawet bardziej.

Gissella skończyła rozmawiać i podeszła do szafy z ubraniami stojącej naprzeciwko drzwi.

— Będą tu wkrótce — powiedziała, wyciągając blado-niebieski strój, jak gdyby przedstawiała go Jin do oceny. — Ciotka Ivria sugerowała, że może będziesz chciała się ubrać, zanim przyjdą.

— Tak, oczywiście — przytaknęła Jin, odkrywając futrzaną kołdrę i energicznie opuszczając nogi.

Tkanina, jak szybko odkryła, różniła się znacznie od tej, z której zrobiona była jej niby-qasamańska odzież, chociaż krój był podobny. Mimo wszystko Jin wolała nie ryzykować i udała, że ma kłopoty z lewą ręką, pozwalając Gisselli zająć się zapinaniem i układaniem ubrania. Na szczęście obyło się bez większych niespodzianek. Co oznacza, że powinnam teraz umieć się odpowiednio ubrać — pomyślała Jin, prostując brzeg krótkiej tuniko-togi. Próbując się rozluźnić, nasłuchiwała nadejścia obcych.

Nie musiała długo czekać. Po kilku minutach jej wzmocniony słuch wyłapał kroki zbliżających się trzech osób. Wzięła głęboki oddech i zwróciła się ku drzwiom... w chwilę później kasetony rozsunęły się, ukazując dwie kobiety i mężczyznę.

Nietrudno było rozpoznać, która z przybyłych osób była w tej grupie najważniejsza. Dało się to zauważyć po jej bogatym ubiorze i monarszym niemalże zachowaniu. Była kobietą, która wzbudzała w otoczeniu szacunek, ale i wymagała go, Jin wyczuwała to instynktownie. Druga kobieta różniła się zdecydowanie. Młoda, skromnie ubrana, wyglądała jak ktoś, czyim zadaniem jest wykonywanie swych obowiązków po cichu i pozostawanie na uboczu.

Służąca — pomyślała Jin. — Albo niewolnica.. A mężczyzna?

Jego spojrzenie urzekało. Dosłownie. Jin potrzebowała dłuższej chwili, by oderwać wzrok od tych ciemnych oczu-pułapek i przyjrzeć mu się pobieżnie. Był młody, być może w jej wieku, może o rok lub dwa młodszy, ale wyglądał równie godnie jak starsza kobieta. Był też do niej nieco podobny.

Krewni? — zastanowiła się. — Bardzo możliwe.

Starsza kobieta zatrzymała się metr przed Jin i schyliła lekko głowę w ukłonie.

— W imieniu rodziny Sammonów — powiedziała spokojnym, opanowanym głosem — pozdrawiam cię i witam.

Wyczekujący wyraz na jej twarzy... Odruchowo, Jin powtórzyła gest unoszenia palców do czoła, który pokazała jej Gissella. Wydawało się, że poskutkowało.

— Dziękuję — odpowiedziała starszej kobiecie. — Wasza gościnność jest dla mnie zaszczytem.

Ta odpowiedź nie była na miejscu, co dało się szybko poznać po wyrazie ich twarzy. Wydawali się jednak raczej zaskoczeni niż obrażeni i Jin zacisnęła kciuki w nadziei, że historia, którą wymyśliła, pokryje te potknięcia.

— Jestem Jasmine, córka Justina Alventina.

— Jestem Ivria Sammon — przedstawiła się starsza kobieta. — Żona Kruina Sammona i matka jego spadkobierców.

Wskazała na młodzieńca, stojącego teraz obok niej.

— Daulo, pierwszy syn i spadkobierca Kruina Sammona.

— Wasza gościnność jest dla mnie zaszczytem — powtórzyła Jin, ponownie dotykając palcami czoła.

Daulo kiwnął głową w odpowiedzi.

— Twoje obyczaje i zachowanie świadczą, że jesteś obca w tej części Qasamy — kontynuowała Ivria, patrząc na nią bez zmrużenia oka. — Gdzie jest twój dom, Jasmine Alventin?

— Spędzałam czas w wielu różnych miejscach — powiedziała Jin, z wysiłkiem kontrolując mimikę i głos. To była najtrudniejsza część rozmowy. Każde kłamstwo, które teraz powie, w końcu wykryją, jeśli tylko będą dostatecznie wytrwali. Z tego powodu należało wybrać jedno z pół tuzina miast rozrzuconych po zachodnim łuku Półksiężyca, gdzie duża gęstość zaludnienia powinna przynajmniej odrobinę utrudnić dochodzenie. — Moim domem jest teraz miasto Sollas.

Przez jedną straszliwą chwilę wydawało jej się, że popełniła błąd, że być może coś, o czym nie wiedziała, przytrafiło się Sollas w ciągu lat, jakie minęły od pierwszego przybycia jej ojca na Qasamę. Mina, którą zrobiła Ivria...

— Mieszczuch — powiedział kąśliwie Daulo.

— Mieszczuch czy nie, jest teraz naszym gościem — odpowiedziała Ivria, a Jin mogła spokojnie odetchnąć.

Cokolwiek mieli przeciwko miastom, nie było to coś, co jednoznacznie piętnowało ją jako przybysza z innej planety.

— Powiedz mi, Jasmine Alventin, co cię sprowadza do Miliki?

— Czy tu się właśnie znajduję? — zapytała Jin. — To jest Milika? Nie wiedziałam, dokąd mnie przywieziono. Wypadek, który zniszczył nasz samochód...

— wzdrygnęła się bezwiednie, wspomnienie katastrofy wahadłowca pojawiło się mimowolnie przed oczami.

— Gdzie wydarzył się ten wypadek? — chciała wiedzieć Ivria. — Na drodze z Shagi?

Jin bezradnie rozłożyła ręce.

— Nie wiem, gdzie byliśmy. Moi towarzysze, mój brat Mander i dwaj inni, poszukiwali owadów dla naszego laboratorium.

— Byliście pieszo w puszczy? — wtrącił Daulo.

— Nie — odpowiedziała Jin. — Mander bada owady, żeby poznać i wykorzystać ich tajemnice. Ma, a raczej miał, bo chyba uległ zniszczeniu, specjalnie zbudowany samochód, którym można manewrować pomiędzy drzewami i w poszyciu puszczy. Ja pojechałam tylko na wycieczkę. Chciałam zobaczyć, jak działa ten pojazd. — Pozwoliła, żeby w jej głos wkradła się nutka zakłopotania. — Ale on z pewnością wie o wiele więcej na temat miejsca wypadku. Czy nie możecie się zapytać go o to, kiedy się przebudzi?

Ivria i Daulo wymienili spojrzenia.

— Twoich towarzyszy tu nie ma, Jasmine Alventin — powiedział Daulo. — Byłaś sama, kiedy mój brat znalazł cię na drodze.

Jin przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, starała się nadać ustom kształt, który by dobrze obrazował wstrząs, jakiego rzekomo doznała.

— Nie... ale przecież byli tam ze mną. Wszyscy doszliśmy do drogi. Mander zabił krisjawa, który mnie zaatakował. Nie, oni muszą tam być.

— Przykro mi — powiedziała delikatnie Ivria. — Pamiętasz, czy wciąż byli z tobą, kiedy doszłaś do drogi?

— Oczywiście, że tak — zapewniła Jin, głosem mającym świadczyć o narastającej panice. — Byli ze mną, kiedy niesiono mnie do ciężarówki. Musieli ich przecież... To twój brat nas odnalazł, Daulo? I nie widział ich?

Twarz Daula drgnęła.

— Jasmine Alventin... kiedy Perto cię odnalazł, byłaś pod wpływem działania toksyn monotów. Jednym z takich efektów są halucynacje. Mój brat nie zostawiłby twoich towarzyszy, gdyby znajdowali się gdzieś w pobliżu. Musisz w to uwierzyć. A kiedy już byłaś tu na miejscu, bezpieczna, wziął kilku ludzi i wrócił, żeby jeszcze raz, dokładniej przeszukać drogę i otaczające ją fragmenty puszczy, aż do Shagi.

Na tyle dokładnie, by odnaleźć plecaki, które ukryłam? — Jin poczuła skurcz w żołądku, ale uspokoiła się natychmiast.

Nie, plecaki były oczywiście nadal w ukryciu. Gdyby ktokolwiek je znalazł, obudziłaby się w więzieniu o zaostrzonym rygorze... jeśli w ogóle pozwolono by jej się obudzić.

— O, Mander — szepnęła. — Ale w takim razie... gdzie on jest?

— Być może jeszcze żyje — powiedział Daulo, siląc się na optymizm. — Możemy wysłać więcej ludzi na poszukiwania.

Jin powoli potrząsnęła głową i wpatrywała się tępo w ścianę.

— Nie. Pięć dni... jeśli nie odnalazł się do tej pory... to już nigdy się odnajdzie, prawda?

Daulo zaczerpnął głęboko powietrza.

— I tak wyślę następnych poszukiwaczy — powiedział cicho. — Posłuchaj... sporo przeszłaś i wątpię, czy już w pełni wydobrzałaś. Weź ciepłą kąpiel i zjedz coś, a potem odpocznij jeszcze kilka godzin.

Jin zamknęła na chwilę oczy.

— Tak. Dziękuję... Przepraszam. Przepraszam za wszystko.

— Zaszczytem i przyjemnością jest dla nas gościć cię w naszym domu — powiedziała Ivria. — Czy jest ktoś na Qasamie, komu powinniśmy przekazać wiadomość?

Jin potrząsnęła głową.

— Nie. Moja rodzina... odeszła. Miałam tylko brata.

— Bolejemy wraz z tobą — powiedziała cicho Ivria.

Milczała przez chwilę, potem skinęła ręką i młoda qasamańska kobieta, stojąca za nią, wysunęła się do przodu. — To jest Asya. Pozostanie twoją służącą, dopóki będziesz pod naszym dachem. Rozkazuj jej wedle woli.

— Dziękuję — kiwnęła głową Jin. Myśl o posiadaniu osobistej służącej, a szczególnie takiej, której zachowanie przypominało zachowanie niewolnicy, kłóciła się z jej odczuciami, ale sprzeciwianie się z pewnością byłoby nie na miejscu.

— Kiedy poczujesz się na tyle dobrze, by do nas dołączyć, daj znać Asyi, a ona mnie znajdzie — dodał Daulo. — W czasie twojego pobytu w Milice moim przywilejem będzie pełnić funkcję przewodnika i eskorty.

— Będę naprawdę zaszczycona — odparła Jin, ignorując ostrzegawcze dzwonki, odzywające się gdzieś w zakamarkach umysłu.

Najpierw osobista służąca, potem syn właściciela ma ją oprowadzać po terenie. Zwykła gościnność... czy pierwsze oznaki podejrzeń?

Ale co najmniej jeszcze przez kilka dni nie miało to większego znaczenia. Dopóki jej łokieć i kolano nie odzyskają pełnej sprawności, musiała pozostać w Milice i wracać do zdrowia, a jeśli Sammonowie zechcą trzymać ją pod mikroskopem, to sobie z tym poradzi.

— Chętnie obejrzę wasz dom i osadę — dodała. Wydawało się, że wyraz współczucia zniknął na chwilę z twarzy Daula.

— Tak — powiedział prawie ozięble. — Z pewnością.

Rozdział 16

Jin zadziwiająco łatwo przyzwyczaiła się do posiadania służącej.

Wyjątek stanowiła kąpiel. Jin nie miała towarzystwa w łazience, odkąd skończyła dziesięć lat, i fakt, że ktoś stoi cicho obok z gąbką, mydłem i ręcznikiem w pogotowiu, był nieco dziwny, a nawet krępujący. Gorąca woda okazała się wspaniała, a łazienka bardziej luksusowa niż jakakolwiek, którą widziała do tej pory. Korzystanie z niej stanowiło prawdziwą przyjemność, ale mimo wszystko rekonwalescentka skróciła całą operację do rozsądnego minimum.

Po wspaniałej kąpieli sprawy przybrały zdecydowanie lepszy obrót. Asya zamówiła dla niej duży obiad, podała go na małym stoliku stojącym przy oknie z widokiem na wspaniały dziedziniec. To trochę tak jak wtedy, kiedy jest się chorym, a rodzina stara ci się dogodzić — pomyślała Jin, kiedy Asya wskazała jej miejsce i zaczęła serwować potrawy. Albo kiedy ma się małą, posłuszną siostrzyczkę, która cię obsługuje. Tę rolę pamiętała aż za dobrze.

Jedzenie smakowało mniej dziwnie, niż się tego obawiała, i Jin zaskoczyła samą siebie, bo poradziła sobie z całą porcją podsuniętą przez Asyę. Wstrząs wywołany katastrofą i przeprawą przez puszczę w połączeniu z pięciodniowym postem bardzo pobudził jej apetyt.

Okazało się też, że osłabła. Ledwo skończyła posiłek, kiedy poczuła, że ponownie zaczyna morzyć ją sen. Pozostawiwszy sprzątanie Asyi, poszła z powrotem do łóżka i rozebrała się. Ciekawe — pomyślała wślizgując się pod futrzasty koc — czy dosypali mi do jedzenia czegoś na sen.

Nawet jeśli tak było, nie mogła na to nic poradzić. Dopóki przebywała w Milice i w domu Sammonów, pozostawała w ich mocy. Powinna wyglądać najniewinniej, jak się tylko da... i skupić się na odzyskaniu sił.

Kiedy się ponownie przebudziła, w pokoju było ciemno, przez ciężkie zasłony przeświecała jedynie nikła poświata.

— Asya? — szepnęła, włączając wzmacniacze optyczne. Nie usłyszała odpowiedzi, rozjerzała się więc szybko po pokoju i stwierdziła, że jest sama. Uruchomiła wzmacniacze słuchu, po chwili wychwyciła powolny oddech, dochodzący z korytarza prowadzącego do łazienki i przebieralni. Jin przypomniała sobie, że

widziała tam przedtem tapczan. Wysunąwszy się z łóżka, przeszła boso do drzwi i zajrzała do środka.

Naturalnie znalazła tam Asyę, leżącą na tapczanie, otuloną kołdrą i odciętą od całego świata. Przez dłuższą chwilę przyglądała się kobiecie, rozważając, co powinna zrobić... i kiedy tak stała, nagle uświadomiła sobie, że żaden z czterech członków rodziny Sammonów, których widziała do tej pory, nie miał ze sobą mojoka. Ani stroju dostosowanego do noszenia ptaka.

Zmarszczyła brwi w ciemności. Czy więc plan się powiódł? Czy rzeczywiście udało im się rozdzielić Qasaman i chroniące ich ptaki?

Jeśli tak, to tłumaczyłoby reakcję Sammonów na moje stwierdzenie, że jestem z Sollas — uświadomiła sobie. Pomiędzy miastami i osadami mogła narodzić się wrogość.

Równie dobrze Ivria i Daulo mogli z dowolnego powodu pozbyć się swoich mojoków, zanim do niej przyszli. Musiała się o tym przekonać... i to im szybciej, tym lepiej.

Przygryzając w zamyśleniu wargę, popatrzyła ponownie na drzwi, którymi dzisiejszego popołudnia weszli gospodarze. Wątpiła, czy oferowana przez Daula gościnność przewidywała nocne wycieczki, ale z drugiej strony nikt też nie sugerował, że ma być więźniem. Podeszła do szafy, znalazła ubranie, które miała na sobie wcześniej, i włożyła je cicho. Potem, wytężywszy wszystkie zmysły, otworzyła drzwi i wyszła.

Znalazła się mniej więcej w środku długiego korytarza. Słabe, rozproszone światło pozwalało jej widzieć bez pomocy wzmacniaczy. Po obu stronach, w równych odległościach widniały sklepione przejścia prowadzące z dziedzińca, być może do innych pokoi, większych niż oddany jej do dyspozycji. Całość była kunsztownie zdobiona delikatnymi wzorami przetykanymi złotem i purpurą.

Stwierdziła to wszystko niejako przy okazji. Jej uwaga skupiła się przede wszystkim na dwóch umundurowanych mężczyznach stojących na końcu korytarza.

Na ich ramionach migotały srebrnoniebieskie pióra mojoków.

Jin wahała się przez chwilę, ale na odwrót było już za późno. Strażnicy zauważyli ją, ale na razie wydawało się, że nie sprowokowała ich do niczego poza umiarkowanym zainteresowaniem, lecz schowanie się z powrotem do pokoju mogłoby obudzić ich czujność. W drugą stronę...?

Spoglądając za siebie, zobaczyła kolejną parę strażników stojącą w drugim końcu holu. Zaciskając zęby, zawróciła i ruszyłakorytarzem, starając się iść w sposób tak niewymuszony, jak się tylko dało.

Strażnicy przyglądali się jej uważnie. Kiedy podeszła, jeden z nich odstąpił na krok od ściany.

— Witaj, Jasmine Alventin — powiedział, dotykając palcami czoła. — Jesteśmy do twoich usług. Dokąd udajesz się o tak późnej porze?

— Obudziłam się właśnie — wyjaśniła Jin — i nie mogłam zasnąć, pomyślałam wiec, że może przydałby mi się spacer.

Jeśli zabrzmiało to dziwnie, strażnik nie dał tego po sobie poznać.

— Większość domowników już śpi — poinformował, spoglądając w głąb korytarza i wykonując serię gestów.

Jin wyjrzała za róg, zauważyła, że korytarz zakręcał w tym miejscu, prawdobodobnie okalał dziedziniec, który widziała ze swojego okna. Na drugim końcu stała kolejna para strażników, jeden z nich przekazywał coś gestami komuś znajdującemu się najwyraźniej za kolejnym rogiem. Tamci też mieli ze sobą mojoki.

— Sprawdzę, czy ktoś z rodziny Sammonów cię przyjmie — wyjaśnił strażnik.

— Naprawdę, nie ma takiej potrzeby... — zaczęła Jin. Ale było już za późno. Oddalony strażnik wykonywał już w ich kierunku kolejne gesty.

— W prywatnym gabinecie Kruina Sammona pali się światło — poinformował Jin. — Tamten strażnik cię zaprowadzi.

— To naprawdę nie jest konieczne — zaprotestowała Jin z bijącym sercem. Jeśli chodziło o tego samego Kruina Sammona, patriarchę rodu... — Nie chcę stwarzać niepotrzebnych kłopotów.

— Kruin Sammon życzyłby sobie wiedzieć, że potrzebujesz rozrywki — delikatnie upomniał ją strażnik.

Jin powstrzymała się od dalszej argumentacji. Strażnicy wyraźnie mieli rozkazy dotyczące jej osoby... a poza tym nagłe wycofanie się na tym etapie niepotrzebnie ściągnęłoby na nią uwagę.

— Dziękuję — — powiedziała sztywno.

Zmuszając się do zachowania spokoju, ruszyła długim korytarzem w kierunku oczekujących jej mężczyzn z mojokami...

Kruin Sammon oparł się na poduszkach, z wyrazem poirytowania i jednocześnie głębokiego zamyślenia na twarzy.

— Jak daleko dotarłeś?

— Aż do Shagi, a potem do Tabris — powiedział Daulo. — Nie znaleźliśmy zupełnie nic. Ani samochodu, ani ciał, ani śladu miejsca, w którym samochód mógłby wjechać w puszczę.

Kruin westchnął i kiwnął głową.

— A więc? Twoje wnioski? Daulo zawahał się przez chwilę.

— Ona kłamie — powiedział niechętnie. — Sfingowała wypadek, być może sama zadała sobie obrażenia po to, by dostać się do naszego domu.

— Nie znajduję podstaw, by się z tobą spierać — zgodził się Kruin. — Wydaje się jednak, że to zbyt wielki wysiłek dla tak małego zysku. Z pewnością istniało wiele prostszych sposobów, które pozwoliłyby osiągnąć jej ten sam cel.

Daulo zacisnął wargi. Też nie potrafił roztrzygnąć tego problemu.

— Wiem, mój ojcze. Ale kto wie, jak pogmatwany plan wymyślili nasi wrogowie? Być może sądzą, że poświęcimy tak wiele czasu na rozwikłanie jej tajemnic, że nie spostrzeżemy nadchodzącego głównego uderzenia.

— Prawda. Wnoszę więc, że odradzałbyś powiadomienie burmistrza Capparisa w Azras i poproszenie go o skontaktowanie się z władzami w Sollas?

— Skoro już wydaje się wystarczająco jasne, że jest podstawiona — powiedział Daulo — nie sądzę, aby wiele nam to dało. Potwierdziłoby tylko, że kłamała, mówiąc o swoim miejscu zamieszkania, a nasze podejrzenia mogłyby zaalarmować jej przyjaciół.

— Tak. — Kruin milczał przez chwilę. Potem z westchnieniem potrząsnął głową. — — Czuję ciężar swoich lat, mój synu. W dniach, które dawno minęły, z upodobaniem podjąłbym wyzwanie do takiej walki na intelekty. Teraz jedyne, co widzę przed sobą, to niebezpieczeństwo, jakie ta kobieta stanowi dla mojej rodziny i mojego domu.

Daulo oblizał wargi. Rzadko w życiu zdarzało mu się mieć tak otwarty wgląd w duszę ojca. Wprowadzało to młodego Sammona w zakłopotanie i jednocześnie odbierało nieco odwagę.

— Obowiązkiem głowy rodziny jest dbać o jej dobro — zacytował nieco sztywno.

Kruin uśmiechnął się.

— I tak widzisz swą przyszłość. Czy myśl o tak wielkiej odpowiedzialności cię przeraża?

Od odpowiedzi na to niewygodne pytanie uratował Daula łagodny gong, który odezwał się na biurku Kruina.

— Wejść — powiedział starszy z Sammonów w stronę inkrustowanego mikrofonu.

Daulo odwrócił się i spojrzał na otwierające się drzwi. Do środka weszło dwóch strażników, pochodzących z kobiecego skrzydła domu, i wciśnięta pomiędzy nich...

— Jasmine Alventin — stwierdził spokojnie Kruin, jakby jej obecność w ogóle go nie zdziwiła. — Nie śpisz jeszcze.

— Wybacz, jeśli przekroczyłam granicę twojej gościnności — powiedziała Jin, dopasowując się do tonu Kruina i wykonując w ten swój dziwny sposób znak szacunku. — Obudziłam się i pomyślałam, że pospaceruję, dopóki nie poczuję się znów senna.

— Obawiam się, że w Milice nocą dostępnych jest niewiele rozrywek — powiedział Kruin. — W przeciwieństwie, jak przypuszczam, do większych miast, do których przywykłaś. Czy mam kazać podać ci jedzenie bądź napoje?

— Nie, dziękuję — potrząsnęła głową. Jeśli nawet wzmianka o mieście, z którego rzekomo pochodziła, zaskoczyła ją, Daulo nie mógł tego zauważyć. — I tak już czuję się zakłopotana faktem, że przerywam twoją pracę. Proszę nie pozwolić mi sprawiać dalszych kłopotów.

Daulo odzyskał w końcu mowę.

— Może zechciałabyś kontynuować swój spacer na dziedzińcu — zaproponował. — Ojciec i ja skończyliśmy już naszą pracę, toteż byłbym zaszczycony, mogąc ci towarzyszyć.

Uważnie przyjrzał się jej twarzy i dojrzał w oczach przelotny wyraz zdziwienia.

— Ja także byłabym zaszczycona — powiedziała. — Ale tylko jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

— Najmniejszego — powiedział wstając. Spodziewał się raczej, że odmówi pod byle pretekstem. Jeśli zakradła się tu z jakimś nikczemnym zamiarem, z pewnością nie chciałaby, żeby przyglądał się temu spadkobierca rodziny Sammonów. Propozycja została złożona i nie mógł się wycofać.

— Tyle że będzie to musiała być krótka przechadzka — dodał.

— Oczywiście — zgodziła się. — Nie jestem śpiąca, ale zdaję sobie sprawę, że jeszcze nie w pełni odzyskałam siły.

Daulo zwrócił się w stronę ojca.

— Za twoim pozwoleniem...?

Kruin kiwnął głową.

— Nie wracaj zbyt późno. Chcę, żebyś z samego rana pojechał do kopalni wraz z górnikami.

— Tak, mój ojcze — ukłonił się Daulo, czyniąc znak szacunku. Odwracając się, uchwycił spojrzenie strażników. — Możecie powrócić na stanowiska — powiedział. — Chodź — powiedział do Jasmine, wskazując na drzwi. — Pokażę ci nasz dziedziniec. A po drodze opowiesz mi, czym nasz dom różni się od twojego.

Rozdział 17

Świetnie — gderała sama do siebie Jin, kiedy wyszli z pokoju Kruina i poszli korytarzem w stronę zdobionych schodów. — Po prostu świetnie. Przechadzka w świetle księżyca z synem lokalnego bonzy i dyskusja o rodzinnym mieście, w którym nigdy nie byłaś. Znakomity sposób na rozpoczęcie misji.

Kiedy jednak panika zaczęła słabnąć, okazało się, że nie było aż tak źle, jak się mogło wydawać. Przestudiowała setki satelitarnych zdjęć qasamańskich miast i co ważniejsze, widziała wszystkie taśmy nakręcone na powierzchni przez "drugie oczy" stryja Joshuy, kiedy był razem z jej ojcem w Soilas przed trzydziestu laty. Nawet jeżeli wiele się przez ten czas zmieniło, przynajmniej nie będzie musiała budować swojej historii od zera.

Chociaż z pewnością byłoby bezpieczniej nie rozmawiać wcale na temat Sollas... i rozpocząć własne poszukiwania.

Idąc obróciła głowę, spojrzała na odchodzących strażników i udała, że przebiega ją dreszcz.

— Czy coś się stało? — zapytał Daulo.

— Nie, nie — zapewniła go, biorąc głęboki oddech. — Tylko... te mojoki. Trochę się ich boję.

Daulo obejrzał się.

— Mojoki są łatwo dostępne — powiedział cierpko. — Czy wolałabyś, żebyśmy nie bronili naszej rodziny najlepiej, jak potrafimy?

— Nie, nie to miałam na myśli — potrząsnęła głową. — Rozumiem, dlaczego ich potrzebujecie. Ze względu na puszczę i całą resztę. Po prostu nie jestem przyzwyczajona do tak bliskiego towarzystwa dzikich zwierząt.

Daulo parsknął.

— A stada bololinów, którym pozwalacie szarżować przez Sollas, nie kwalifikują się jako niebezpieczne?

— Co rozsądniejsi z nas trzymają się od nich z daleka — odparowała.

— Co dowodzi, że burmistrz Capparis i jego ludzie są podwójnie głupi, prawda?

Jin zaschło w gardle. Kim, do diabła, był burmistrz Capparis? Kimś, o kim powinna wiedzieć?

— To znaczy? — zapytała ostrożnie.

— To znaczy, że on ma mojoka i dodatkowo bierze udział w odstrzałach przechodzących bololinów — mruknął Daulo. — A może Azras nie liczy się w ogóle jako miasto, bo znajduje się tu, na końcu Wschodniego Ramienia razem z nami, prowincjuszami?

Jin odetchnęła. Azras było znajomą nazwą. Miasto Urodzajnego Półksiężyca leżało niedaleko na południowy wschód od miejsca, gdzie się znajdowali, lub około pięćdziesięciu kilometrów na południowy zachód od tajemniczej krytej bazy, którą miała obejrzeć.

Uzyskawszy tę użyteczną informację, rozsądnie byłoby się wycofać.

— Wybacz mi — powiedziała. — Nie zamierzałam być arogancka ani uprzedzona.

— W porządku — mruknął, ale wyglądał na odrobinę zakłopotanego.

Doszli do końca schodów, po czym skierowali się w stronę dużych, podwójnych drzwi.

— Ja też nie powinienem reagować tak ostro. Po prostu męczą mnie miasta i to ciągłe rozdrapywanie kwestii mojoków. Być może w Sollas stanowią one większy kłopot i niebezpieczeństwo, niż są warte, ale tam nie musicie się przejmować brzytwołapami i krisjawami.

— Oczywiście — wymamrotała Jin.

Czyli w ciągu ostatnich trzydziestu lat przynajmniej w niektórych miastach liczba mojoków spadła praktycznie do zera. W jakim stopniu ta tendencja objęła osady?

— Czy zabieracie mojoki ze sobą, kiedy wychodzicie z domów? — zapytała.

Zauważyła, że podwójne drzwi prowadzące na zewnątrz nie były strzeżone tak jak korytarze na górze. Daulo otworzył je, spoglądając na nią nieco dziwnie.

— Ludzie, którzy mają mojoki, zabierają je ze sobą, gdzie chcą — powiedział. — Niektórzy tylko poza mury, inni noszą je przez cały czas. Czy wszyscy w Sollas są tak samo zafascynowani ptakami?

Jin wyszła na dziedziniec, z wdzięcznością ukrywając w ciemnościach rumieniec.

— Przepraszam, nie chciałam cię nudzić. Byłam po prostu ciekawa. Jak powiedziałam, nie miałam z nimi zbyt wiele do czynienia.

Daulo nic nie mówił przez chwilę, a Jin wykorzystała milczenie i rozejrzała się. Dziedziniec, wyglądający imponująco z okna, teraz wydawał jeszcze większy. W świetle małych błyszczących kuł umieszczonych w nawisie na wysokości drugiego piętra widoczne były owocowe drzewa, krzewy i małe posągi. Z prawej słyszała dźwięk przypominający odgłos wody płynącej z małej fontanny, a lekki wiatr niósł zapach kilku rodzajów kwiatów.

— Jest piękny — wymamrotała prawie nieświadomie.

— Mój pradziadek zaprojektował go, kiedy budował ten dom — powiedział Daulo i nie można było nie zauważyć dumy w jego głosie. — Mój dziadek i ojciec przebudowali go nieco, ale wciąż można w nim odnaleźć ślady dawnej Qasamy. Czy twój dom jest podobny do mojego?

— Nasz dom jest tylko jednym z wielu stojących wokół wspólnego podwórza — powiedziała Jin, przypominając sobie obejrzane taśmy. — Nie jest tak duży jak twój. I z pewnością nie taki cudowny.

Ledwo zdążyła wypowiedzieć te słowa, kiedy w nocnej ciszy dał się słyszeć słaby krzyk.

Jin drgnęła, wracając myślami na Aventinę, do puszczy, w której jej grupa walczyła przeciwko kolczastym lampartom.

— Wszystko w porządku — szepnął jej Daulo do ucha, i nagle zdała sobie sprawę, że przysunął się blisko niej. — Samotna brzytwołapa próbuje przedostać się przez mur, to wszystko.

— To wszystko? — zapytała Jin, starając się uspokoić nerwy. Myśl o tym, że po uśpionej osadzie mógłby biegać kolczasty lampart... — Czy nie powinniśmy czegoś zrobić?

— Wszystko w porządku, Jasmine Alventin — powtórzył Daulo. — Siatka jest wystarczająco wysoka, by ją powstrzymać. Albo zrezygnuje, albo zapłacze sobie łapy lub kolce, a wtedy zabiją ją nocni strażnicy.

Krzyk powtórzył się. Tym razem wydawał się bardziej gniewny.

— Czy nie powinniśmy przynajmniej sprawdzić, czy wszystko jest pod kontrolą? — nalegała. — Widziałam, co potrafi oszalała brzytwołapa.

Daulo syknął przez zęby.

— Dobrze. Wydaje się, że to faktycznie w naszej części miasta. Zaczekaj tu, wrócę za kilka minut.

Odsunął się od niej i poszedł w poprzek dziedzińca, w stronę długiej przybudówki stojącej w jednym z narożników.

— Poczekaj chwilę! — zawołała za nim Jin. — Chcę iść z tobą.

Rzucił jej przez ramię dziwne spojrzenie.

— Nie mów głupstw — odburknął, wchodząc do przybudówki bocznymi drzwiami.

Upłynęło kilka sekund. Na froncie budynku otworzyły się z delikatnym pomrukiem duże drzwi i ukazał się nisko zawieszony samochód. Prześlizgnął się po podjeździe w absolutnej ciszy, co świadczyło, że był wyposażony w bardzo nowoczesny elektryczny silnik. Potem otworzyły się drugie, bogato zdobione wrota, umożliwiając mu wyjazd z dziedzińca.

Jin została sama.

No, po prostu świetnie — pomyślała, wybuchając gniewem i wpatrując się w zamykającą się bramę dziedzińca. — Za kogo on mnie uważa, za jakąś do niczego nie przydatną...? Oczywiście, że tak — przypomniała sobie. — Wysoce patriarchalne społeczeństwo, pamiętasz? Wiedziałaś o tym, przyjeżdżając tutaj. Więc uspokój się, dziewczyno, i bądź na luzie, dobrze?

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Sama myśl o tym, że będzie chociażby chwilowo obywatelem drugiej kategorii, drażniła ją bardziej, niż mogła to sobie wyobrażać. Ale jeśli miała pozostać w ukryciu, nie było wyboru, musiała przyjąć tę rolę.

Albo przynajmniej nie dać się złapać na przekraczaniu pewnych granic...

Odgłosy aktywności wzmagały się, skupiając się teraz gdzieś na zachód od miejsca, w którym się znajdowała. Włączając wzmacniacze wzroku, Jin przeczesała dokładnie zarówno dziedziniec, jak i wychodzące nań okna i drzwi. Nie zauważyła nikogo. Podbiegła do zachodniego krańca dziedzińca i zrobiła to samo, tym razem uruchomiając dodatkowo czujniki podczerwieni. Wynik pozostał bez zmian. Była sama i nikt jej nie obserwował. Zaciskając zęby, spojrzała na trzypiętrowy mur górujący ponad nią, oszacowała szybko jego wysokość i skoczyła.

Przeliczyła się odrobinę i w sekundę później patrzyła już z powietrza na dach domu rodziny Sammonów. Na szczęście pradziadek Daula w trakcie budowy nie poskąpił kamiennych ornamentów, toteż kiedy osiągnęła górny punkt trajektorii lotu i zaczęła spadać, znalezienie oparcia dla rąk i nóg nie wymagało

żadnego wysiłku. Uważając, żeby nie narobić hałasu, wspięła się po pochyłym dachu na szczyt. Z tego punktu obserwacyjnego widziała większą część osady. Oddalony być może o kilometr na zachód, stał mur.

Wyglądał tak, jak się tego mogła spodziewać na podstawie zdjęć przywiezionych z qasamańskich osad, leżących dalej na pomoc i wschód. Główną część stanowiła trzymetrowej wysokości ceramiczna ściana, wystarczająco twarda i gruba, by powstrzymać szarżującego bololina. Wewnętrzna strona pomalowana została na kolory zlewające się z rozciągającą się tuż za nią puszczą. Od innych murów, jakie widziała, ten różnił się czymś w rodzaju rozciągniętej metalowej siatki, która zwiększała jego wysokość o kolejne dwa metry.

W połowie siatki, trzymając się wszystkimi czterema łapami, tkwił kolczasty lampart, którego usłyszała.

Poniżej zwierzęcia poruszało się kilka postaci uzbrojonych w ręczną broń dużych rozmiarów. Wysiliła oczy, ale nawet przy pomocy optycznych wzmacniaczy nastawionych na pełne zbliżenie, nie mogła się zorientować, czy Daulo był pomiędzy nimi.

Wtedy właśnie przed murem zatrzymał się samochód i wysiadł z niego Daulo.

Przez kilka chwil rozmawiał z obecnymi na miejscu ludźmi. Potem dwóch z nich ustawiło drabiny i weszło na szczyt głównej części muru, usadawiając się po obu stronach kolczastego lamparta. Tymczasem stojący pod nimi Daulo i jeden z obecnych unieśli broń, trzymając ją oburęcznym strzeleckim chwytem. Wyraźnie mieli zamiar zabić drapieżnika i złapać jego ciało, zanim spadnie po drugiej stronie.

Idioci — pomyślała Jin, z bijącym mocno sercem. — Jeśli mężczyzn na górze nie trafią zabłąkane kule bądź rykoszety, to na pewno zabiją ich przedśmiertne drgawki lamparta, którego zdecentralizowany układ nerwowy powodował, że niełatwo dawał się zabić, a jego agonia trwała zazwyczaj długo.

Wielokrotne błyski z ich broni wyglądały w jej wzmocnionym obrazie jak promienie słońca na powierzchni wody. Oczekiwała w napięciu... i zanim doszedł ją odgłos szybkich salw, było już po wszystkim. Kiedy lampart osunął się na siatkę, ludzie na murze byli już przy nim, wyciągając ręce i starając się złapać go za przednie łapy. Dwaj następni, Jin nie zauważyła nawet, kiedy weszli na mur, chwycili za główną część siatki i przeskoczyli na stronę lamparta. Po chwili każdy z nich złapał jedną ręką za tylną łapę zwierzęcia, trzymając się drugą ręką siatki. Wspólnymi siłami przeciągnęli trofeum i zrzucili na ziemię po wewnętrznej stronie muru.

Jin odetchnęła ostrożnie, po plecach przebiegł jej dziwny dreszcz, kiedy dwaj mężczyźni wspięli się z powrotem po siatce. Ci ludzie wiedzieli oczywiście, co robią, mieli w sumie całe pokolenie na nauczenie się, jak radzić sobie z dziedzictwem kolczastych lampartów, które dały im Światy Kobr. Nie musiała martwić się o Qasaman z tego powodu. Co oznaczało, że mogła skupić całą uwagę na sobie. Daulo wracał do samochodu. Jin ostrożnie wróciła tą samą drogą na krawędź dachu. Przy serwomotorach nóg i laminowanych kościach, najszybszym sposobem na zejście było po prostu zeskoczenie na dziedziniec. Ale odgłos uderzenia byłby na tyle głośny, że ktoś mógłby go usłyszeć. Po obejrzeniu strzeleckiego pokazu nie miała ochoty ryzykować i niechcący zwrócić czyjejś uwagi. Przy pomocy serwomotorów zakrzywiła palce i rozpoczęła długie zejście po kamiennej ścianie.

Zeszła już prawie całe piętro, kiedy jej wzmacniacze słuchu wychwyciły odgłos otwierającej się zewnętrznej bramy. Puściła chwyty i zeskoczyła na ziemię. Kiedy zjawił się Daulo, siedziała już na niskiej ławce pod pachnącym drzewem.

— Wszystko w porządku? — zapytała.

— Tak — pokiwał głową. — To tylko brzytwołapa, utknęła na murze. Dostaliśmy ją bez żadnego kłopotu.

— To dobrze — powiedziała Jin, wstając. — W takim razie myślę, że...

Przerwała raptownie, kiedy dziedziniec dookoła niej łagodnie zafalował.

— Nic ci nie jest? — zapytał ostro Daulo, podchodząc do niej i biorąc ją za rękę.

— Zakręciło mi się nagle w głowie — powiedziała Jin, przełykając głośno ślinę. Mimo że większość pracy wykonały za nią serwomotory, wycieczka na dach wyraźnie osłabiła ją bardziej, niż sobie z tego zdawała sprawę. — Chyba jeszcze całkiem nie wydobrzałam.

— Czy mam wezwać lektykę?

— Nie, nie, nic mi nie jest — zapewniła go. — Bardzo ci dziękuję za przyprowadzenie mnie tu. Mam nadzieję, że nie zabrałam zbyt wiele twojego czasu.

— To była dla mnie przyjemność, Jasmine Alventin. Chodźmy już...

Pomimo jej protestów, że naprawdę czuje się dobrze, nalegał, by ją odprowadzić aż do pokoju. Kiedy już tam doszli, chciał obudzić Asyę, i Jin musiała użyć swoich najlepszych werbalnych umiejętności i poświęcić kilka minut na szeptaną debatę w holu, zanim przekonała go, że uda jej się przejść od drzwi do łóżka bez dalszej asysty.

Przez dłuższy czas po tym, jak ucichły jego kroki na korytarzu, Jin wpatrywała się w sufit nad łóżkiem i wsłuchując się w bicie swego serca, myślała o szybkostrzelnej broni, którą widziała. Był moment, że zaczęła się już odprężać w komforcie i luksusie domu Sammonów... ale teraz to ciepłe uczucie zniknęło. Cała Qasama to jedno wielkie wrogie obozowisko — powtarzał im Layn.

Teraz po raz pierwszy naprawdę w to uwierzyła.

Rozdział 18

Obudził ją delikatny aromat gorącego jedzenia, a kiedy otworzyła oczy, zobaczyła na stoliku przy oknie ogromne śniadanie.

— Asya?! — zawołała, wstając z łóżka i podchodząc boso do stołu.

— Jestem tu, o pani — powiedziała Asya, wchodząc z drugiego pokoju i dotykając palcami czoła. — Czym mogę ci służyć?

— Czy spodziewamy się przy śniadaniu gości? — zapytała Jin, wskazując na rozmiary posiłku.

— Przysłano to z rozkazu panicza Daula Sammona — powiedziała Asya. — Być może uznał, że po chorobie powinnaś wyjątkowo dobrze się odżywiać. Chciałabym także przypomnieć, że twój wczorajszy posiłek był tak samo duży jak ten.

— Mój wczorajszy posiłek był poprzedzony pięciodniowym postem — mruknęła Jin, patrząc z rozpaczą na zastawę. — Jak ja mam to wszystko zjeść?

— Przykro mi, jeśli jesteś niezadowolona — powiedziała Asya, podchodząc do interkomu. — Jeśli chcesz, mogę kazać to zabrać i przynieść mniejszą porcję.

— Nie, w porządku — westchnęła Jin.

Od dzieciństwa uczono ją, że nie należy marnować jedzenia. Świadomość, że za chwilę to właśnie zrobi, powodowała poczucie winy i skurcze w żołądku. Ale nic nie można było na to poradzić. Usiadła, zaczerpnęła głęboko powietrza i zabrała się do dzieła.

Udało jej się dokonać w podanych potrawach poważnego spustoszenia, zanim się poddała. Przy okazji zauważyła coś, czego nie spostrzegła poprzedniego dnia. Każdy rodzaj jedzenia, podawany na zimno czy gorąco, zachowywał swoją początkową temperaturę przez cały czas trwania posiłku. Klasyczna sztuczka, w każdy z półmisków wbudowane musiały być miniaturowe grzejniki lub system mikrofalowy, ale to wcale nie odbierało uroku zastawie.

Urocze czy nie, stanowiło także trzeźwe przypomnienie czegoś, o czym w dość niebezpieczny sposób miała tendencję zapominać. Było jasne, że mimo

wszystkich egzotycznych zwyczajów i różnic kulturowych Qasamanie z pewnością nie byli społeczeństwem prymitywnym.

— Czego życzysz sobie teraz, pani? — zapytała Asya, kiedy Jin w końcu wstała od stołu.

— Chciałabym, żebyś wybrała dla mnie strój — powiedziała Jin, wciąż niepewna, w jaki sposób dobierać ubrania z szafy tak, aby pasowały do siebie. — Potem chciałabym pospacerować trochę po Milice, jeśli nie będzie to nikomu przeszkadzało.

— Oczywiście, pani. Panicz Daulo Sammon uprzedził mnie, że prawdopodobnie będziesz chciała zwiedzić nasze miasto. Prosił, abym go wezwała, kiedy będziesz gotowa do wyjścia.

Jin przełknęła ślinę. Zapracowany dziedzic znowu poświęca swój cenny czas, żeby bawić się w eskortę dla zwykłej ofiary wypadku...

— Byłabym zaszczycona — powiedziała sztywno.

Okazało się, że kiedy Asya go wezwała, Daulo załatwiał jakieś rodzinne sprawy. Jin próbowała zasugerować, aby zamiast niego eskortowała ją Asya, ale głos po drugiej stronie interkomu grzecznie poinformował ją, że ma poczekać na Daula.

Oczekiwanie trwało prawie godzinę. Zirytowało to Jin, ale nie chcąc się zdradzić, nie mogła oponować. W końcu jednak Daulo pojawił się i ruszyli we dwoje przez gwarną Milikę.

Wycieczka okazała się warta oczekiwania. Miasta i osady na Aventinie i innych Światach Kobr, o czym Jin wiedziała od dawna, wzrastały w zasadzie same, w dowolny sposób, bez ścisłego planowania przestrzennego. Milika, wyraźnie zbudowana od podstaw według drobiazgowego projektu, stanowiła uderzający kontrast. Jeszcze bardziej imponujące było to, że ktokolwiek wykonał te plany, rzeczywiście włożył w nie sporo pracy i wykazał się sporą inteligencją. Osada stanowiła wielkie koło, o średnicy mniej więcej dwóch i pół kilometra, z pięcioma głównymi drogami, odchodzącymi promieniście od wewnętrznego ronda do o wiele większej zewnętrznej obwodnicy. W środku Małego Pierścienia znajdował się dobrze zadbany park nazwany Zieleńcem Wewnętrznym. Większy pas parkowy, otaczający osadę pomiędzy Wielkim Pierścieniem a murem, nazywany był, jak powiedział Daulo, Zieleńcem Zewnętrznym.

— Zieleńce zostały zaprojektowane jako teren publiczny, miejsce spotkań i rekreacji dla pięciu rodzin, które wybudowały Milikę — powiedział Daulo, kiedy minęli tłum przechodniów na Małym Pierścieniu i przeszli na Zieleniec We-

wnętrzny. — Jak w twoim rodzinnym mieście, większość członków pomniejszych rodzin, a także robotników mieszka w kamienicach otaczających wspólne podwórka, co daje im więcej miejsca, niż mogliby mieć w innym przypadku.

— Dobry pomysł — kiwnęła głową Jin. — Z pewnością szczególnie lubią to dzieci.

Daulo uśmiechnął się.

— Tak jest w istocie. Zostały dla nich wybudowane specjalne tereny zabaw. Podobne są na Zewnętrznym Zieleńcu. — Machnął ręką w kierunku stref mieszkalnych, znajdujących się poza parkiem. — Widzisz, początkowo każda z pięciu części osady w kształcie trójkąta miała być własnością jednej rodziny. Niestety w ciągu ostatnich lat trzy z rodzin-założycielek rozpadły się bądź osłabły. To tamte trzy — dodał, wskazując w ich kierunku. — Tylko Sammonowie i Yithtrowie pozostali jako wyłączni właściciele swoich części.

Jin kiwnęła głową. W jego głosie zabrzmiała nutka goryczy...

— Wygląda na to, że wolałbyś, aby była tylko jedna taka rodzina — skomentowała bez zastanowienia.

— Czy ty też byś tak wolała? — odparował. Spojrzała na niego zaskoczona pytaniem. Jego twarz przybrała formę obojętnej maski.

— Sposób, w jaki twoja osada chce żyć, nie jest moją sprawą — powiedziała, ostrożnie dobierając słowa. O jakąż to lokalną politykę się potknęła? — Gdyby zależało to ode mnie, wybrałabym pokój i harmonię pomiędzy społecznościami.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, po czym się odwrócił.

— Pokój nie zawsze jest możliwy — powiedział twardo. — Zawsze istnieją tacy, których głównym celem jest niszczenie innych.

Nie komentuj tego, dziewczyno — ostrzegła samą siebie.

— Czy taki jest cel rodziny Sammonów? — zapytała cicho.

Posłał jej spojrzenie ostre jak brzytwa.

— Jeśli w to wierzysz... — Przerwał, wyraźnie niezadowolony. — Nie, to nie jest naszym celem — mruknął. — Pomiędzy naszymi rodzinami istnieje wiele drobnych konfliktów, ale ja mam dość marnowania w ten sposób mojej energii. Nasz prawdziwy wróg znajduje się tam, Jasmine Alventin. Nie w miastach czy po drugiej stronie parku.

Wskazał na niebo.

Prawdziwy wróg. My. Ja.

Jin przełknęła ślinę.

— Tak — wymamrotała. — Tu nie ma prawdziwych wrogów.

Daulo odetchnął głęboko.

— Chodź — powiedział, ruszając z powrotem w poprzek Małego Pierścienia. — Zaprowadzę cię na główne targowisko w naszej części osady. Potem może zechcesz zobaczyć Zewnętrzny Zieleniec i nasze jezioro.

Targowisko usytuowane było wzdłuż brzegu trójkąta należącego do rodziny Sammonów. Jego lokalizację wyraźnie opracowano pod kątem handlu zarówno z własną częścią, jak i z tą leżącą po drugiej stronie drogi-promienia. Było to także dla Jin najbardziej znajome miejsce w całej Milice, stanowiące prawie dokładną kopię targowiska, które przed trzydziestoma laty odwiedził jej stryj. Tłoczny i kolorowy labirynt małych straganów, na których dostępne było wszystko, od żywności i skór zwierzęcych po usługi budowlane i małe urządzenia elektroniczne, wyglądał jak prawdziwe pandemonium. Jin nigdy nie rozumiała, jak można codziennie przychodzić do tego domu wariatów po zakupy i nie oszaleć. Teraz, kiedy się już tu znalazła, rozumiała to jeszcze mniej.

Kiedy tak przebijali się przez tłum, Jin wypatrywała pilnie mojoków.

Były tam, oczywiście, srebrnoniebieskie drapieżne ptaki, jadące spokojnie na specjalnych epoletach-żerdziach, które widywała na filmach z Qasamy. Trzydzieści lat temu każdemu dorosłemu towarzyszył jeden z nich, teraz, po szybkim oszacowaniu Jin stwierdziła, że liczba ludzi z mojokami stanowi nie więcej niż jedną czwartą ogółu. A więc prawie już zniknęły z miast — pomyślała, przypominając sobie rozmowę z D aułem wczorajszej nocy. W osadach natomiast wciąż stanowią poważną siłę. Czy to jest ta kwestia mojoków, o jakiej mówił Daulo?

I czy "kwestia mojoków" była jedną z przyczyn wrogości pomiedzymi osadami a miastami, o której bez przerwy słyszała? Jeśli przywódcy Qasamy mieszkający w miastach zdecydowali w końcu, że towarzystwo mojoków jest niebezpieczne, sensownym byłoby wywieranie nacisku na pozbycie się ich na całej planecie.

Z tym że osady nie mogły tego zrobić. Jakiekolwiek były długotrwałe skutki wywierane przez mojoki, nie można zaprzeczyć, że stanowiły one niezwykle skuteczną ochronę osobistą... a ludzie w qasamańskiej puszczy potrzebowali tak dobrej ochrony, jaka tylko była możliwa. Jin mogła zaświadczyć o tym osobiście.

W sumie wyglądało więc na to, że projekt Moreau, przewidujący zasiedlenie Qasamy kolczastymi lampartami, rzeczywiście naruszył powszechną współpracę Qasaman, której tak obawiały się Światy Kobr... a ceną, którą musieli zapłacić,

był fakt uczynienia tego świata jeszcze bardziej niebezpiecznym dla jego mieszkańców.

Jak to ujął Daulo, zawsze istnieją tacy, których głównym celem jest zniszczenie innych. Czy Światy Kobr przyczyniły się do tego rodzaju uwag? Zrobiło jej się słabo na tę myśl.

Ktoś w pobliżu wołał Jasmine Alventin... Oj, to ja, zorientowała się nagle.

— Przepraszam, Daulo, co mówiłeś? — zapytała, czując jak z powodu zakłopotania kolejnym potknięciem, czerwienieją jej policzki.

— Pytałem, czy nie chciałabyś czegoś kupić — powtórzył Daulo. — Przecież straciłaś wszystko w wypadku.

Kolejny sprawdzian? — zastanawiała się Jin, czując przyśpieszony puls. Nie miała pojęcia, co normalna qasamańska kobieta mogła zabierać ze sobą na wyprawę do puszczy w poszukiwaniu robali. Nie, on chyba po prostu jest uprzejmy — powiedziała sobie. Nie histeryzuj, dziewczyno... ale też nie daj się zaskoczyć.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała. — Nie miałam niczego ważnego poza ubraniami. Będę ci wystarczająco zobowiązana, jeśli ofiarujecie mi odzież, którą pożyczyła mi twoja rodzina.

Daulo kiwnął głową.

— W każdym razie daj znać, jeśli coś ci się przypomni. Skoro już o tym wspomniałaś, czy zastanowiłaś się, kiedy chciałabyś wyjechać?

Jin wzruszyła ramionami.

— Nie chcę nadużywać waszej gościnności dłużej niż to konieczne — powiedziała. — Jeśli staję się ciężarem, mogę wyjechać dziś.

Grymas wykrzywił jego twarz.

— Jeślibyś chciała, można to oczywiście załatwić — stwierdził. — Jednak z pewnością nie jesteś ciężarem. Ponadto radziłbym ci pozostać, dopóki całkiem nie wydobrzejesz.

— Właśnie — przyznała. — Nie chciałabym zasłabnąć gdzieś pomiędzy Azras i Sollas... a próżno by szukać pomocy tak troskliwej jak ta, której udzieliła mi rodzina Sammonów.

Daulo obruszył się.

— Widzę, że uczono cię subtelnej sztuki pochlebstwa.

Mimo to wydawał się zadowolony.

— Nie, tylko sztuki mówienia prawdy — odparowała lekko.

Z wyjątkiem wielkiego kłamstwa o sobie, którym to właśnie cię karmię. Myśl o tym spowodowała, że poczuła ciepło na policzkach. Rozejrzała się szybko za czymś, co pomogłoby zmienić jej temat. Za targowiskiem, na północny wschód stał budynek o dziwnym kształcie.

— Co to jest? — zapytała wskazując budowlę.

— To tylko magazyn kopalnianych wind — odpowiedział. — Nie jest zbyt atrakcyjny, ale ojciec uznał, że wymienia się go zbyt często, by był wart właściwych ozdób.

— A, tak... twój ojciec wspominał wczorajszej nocy o kopalni — kiwnęła głową Jin. — Co to za kopalnia?

Daulo rzucił jej dziwne spojrzenie.

— Nie wiesz?

Jin poczuła kropelki potu na czole.

— Nie. A powinnam?

— Myślałem, że każdy, kto planuje wycieczkę, dowiaduje się przynajmniej minimum o obszarze, który ma zamiar odwiedzić — powiedział nieco zirytowany.

— Tym wszystkim zajmował się mój brat Mander — zaimprowizowała. — On zawsze zajmował się... szczegółami. — Twarz Mandera stanęła jej nagle przed oczami. Twarz, której już nigdy nie ujrzy...

— Bardzo kochałaś brata, prawda? — zapytał Daulo nieco łagodniej.

— Tak — szepnęła, a łzy rozmazały jej widok. — Bardzo Mandera kochałam.

Stali przez chwilę w milczeniu, podczas gdy śpieszący tłum omywał ich dookoła niczym fale.

— Nie można zmienić przeszłości — powiedział w końcu Daulo, ściskając jej rękę. — Chodź, pokażę ci nasze jezioro.

Biorąc pod uwagę rozmiary Miliki, Jin spodziewała się, że jeziorem będzie średniej wielkości parkowy staw, wciśnięty pomiędzy drogi i domy. Zaskoczył ją więc widok akwenu długości trzech czwartych kilometra przecinającego część Miliki należącą do Sammonów.

— Jest... duże — wydusiła z siebie, kiedy stali ponad wodą, na wygiętym w łuk moście.

Daulo zachichotał.

— To trzeba przyznać — zgodził się. — Zauważ, że przechodzi pod Wielkim Pierścieniem i ciągnie się aż do Zewnętrznego Zieleńca. Jest jedynym źródłem wody zużywanej w Milice, nie wspominając już o jego oczywistych walorach rekreacyjnych.

— Skąd się bierze ta woda? — zapytała Jin. — Nie widziałam nigdzie żadnych rzek ani dopływów.

— Jest zasilane z podziemnego źródła, lub może z podziemnej rzeki, jakiegoś dopływu Somilarai, która płynie na pomoc stąd. Nikt tak naprawdę tego nie wie.

Jin kiwnęła głową.

— Jak ważna jest, jeśli mogę spytać, bliska obecność wody dla działalności waszej kopalni?

Patrzyła na jezioro, ale czuła na sobie jego spojrzenie.

— Nieszczególnie — powiedział. — W trakcie samego wydobycia nie zużywa się wody, a proces rafinacji jest czysto katalityczny. Dlaczego pytasz?

Przerwała, ale na wycofanie się było już za późno.

— Wcześniej mówiłeś o ludziach, którzy próbują niszczyć innych — powiedziała ostrożnie. — Teraz widzę, że oprócz kopalni wasza część Miliki kontroluje również dostawy wody dla osady. Twoja rodzina ma rzeczywiście wielką władzę... a tego rodzaju władza często wzbudza w innych zawiść.

Naliczyła dziesięć uderzeń serca, zanim się znowu odezwał.

— Dlaczego interesuje cię rodzina Sammonów? — zapytał. — I Milika jako taka?

Uzasadnione pytanie. O kulturze qasamańskich osad dowiedziała się już wszystkiego, czego potrzebowała, i za dzień, dwa ruszy dalej na zwiady do miast. Polityczne spory w małej osadzie zagrzebanej w środku puszczy niespecjalnie ją interesowały. A jednak...

— Nie wiem — powiedziała szczerze. — Może z wdzięczności za waszą pomoc. Może dlatego, że zaczynam odczuwać przyjaźń do twojej rodziny. Jakikolwiek byłby powód, zależy mi na was, i chciałabym wam pomóc, jeśli jest coś, co mogłabym zrobić.

Nie była pewna, jakiej spodziewać się reakcji — akceptacji, wdzięczności, może nawet nieufności. Ale drwiące parsknięcie, które dobiegło ją z tyłu, było dla niej kompletnym zaskoczeniem.

— Ty nam pomożesz? — powiedział pogardliwie. — Wspaniale. Kobieta bez rodziny? A jaką to pomoc możesz nam zaproponować?

Jin poczuła ogień na policzkach. Policz do dziesięciu — nakazała sobie, mocno gryząc się w język. — Wychodzisz daleko poza swoje rolę.

— Przepraszam — powiedziała pokornie przez zaciśnięte zęby. — Nie tak chciałam to wyrazić. Pomyślałam tylko, że nawet jeśli nie mam rodziny, to mam przyjaciół.

— Przyjaciół w mieście? — zapytał rzeczowo.

— No... tak.

— Aha. — Daulo chrząknął znowu, tym razem ciszej, a potem westchnął. — Zapomnijmy o tym, Jasmine Alventin. Doceniam ten gest, ale oboje wiemy, że to tylko gest.

— Ja... chyba masz rację.

— W porządku. Chodź, zaprowadzę cię na drugą stronę, do Zewnętrzego Zieleńca.

Zaciskając zęby, opuściła oczy jak powinna grzeczna, mała qasamańska kobieta i poszła za Daulem.

Rozdział 19

Dziedziniec przed pokojami Dania pogrążony był w ciemności, jego późna kolacja zakończona i naczynia uprzątnięte. W ciszy i samotności przyszły myśli o Jasmine Alventin.

Nie chciał o niej myśleć. W zasadzie nawet zadał sobie wiele trudu, by przez ostatnie kilka godzin pogrążyć się w pracy na tyle, by uniknąć myślenia o Jin. Zakończył ich pieszą wycieczkę po Milice wczesnym popołudniem, wyrażając troskę o jej osłabioną kondycję, po czym pojechał bezpośrednio do kopalni nadzorować stemplowanie. Potem wrócił do domu i spędził kilka godzin, ślęcząc nad stertami papierów, które kopalnia najwyraźniej produkowała w takiej samej objętości jak odpady. Odłożył na później jedzenie, by nie spotkać się z gościem podczas wspólnego, rodzinnego posiłku. Teraz miał nadzieję, że pełny żołądek i ciężar zakończonego dnia sprowadzą na niego sen.

Ale nic z tego. Kiedy jego ciało spoczywało rozparte na poduszkach, odrętwiałe z przejedzenia i zmęczenia, myśli krążyły jak oszalały bololin. Wokół jednego tylko, oczywiście, głównego tematu.

Jasmine Alventin.

Kiedy był małym chłopcem, jego ulubioną opowieścą była ta o węźle gordyjskim. Kiedy był młodym mężczyzną, uwielbiał rozwiązywać problemy, które, tak jak węzeł, innych ludzi doprowadzały do rozpaczy. Jasmine Alventin stanowiła w istocie tego rodzaju problem, prawdziwy węzeł gordyjski w ludzkiej postaci.

Niestety, był to węzeł, który nie dawał się rozwiązać.

Z westchnieniem podniósł się z poduszek i wstał. Odkładał to prawie przez cały dzień, licząc w swej dumie na to, że poradzi sobie z nękającym go widmem bez niczyjej pomocy. Ale nic z tego... i jeśli istniało nawet niewielkie prawdopodobieństwo, że Jasmine Alventin stanowiła zagrożenie dla rodziny Sammonów, to właśnie jego obowiązkiem było zrobić wszystko, co konieczne, aby tej rodziny bronić.

Jego prywatna gablotka z narkotykami, którą stanowiła wzmocniona szuflada z na tyle odpornym zamkiem, by zniechęcić najwytrwalsze nawet z dzieci, wbudowana była w ścianę jako część łazienkowej szafki. Od momentu kiedy zo-

stał przyjęty do świata dorosłych, minął zaledwie rok, i Daulo wciąż odczuwał odruchowe, nerwowe kłucie za każdym razem, kiedy otwierał szufladę. Mówiono mu, że to z czasem minie.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej zawartości, zastanawiając się, co będzie najlepsze. Cztery typy stymulantów umysłu oznaczone na czerwono kusiły oko, ale pozostawił je tam, gdzie stały. Generalną zasadą było, że im silniejszy narkotyk, tym silniejsza później reakcja, a nie miał szczególnej ochoty na noc pełną piekielnych koszmarów albo na spędzenie dnia, leżąc płasko na plecach z powodu zawrotów głowy. Wybrał więc prosty środek samohipnotyzujący, który pomoże mu ułożyć znane fakty w logicznym porządku. Przy pewnej dozie szczęścia jego umysł poradzi sobie dalej sam. Jeśli nie... no, wtedy pozostają mu jeszcze w zapasie inne stymulanty. Powróciwszy na poduszki, opróżnił kapsułkę do kadzielnicy i zapalił ją. Dym wzbił się w powietrze, z początku delikatny i aromatyczny, później stawał coraz cięższy i pachnący olejem. I kiedy otoczył go całkowicie, Daulo jeszcze raz spróbował rozwiązać gordyjski węzeł, którym była Jasmine Alventin.

Jasmine Alventin. Tajemnicza młoda kobieta, ocalała z "wypadku", którego nikt nie widział i nikt nie mógł potwierdzić. Przybyła do Miliki w podejrzanym momencie, zbiegającym się z zamieszaniem w działalności przemysłu drzewnego rodziny Yithtra i świeżymi zamówieniami na metale z operacji Mangus. Mówiła jak kształcony w mieście pośrednik handlowy, lecz jej maniery pasowały raczej do jakiegoś niedouczonego wyrzutka z cywilizowanego społeczeństwa. A rzeczy, które opowiadała tym swoim wykształconym głosem...

Nawet pod wpływem sztucznego spokoju wywołanego otaczającym go jak dymny kokon środkiem hipnotyzującym, Daulo mamrotał pod nosem, dając upust swoim odczuciom na ten temat. "Chcę iść z tobą" — powiedziała, jak gdyby wychodzenie w środku nocy, żeby zająć się brzytwołapą, było czymś, co kobiety robią codziennie. "Chcę wam pomóc" — całkowicie śmieszne w ustach samotnej kobiety bez rodziny i majątku. Tak jakby żyła we własnym, odrębnym świecie, rządzącym się odrębnymi prawami.

A jednak nie można jej oceniać jako swego rodzaju umysłowo ograniczonego postrzeleńca. Za każdym razem, kiedy tego próbował, jak gdyby od niechcenia robiła lub mówiła coś, co stawiało ją w zupełnie przeciwnym świetle. Przyszło mu do głowy pół tuzina przykładów, z których najbardziej oczywistym był ten, z jaką łatwością zrozumiała konsekwencje posiadania jeziora na terenie należącym do rodziny Sammonów. Jeszcze bardziej niepokojące było to, że miała specyficzną zdolność unikania pytań, na które nie chciała odpowiadać... a taka zdolność wymagała inteligencji.

Kim wiec była? Niewinną ofiarą, jak sama twierdziła? Czy może czyimś wysłannikiem, mającym za zadanie sprawianie kłopotów? Fakty prawie w sposób widzialny ułożyły się przed oczami Daula w systematycznym porządku... bez skutku. Węzeł nadal pozostawał mocno zawiązany, a jedynym nowym wnioskiem, na jaki mógł się zdobyć, było to, że wbrew zarówno swojej woli, jak i zdrowemu rozsądkowi zaczynał ją lubić.

Absurd. Parsknął, nagła zmiana w równym rytmie oddechów wywołała krótki napad kaszlu. To było absurdalne, absolutnie, całkowicie absurdalne. Nie znał jej statusu, lecz w najlepszym wypadku zajmowała znacznie niższą pozycję społeczną. W najgorszym starała się zimno wykorzystać go do zniszczenia wszystkiego, co było dla niego cenne.

Mimo to, kiedy tak przeglądał oczami duszy listę argumentów przemawiających przeciwko niej, musiał przyznać, że wciąż znajdował w niej coś, czemu nie mógł się oprzeć.

Tylko tego było mi potrzeba — narzekał w ciszy. Jeszcze coś na temat Jasmine Alventin, co nie daje się rozwiązać. A więc cóż mogło to być? Nie twarz ani ciało. Były dość przyjemne, ale widywał już o wiele ładniejsze, które nie wywoływały takiego zagrożenia dla równowagi emocjonalnej. Na pewno nie chodziło o jej wychowanie, nie potrafiła nawet należycie wykonać znaku szacunku.

— Dobry wieczór, Daulo.

Zaskoczony Daulo obrócił się na poduszkach, mrugając powiekami, starał się dostrzec poprzez mgłę przechodzącego cicho pomiędzy wiszącymi parawanami ojca.

— O, mój ojcze — powiedział, podnosząc się.

Kruin powstrzymał go gestem.

— Nie byłeś dziś na swym zwykłym miejscu podczas wieczornego posiłku — powiedział, przyciągając w kierunku syna poduszkę i siadając na niej ze skrzyżowanymi nogami. — Przyszedłem sprawdzić, czy nie masz jakichś kłopotów. — Pociągnął nosem. — Środek hipnotyzujący, mój synu? Myślałem, że po pracowitym dniu odpowiedniejszy byłby nasenny.

Daulo spojrzał z uwagą na ojca, resztki efektów wywołanych środkiem hipnotyzującym wywietrzały z jego umysłu. Miał nadzieję, że pozbędzie się obsesyjnej myśli o Jasmine Alventin, zanim ktokolwiek zauważy, że coś go gnębi.

— Byłem dziś raczej... zaabsorbowany — powiedział ostrożnie. — Nie czułem się na siłach, by uczestniczyć we wspólnym posiłku wraz z resztą rodziny.

— Jutro możesz czuć się gorzej — ostrzegł Kruin, przeciągając palcem przez ostatnią wstęgę dymu i obserwując, jak skręca się w wywołanym tym ruchem wirze powietrza. — Nawet te łagodne środki mają zwykle nieprzyjemne skutki uboczne. — Przerzucił wzrok z powrotem na twarz Daula. — Jasmine Alventin pytała o ciebie.

Po twarzy Daula przeleciał grymas, zanim zdążył go powstrzymać.

— Wierzę, że jej powrót do zdrowia przebiega należycie?

— Tak się wydaje. Jest niezwykłą kobietą, nie uważasz?

Daulo westchnął, bezgłośnie przyznając się do porażki.

— Nie wiem, co o niej myśleć, mój ojcze — wyznał. — Wiem tylko, że... zachodzi obawa, że mogę przestać traktować ją w sposób obiektywny. — Wskazał na kadzielnicę. — Próbowałem poukładać myśli.

— I udało ci się?

— Ja... nie jestem pewien.

Kruin milczał przez długą chwilę.

— Czy wiesz, dlaczego mieszkasz w tym domu, mój synu? Pośród tego luksusu i dostatku?

Oto nadchodzi — pomyślał Daulo, czując kulę w żołądku. Surowe przypomnienie, skąd wzięło się bogactwo naszej rodziny i że moim obowiązkiem jest jego obrona.

— Dlatego, że ty, twój ojciec, a przedtem jego ojciec trudziliście się w pocie czoła w kopalni — powiedział.

Ku jego zdziwieniu starszy Sammon potrząsnął głową.

— Nie. Kopalnia ułatwiła oczywiście sprawy, ale nie w niej mieści się nasza prawdziwa potęga. Znajduje się ona tu... — wskazał na oczy — i tu... — dotknął czoła. — Bogactwa materialne to bardzo dobra rzecz, ale żaden człowiek nie utrzyma takiego bogactwa, jeśli nie nauczy się rozszyfrowywać ludzi, których ma wokół siebie. Wiedzieć, którzy są przyjaciółmi, a którzy wrogami... i wyczuwać chwile, kiedy należy zmienić niektóre zobowiązania. Rozumiesz?

Daulo przełknął ślinę.

— Chyba tak.

— Dobrze. A więc, powiedz mi, jaką formę przybiera ten brak obiektywizmu.

Daulo bezradnie rozłożył ręce.

— Nie wiem. Ona jest po prostu taka... odmienna. W jakiś sposób. Ma w sobie... być może jest to pewien rodzaj siły umysłu, coś, czego nigdy nie spotkałem u kobiety.

Kruin pokiwał głową w zamyśleniu.

— Prawie jakby była mężczyzną, a nie kobietą?

— Tak. To właśnie...

Daulo przerwał nagle, bowiem do głowy przyszła mu okropna myśl.

— Nie sugerujesz chyba...?

— Nie, nie, oczywiście, że nie — pośpiesznie zapewnił go Kruin. — Po przywiezieniu badał ją lekarz, pamiętasz? Jest kobietą. Ale być może nie należy do qasamańskiej cywilizacji.

Daulo przemyślał to. To tłumaczyłoby jej odmienność, którą zauważył.

— Myślałem, że wszyscy na Qasamie mieszkają w Wielkim Łuku. A poza tym twierdzi, że pochodzi z Sollas.

— Nawet my nie mieszkamy dokładnie w Wielkim Łuku. — Kruin wzruszył ramionami. — Niedaleko od niego, ale mimo wszystko poza nim. Kto wie, może inni mieszkają jeszcze dalej? Jeśli chodzi o miasto, być może obawiała się powiedzieć nam, gdzie naprawdę mieszka. Z przyczyn, których nie mogę nawet zgadywać — dodał, bo Daulo otwierał usta, by zadać pytanie.

— Interesująca teoria — przyznał Daulo. — Nie wiem jednak, czy oparłaby się brzytwie Ockhama.

— Być może dodatkowy fragment informacji uratowałby ją przed ostrzem — odparł Kruin. — Rozmyślałem o wypadku, w którym Jasmine Alventin, jak twierdzi, uczestniczyła, i pomyślałem, że jeśli zdarzył się w pobliżu Tabris, ktoś z miejscowych mógł go usłyszeć lub znaleźć kogoś z jej towarzyszy.

— Nie mogła dojść z tak daleka — zaoponował Daulo. — Poza tym sprawdziliśmy całą tę drogę.

— Wiem — kiwnął głową Kruin. — I ufam ci. Ale pomyślałem, że w przypadku takim jak ten dobrze byłoby znaleźć dodatkowe potwierdzenie, wiec wysłałem tam dziś rano wiadomość. Ktoś rzeczywiście słyszał odgłos wielkiego i gwałtownego wypadku... ale nie w pobliżu drogi ani osady, tylko daleko na pomoc, w odległości co najmniej kilku kilometrów. Głęboko w puszczy.

Daulo poczuł suchość w ustach. Kilka kilometrów na północ od Tabris, czyli wypadek miał miejsce w odległości pięciu, może dziesięciu kilometrów od miejsca, w którym Perto znalazł ją na drodze. Myśl, że mogłaby przejść z samego Tabris, pełne dwadzieścia kilometrów drogi przez puszczę, była wystarczająco niedorzeczna.

— Nie przeżyłaby takiej wyprawy — stwierdził zdecydowanie. — Nieważne, ilu ludzi towarzyszyło jej na początku drogi, nie przeżyłaby.

— Obawiam się, że moja ocena jest taka sama — przytaknął niechętnie Kruin. — Szczególnie przy zwiększonej aktywności zwierząt, wywołanej migracją bololinów sprzed kilku dni. Ale nawet jeśli pozwolimy Bogu na ten jeden cud i przyjmiemy, że wyszła stamtąd żywa, to i tak mamy przed sobą rzecz jeszcze bardziej niemożliwą. Mianowicie w jaki sposób udało się jej wjechać tak daleko do puszczy samochodem.

Daulo oblizał wargi. To, niestety, było oczywiste.

— A więc rozbił się nie samochód, lecz samolot.

— Na to zaczyna wyglądać — zgodził się ciężko Kruin. Znaczyło to, że ich okłamała. Jasno i zwyczajnie. Bez możliwości błędów w interpretacji. Mieszanina gniewu i wstydu podeszła Daulowi do gardła. Rodzina Sammonów uratowała jej życie, przygarnęła ją, a ona odpłaciła im za gościnność kłamstwem... i zrobiła z niego durnia. Głos Kruina przeciął tę wewnętrzną burzę.

— Istnieje wiele powodów, dla których mogłaby kłamać — powiedział miękko. — Nie wszystkie muszą dotyczyć ciebie czy naszej rodziny. A więc moje pytanie do ciebie, mój synu, brzmi: czy ona jest, według twego osądu, naszym wrogiem?

— Mój sąd nie wydaje się w tym momencie wiele warty — odparował Daulo, czując gorycz.

— Czy kwestionujesz moją decyzję zasięgnięcia twojej opinii? — zapytał zimno Kruin. — Odpowiedz na moje pytanie, Daulo Sammon.

Daulo przełknął głośno ślinę.

— Wybacz mi, mój ojcze, nie zamierzałem być bezczelny. Chodzi tylko o to, że...

— Nie tłumacz się, Daulo Sammon. Życzę sobie odpowiedzi na moje pytanie.

— Tak, mój ojcze.

Daulo zaczerpnął głęboko powietrza, desperacko starając się uporządkować to wszystko. Fakty, emocje, odczucia...

— Nie — powiedział w końcu. — Nie, nie sądzę, że przybyła tu z zamiarem skrzywdzenia nas. Nie wiem, czemu tak sądzę, ale tak jest.

— Jest tak, jak powiedziałem — rzekł już nieco łagodniej Kruin. — Rodzina Sammonów przetrwała, ponieważ mamy zdolność odgadywania zamiarów innych. Starałem się krzewić w tobie tę zdolność od dzieciństwa. Przyszłość pokaże, czy mi się udało. — Wstał godnie. — Dziś w czasie posiłku Jasmine Alventin obwieściła, że jej zdaniem wydobrzala już wystarczająco, by wrócić do domu. Wyjedzie jutro rano.

Dauło wpatrywał się w ojca.

— Wyjeżdża jutro? To po co ten cały rwetes o to, czy możemy jej ufać, czy nie? Kruin przyjrzał mu się.

— Ten rwetes — powiedział spokojnie — był o to, czy rozsądnie jest ją wypuścić.

Daulo zacisnął zęby.

— Tak, oczywiście. Przepraszam.

Kruin uśmiechnął się lekko.

— Powiedziałem, że zapewnimy jej transport do Azras. Jeśli chcesz, możesz jej towarzyszyć.

— Dziękuję, mój ojcze — powiedział spokojnie Daulo. — Będzie to też okazja do omówienia przyszłych zakupów z naszymi tamtejszymi klientami.

— Oczywiście. — Kruin skinął głową, a Daulowi zdawało się, że dostrzegł w wyrazie twarzy starszego Sammona aprobatę. — Zostawię cię więc, abyś mógł się wyspać. Dobranoc, mój synu.

— Dobranoc, mój ojcze.

I to tyle — pomyślał Daulo, kiedy znowu został sam. — Jutro wyjedzie, i to będzie koniec tej sprawy. Wróci do jakiejś tajemniczej osady, z której naprawdę pochodzi, i nigdy już jej nie zobaczę. Ta myśl trochę bolała, może trochę nawet złościła. Ale musiał przyznać, że jego główną reakcją była ulga.

W końcu jeśli nie udawało się rozwiązać węzła gordyjskiego, można się go było przynajmniej pozbyć, żeby nie drażnił oczu.

Rozdział 20

Godzina — myślał Daulo, kiedy ruszył z Jasmine krętą drogą przez puszczę w kierunku Azras. — Spędzimy razem jeszcze godzinę, a potem nigdy więcej jej nie zobaczę.

Ale się mylił. Jechali razem znacznie krócej niż godzinę.

— To szaleństwo — uniósł się gniewem, kiedy wartownicy zasunęli za nimi ciężką północną bramę osady Shaga.

Zwolnił i zatrzymał się przy krawężniku.

— Nie ma tu nic, czego mogłabyś chcieć.

— Skąd wiesz? — odparowała, gmerając przez chwilę przy drzwiach, zanim udało jej sieje otworzyć. — Dziękuję ci za podwiezienie, Daulo Sammon...

— Czy mogłabyś mnie przez chwilę posłuchać? — mruknął, wysiadając po swojej stronie i patrząc na Jin ze złością ponad dachem samochodu. — Jesteś obca w tej części Qasamy, Jasmine Alventin. Sama to przyznałaś. Zapewniam cię, że z Shagi jest tak samo daleko do twego domu jak z Miliki.

— Nieprawda, dziesięć kilometrów bliżej — odparła. Daulo zaniemówił na chwilę. Dawno już nikt do niego w ten sposób nie mówił. Jasmine wykorzystała tę chwilę na zabranie z tylnego siedzenia małej torebki, którą dała jej matka Daula.

— Dobrze, w porządku — wykrztusił w końcu Daulo, kiedy zamknęła drzwi i przełożyła pasek torebki przez ramię. — Więc jesteś o dziesięć kilometrów bliżej Azras. Co ci to daje? Na dodatek nikt stąd raczej cię do Azras za darmo nie podwiezie. Zatem dość tych wygłupów. Wracaj do samochodu.

Patrzyła na niego... i znowu nie był to ten rodzaj kobiecego spojrzenia, do jakiego przywykł.

— Posłuchaj, Daulo Sammon — powiedziała cicho. — Mam coś do załatwienia tutaj i muszę zrobić to sama. Proszę, nie pytaj mnie więcej. Uwierz mi tylko, że im mniej masz ze mną do czynienia, tym lepiej.

Daulo zacisnął zęby.

— Dobrze więc — warknął. — Jeśli tego chcesz. Żegnaj. Czując ogień na twarzy wsiadł z powrotem do samochodu i ruszył w kierunku centrum osady.

Ale ujechał tylko kawałek. W przeciwieństwie do Miliki, Shagę wybudowano byle jak, drogi w niej zakręcały, jak tylko chciały. Daulo nie zdążył przejechać więcej niż sto metrów, kiedy obraz kobiety w lusterku zniknął za rogiem. Kolejne sto metrów doprowadziło go do poprzecznej drogi, którą pojechał, i za niecałe dwie minuty znalazł się z powrotem w miejscu, gdzie ją zostawił.

Nie było żadnego powodu, dla którego miałaby nagle zdecydować się zatrzymać w Shadze, świadczyło to o tym, że chciała zrobić tak od początku. Albo planowała wrócić do Miliki jakimś nie znanym sposobem i z równie nie znanych powodów, albo miała się tu z kimś spotkać. Cokolwiek się zdarzy, zamierzał ją obserwować.

Ale jakikolwiek był jej cel, wyglądało na to, że nie wiąże się z centrum miasta. Kiedy jechał ostrożnie w kierunku północnej bramy, zauważył Jasmine idącą raźno w tę samą stronę, równolegle do muru. Podjechał odrobinę do przodu, uważając, by nie zbliżyć się zbytnio. W tej części Shagi stało niewiele budynków, co oznaczało, że mógł obserwować ją ze sporej odległości, ale też ona mogła go łatwiej wypatrzyć.

Najwyraźniej jednak nie miała pojęcia, że ktoś ją obserwuje. Nie obejrzała się nawet przez ramię... i kiedy tak szła, Daulo zorientował się, że zmierza w kierunku muru.

Czyżby chciała wdrapać się i wyjść poza obręb ogrodzenia? Absurd. Być może udałoby jej się w ten sposób wyjść z Shagi bez zwrócenia niczyjej uwagi, ale gdzie by się wtedy znalazła? Na drodze prowadzącej przez puszczę — pomyślał kwaśno — a dookoła niej pełno brzytwołap i krisjawów. I dobre dziesięć kilometrów do jakiegokolwiek bezpiecznego miejsca.

A jednak wyraźnie szła w stronę muru. Daulo przygryzł wargę, zastanawiając się, czy być może jego pierwsza ocena nie była mimo wszystko słuszna. Może ta kobieta rzeczywiście była tylko umysłowo ograniczonym postrzeleńcem.

Znalazłszy się już przy samym murze, przystanęła i rozejrzała się wokoło, prawdopodobnie szukając drabiny. Daulo napiął mięśnie, zastanawiając się, czy zauważy go siedzącego w zaparkowanym samochodzie.

W sekundę później stała już na szczycie muru.

Daulo sapnął. Boże nad nami! Bez wspinaczki, bez rozbiegu, bez łapania palcami za górną krawędź, po prostu ugięła kolana i wskoczyła.

Na szczyt muru wyższego od niej o ponad metr.

Siatkę przeciw brzytwołapom pokonała równie łatwo. Chwyciwszy jej szczyt jedną ręką, skoczyła, wyginając ciało w ostry łuk i opadła po drugiej stronie. W sekundę później już jej nie było.

Przez chwilę Daulo siedział jak sparaliżowany. Rzeczywiście, była szalona... szalona, ale jej gimnastyczne zdolności były zupełnie niesłychane.

I ucieka.

Daulo otrząsnął się z osłupienia i zawrócił samochodem z powrotem w kierunku bramy.

Zniknęła mu z oczu, zanim dotarł do drogi, ale przy otaczającej ich z obu stron puszczy istniały tylko dwa kierunki, które mogła wybrać. A skoro zrezygnowała z darmowej przejażdżki do Azras... Starając się obserwować obie strony drogi naraz, Daulo ruszył z powrotem w stronę Miliki.

Przez kilka bolesnych minut zastanawiał się, czy się nie pomylił. Miała nad nim nie więcej niż trzy minuty przewagi, nie mogła więc ujść daleko, nawet przy niewielkiej prędkości, z jaką celowo się poruszał. Zastanawiał się właśnie, czy nie powinien zawrócić, kiedy dostrzegł ją tuż za zakrętem.

Znalezienie metodą prób i błędów prędkości, która pozwoliłaby mu widzieć dziewczynę co jakiś czas bez zbytniego przybliżania się do niej, zajęło mu kolejnych kilka minut. Okazało się, że biegała tak samo fenomenalnie, jak skakała.

Trzymaj się jej — powiedział ponuro do siebie, zaciskając zęby w napięciu. Był nieprzyzwyczajony do tego rodzaju jazdy zręcznościowej. Długo tego tempa nie zniesie. — Po prostu trzymaj się jej.

Zniosła to tempo, i to o wiele dłużej, niż wydawało się to możliwe. Zaczęła zwalniać dopiero, kiedy przebyli połowę drogi do Miliki, i miał wiele szczęścia, że zauważył, jak skręciła w stronę linii drzew przebiegającej równolegle do drogi, o kilkadziesiąt metrów na zachód.

Zjechał szybko na bok i krzywiąc się na dźwięk trzeszczącego pod kołami poszycia, zatrzymał na poboczu. Ale prawdowdopodobnie ona też robiła wiele hałasu, brodząc po kolana w poszyciu puszczy. W każdym razie nie przystanęła, tylko zrzuciła torbę z ramienia za duży krzak thaurnni i szła dalej.

Prosto w puszczę.

Nie — pomyślał natychmiast — wcale nie idzie do puszczy. Chce przejść tylko kawałek, żeby mnie zgubić. Albo...

Ale w tym samym czasie, kiedy jego umysł starał się wynaleźć bezpieczniejsze rozwiązania, Daulo wyciągnął spod siedzenia szybkostrzelny pistolet i wy-

siadł cicho z samochodu. Znajdowała się tam tylko jedna rzecz, dla której warto było zaryzykować niebezpieczeństwo ze strony brzytwołap i krisjawów.

Jej rozbity samolot. Samolot, którego istnienie tak starannie ukrywała... i który dlatego właśnie wart był obejrzenia.

Poza tym — zdobył się na taką szczerość, by to przyznać — jego duma nie pozwoliłaby mu stracić jej teraz z oczu. Biorąc głęboki oddech, chwycił lewą ręką kolbę pistoletu i wszedł pod baldachim drzew.

Daulo bywał już oczywiście przedtem w dzikiej qasamańskiej puszczy, ale nigdy w takich warunkach. Stopniowo uświadomił sobie, jak wielką stanowiło to różnicę. Przedtem zawsze należał do oddziału łowców z osady i chroniły go przed niebezpieczeństwem ich broń i doświadczenie. Teraz był sam. Gorzej nawet, starał się śledzić inną osobę i samemu nie dać się zauważyć. Zadanie to wymagało więcej uwagi, niż miał ochotę mu poświęcić.

I nikt nie wiedział, że tu był. Przez kilka godzin nikt nie stwierdzi jego nieobecności.

Czy znajdą jego ciało, jeśli zginie?

Przez prawie kwadrans walczył z narastającym strachem... a potem coś w nim pękło. Odgłosy biegających i bzyczących wokół niego zwierząt i owadów mieszały się z szybkim biciem jego serca. Nagle fakt, że miał osobiście dowiedzieć się, co knuła Jasmine Alventin, przestał mieć jakiekolwiek znaczenie. To szaleństwo — powiedział do siebie, ocierając pot z czoła wierzchem drżącej dłoni. Chce wydostać coś ze swojego samolotu? — w porządku. Może sobie wziąć. Cokolwiek by to było, nie warto dla tego czegoś ryzykować życia, szczególnie że zanim Jasmine wróci po swoją torbę, może już na nią czekać oddział uzbrojonych ludzi. Sprawdziwszy jeszcze raz, czy nie patrzy w jego stronę, zawrócił.

Warczenie doszło go z lewej strony i serce stanęło mu w gardle, kiedy prawie potykając się o swe własne stopy odwrócił się, by spojrzeć w tamtym kierunku. Brzytwołapa stała, gotowa do skoku.

Co innego stawić czoło brzytwołapie zaplątanej w siatkę na murze w osadzie, a co innego spotkanie jednej z nich na jej własnym terenie. Daulo nie zorientował się nawet, że pociągnął za spust, dopóki pistolet w jego ręku nie szarpnął gwałtownie, a ciszy nie przerwał odgłos strzałów. Poprzez huk pistoletu usłyszał niewyraźnie, jak mruczenie brzytwołapy przeszło w ryk, i zobaczył przednie łapy uzbrojone w pazury lecące ku niemu jak pociski.

Nagle błyskiem jakby od boskiego pioruna brzytwołapa zapłonęła światłem i ogniem.

Wpadła na niego, wypełniając jego nozdrza mdlącym swądem przypalonego mięsa i futra. Zatoczył się do tyłu, dusząc się, próbował zepchnąć z piersi i ramion martwy ciężar.

— Daulo, na ziemię!

Ostrzeżenie nie pomogło. Sparaliżowane strachem mięśnie Daula nie miały szansy zareagować, na jego twarzy eksplodował srebrnoniebieski błysk.

Do swądu dołączył ból.

Ból, jakiego nigdy przedtem nie odczuwał — tuzin gwoździ wbijających się, wiercących i rwących jego ciało. W jakiś dziwny sposób zdawał sobie sprawę z tego, że krzyczy. Świadomy był także tego, że próby oderwania od siebie dręczyciela tylko pogarszały ból. Jedno oko miał zamknięte, coś w nie uderzało, drugim zobaczył Jasmine biegnącą ku niemu z miną anioła zemsty. Wyciągnęła ręce. Nie! — próbował wrzasnąć — nie próbuj go oderwać!

Wtedy wydało mu się, że jej ręce zabłysły światłem... a pazury wbijające się w jego twarz nagle zamarły.

— Daulo! — powiedziała Jasmine głosem pełnym napięcia, delikatnie, lecz stanowczo odciągając od niego jego oprawcę. — O mój Boże... wszystko w porządku?

— Ja... tak, chyba tak — wydobył z siebie, starając się odzyskać swą godność przed tą kobietą. — Co się stało?

— Próbowałeś zastrzelić brzytwołapę — powiedziała ponuro, mocno trzymając jego ręce z daleka od pulsującej bólem twarzy, kiedy wzrokiem i palcami badała rany. — Nie całkiem ci się to udało.

— Ona...? — Odwracając się od niej spojrzał na zwierzę leżące bezwładnie obok niego.

Łeb był spalony.

— Boże, bądź pochwalony — westchnął. — Ta błyskawica była... — Przerwał, czując na plecach dziwne mrowienie. Drugi napastnik... spojrzał tam, gdzie rzuciła go Jasmine. Mojok brzytwołapy oczywiście. Też spalony.

Z wolna popatrzył na Jasmine Alventin. Jasmine Alventin, niewychowana kobieta, która pojawiła się znikąd... która przebrnęła w pojedynkę przez dziką puszczę... której palce pluły zabójczym ogniem.

W końcu wszystko ułożyło się w całość.

— Boże nad nami — jęknął.

I zemdlał, czego się potem okropnie wstydził.

Rozdział 21

Daulo był nieprzytomny nie dłużej niż dziesięć minut, Jin jednak z powodzeniem zdążyła opatrzyć mu przez ten czas rany najlepiej, jak umiała, odsunąć zwłoki kolczastego lamparta i mojoka, zanim zwabiły padlinożerców, i nazwać samą siebie wszystkimi synonimami słowa "idiotka", jakie tylko znała.

Najgorsza była świadomość tego, że jej przeciwnicy mieli rację. Całkowitą. Nie nadawała się po prostu na Kobrę. Brakowało jej odporności emocjonalnej, a nawet umiejętności skupienia się na misji. A już na pewno podstawowej inteligencji.

Popatrzyła przez chwilę z góry na Daula, zaciskając zęby aż do bólu. A więc tak, misja spaliła na panewce. W godzinę po jego przyjeździe do domu połowa ludzi na planecie będzie jej szukać. Nie pozostało nic poza ucieczką w głąb puszczy i oczekiwaniem w próżnej nadziei, że zdoła w jakiś sposób spotkać się z następną załogą, którą wyślą Światy Kobr. Kiedyś, w odległej przyszłości.

Nie miało to zresztą znaczenia. W tym momencie dla wszystkich zainteresowanych i tak byłoby lepiej, gdyby zginęła na miejscu.

Daulo jęknął, a jego złożone na piersiach ręce drgnęły. Za minutę będzie w pełni przytomny i przez chwilę Jin rozważała, czy nie byłoby bezpieczniej pozostawić go tutaj samego. Do drogi szedłby nie dłużej niż piętnaście minut, obrażenia nie spowodują poważniejszego opóźnienia. A poza tym miał pistolet.

Jin pozostała jednak tam, gdzie była i rozejrzała się pobieżnie. Nie miało przecież sensu zestrzeliwanie z człowieka kolczastych lampartów i mojoków po to, by zostawić go samego i dać puszczy jeszcze jedną szansę.

Kiedy ponownie spojrzała na niego, miał otwarte oczy. Wpatrywał się w nią.

Przez chwilę oboje milczeli. Potem Daulo z trudem zaczerpnął powietrza.

— Jesteś diabelskim wojownikiem — wymamrotał.

To nie brzmiało jak pytanie.

Nie oczekiwał też odpowiedzi. Jin kiwnęła tylko głową i czekała. Ręka Daula powędrowała do policzka, dotknęła ostrożnie chustki, którą Jin przywiązała tam kawałkiem tkaniny.

-— Jak... poważnie jestem ranny?

Wyraźnie starał się zachowywać i mówić naturalnie.

— Nie jest źle — zapewniła go. — Miejscami głębokie rozcięcia, ale nie sądzę, żebyś miał jakieś poważne uszkodzenia mięśni czy nerwów. Prawdopodobnie jednak boli jak diabli.

Po twarzy przeleciał mu cień uśmiechu.

— To na pewno — przyznał. — Nie przypuszczam, żebyś miała ze sobą jakieś środki przeciwbólowe.

Potrząsnęła głową.

— Mam, ale niedaleko stąd. Jeśli czujesz się na siłach, moglibyśmy po nie pójść.

— Gdzie one są? W twoim rozbitym statku kosmicznym?

Jin syknęła przez zęby. A więc jednak znaleźli wahadłowiec.

— Jesteś dobrym aktorem — powiedziała z goryczą. — Mogłabym przysiąc, że nikt z was nie wiedział o katastrofie. Nie, środki przeciwbólowe mam schowane w jednym z plecaków, niedaleko drogi. O ile oczywiście twoi ludzie do tej pory ich nie znaleźli.

Wzięła go pod ramię, by pomóc mu wstać, ale ją przytrzymał.

— Dlaczego? — zapytał.

— Dlaczego co? — warknęła. — Dlaczego tu jestem?

— Dlaczego uratowałaś mi życie?

— To głupie pytanie. Chodź, muszę odzyskać te plecaki, zanim reszta twojej armii zacznie mnie szukać. Powinieneś przynajmniej pozwolić mi ruszyć z wyprzedzeniem.

Znowu zaczęła go podnosić i znowu ją powstrzymał.

— Nie potrzebujesz wyprzedzenia — powiedział nieco drżącym głosem. — Nikt o tobie nie wie. Pojechałem za tobą sam.

Patrzyła na niego. Prawda? Czy może jakiś test?

Albo wybieg mający zatrzymać ją na miejscu, dopóki nie zamkną okrążenia?

Tak naprawdę to nieważne — uświadomiła sobie ze znużeniem. Skoro Daulo żył, zegar i tak rozpoczął odliczanie.

— Mimo wszystko... — powiedziała w końcu — chodźmy po te środki przeciwbólowe. Chodźmy.

Spodziewała się, że będzie musiała podtrzymywać go przez całą drogę, więc była nieco zaskoczona, że przeszedł cały odcinek o własnych siłach. Albo fizyczny wstrząs dla organizmu nie był tak poważny, jak się tego obawiała, albo głupia męska buta, której tak wiele widziała na Qasamie, miała jednak swoją pożyteczną stronę. Doszli do drogi w niewiele ponad kwadrans... i rzeczywiście nie czekała na nich żadna armia.

— A wiec — powiedział Daulo, siląc się na naturalność, kiedy Jin oczyściła mu skaleczenia środkiem dezynfekująco-przeciwbólowym i zamiast chustki nałożyła odpowiedni bandaż szybko gojący. — Myślę, że następną kwestią jest, co robimy dalej?

— Nie widzę tu wielkiej kwestii — warknęła Jin. — Przypuszczam, że wrócisz do Miliki, by podnieść alarm, a ja zacznę uciekać.

Wpatrywał się w nią w milczeniu... i dość niespodziewanie za napiętą maską dostrzegała prawdziwą walkę uczuć.

— Widzę, że nie wiesz zbyt wiele o Qasamie, diabelski wojowniku — powiedział po chwili.

Minął moment, zanim zorientowała się, że oczekuje odpowiedzi.

— Rzeczywiście — odpowiedziała. — Niewiele ponad to, czego zdążyłam się nauczyć przez te kilka dni. Przybyliśmy tu między innymi po to, by dowiedzieć się czegoś więcej.

Oblizał wargi.

— Wysoko cenimy tu honor, diabelski wojowniku. Honor i spłatę długów.

A ona właśnie uratowała mu życie... Powoli uświadomiła sobie, że może nie wszystko stracone.

— Dostrzegam twój dylemat — kiwnęła głową. — Czy pomoże ci, jeśli powiem, że nie przyleciałam, by prowadzić z Qasamą wojnę?

— Pomogłoby, gdybym mógł ci uwierzyć. — Zaczerpnął głęboko powietrza. — Czy twój statek jest naprawdę zniszczony?

Jin wstrząsnęła się na to wspomnienie.

— Całkowicie.

— Więc po co tam wracałaś?

Nie było już sposobu, żeby uniknąć odpowiedzi. Będzie musiała przyznać się wobec niego, że jest sentymentalną idiotką.

— Musiałam opuścić wrak w pośpiechu — powiedziała, a słowa przychodziły jej z największym trudem. — Myślałam, że zostanie od razu znaleziony, i że rozpocznie się polowanie... — przerwała, gniewnym mruganiem powiek rozpraszając pojawiającą się w oku łzę. — W każdym razie odeszłam... ale zdawało mi się, że gdybyście go znaleźli, władze z pewnością sprawdziłyby, czy w okolicznych osadach nie pojawili się obcy, prawda?

Daulo w milczeniu kiwnął głową.

— Nie rozumiesz? — wybuchnęła nagle. — Nie znaleźliście go... a ja uciekłam i zostawiłam tam moich przyjaciół. Nie mogę tak po prostu... Muszę...

— Rozumiem — powiedział cicho Daulo, podnosząc się. — Chodź. Razem pójdziemy ich pogrzebać.

Schowanie samochodu za drzewami zajęło im zaledwie kilka minut. Potem poszli razem z powrotem do puszczy.

— Jak daleko będziemy musieli iść, diabelski wojowniku? — zapytał Daulo, przyglądając się liściastemu baldachimowi ponad nimi, starając się pozbyć wrażenia, że zrobił właśnie poważny błąd.

— Myślę, że około pięciu, sześciu kilometrów — odpowiedziała. — Powinniśmy przebrnąć o wiele szybciej niż ja za pierwszym razem. Dzięki wiedzy medycznej waszych ludzi.

— Ten rodzaj wiedzy bierze się z życia na niebezpiecznej planecie — warknął przez zęby. — Oczywiście ostatnio jest znacznie bardziej niebezpieczna, powiedzmy od minionych dwudziestu, trzydziestu lat.

Nie odpowiedziała.

— Słyszałaś, diabelski wojowniku? — zapytał natarczywie. — Powiedziałem...

— Przestań mnie tak nazywać — burknęła. — Znasz moje imię, używaj go.

— Czyżby? — odparował. — Znam twoje imię?

Westchnęła.

— Nie. Tak naprawdę nie znasz. Nazywam się Jasmine Moreau, pochodzę z planety Aventina. Możesz mi mówić Jin.

— Dżin? — powiedział zaskoczony.

Wszystkie opowieści o dżinach, którymi straszono go, kiedy był dzieckiem, powróciły naraz nagłą falą...

— Przypuszczam, że nadano ci je, kiedy zostałaś diabelskim wojownikiem?

Zerknęła na niego marszcząc brwi.

— Nie, dlaczego? A, rozumiem. Hm. Wiesz, nigdy przedtem tego nie zauważyłam. Nie, nie ma to nic wspólnego z dżinami z ludowych opowieści, po prostu wymawia się tak samo. To imię nadał mi ojciec, kiedy byłam bardzo młoda.

— Aha. W takim razie, Jin Moreau, nadał chciałbym usłyszeć odpowiedź na moje pytanie...

— Stój!

Przez jedną okropną chwilę pomyślał, że posunął się o krok za daleko i że postanowiła go jednak zabić. Padła na bok, zginając lewą nogę pod spódnicą.

Ujrzał olśniewający błysk pioruna, a na martwe liście runął dymiący krisjaw.

— Wszystko w porządku? — zapytała, wstając i rozglądając się dookoła.

Daulo odzyskał mowę.

— Tak. To... niezła broń — wydusił z siebie, mrużąc oczy od fioletowej poświaty.

— Czasem się przydaje. Ruszajmy, a jeśli krzyknę, padaj jak najszybciej na ziemię, rozumiesz? Jeśli teraz będzie tu tak wiele zwierząt jak w czasie mojej pierwszej przeprawy, to zanosi się na wycieczkę z przygodami.

— Nie powinno być — potrząsnął głową. — Dotarłaś do nas zaraz po przejściu sporego stada bololinów, a to zawsze pobudza aktywność zwierząt.

Z zadowoleniem spostrzegł, że ta wiedza była dla niej całkowicie nowa.

— Mamy szczęście. W takim razie dojście do wahadłowca powinno nam zająć tylko kilka godzin.

— Dobrze — kiwnął głową. — A po drodze mogłabyś mi wytłumaczyć, dlaczegóż to wasz świat wypowiedział wojnę naszemu.

Przyglądając się Jin kątem oka, dostrzegł grymas na jej twarzy.

— Nie wypowiedzieliśmy wam wojny — powiedziała cicho. — Inni powiedzieli nam, że Qasama stanowi potencjalne zagrożenie. Przylecieliśmy, by to sprawdzić.

— Jakie zagrożenie? — zaszydził. — Planeta pozbawiona nawet prymitywnych możliwości lotów kosmicznych? W jaki sposób moglibyśmy stanowić za-

grożenie dla świata oddalonego o cała lata świetlne, w szczególności dla takiego, którego strzegą diabelscy wojownicy?

Milczała przez chwilę.

— Nie będziesz tego pamiętał, Daulo, ale przez większą część dziejów Qasamy żyliście tu wszyscy w stanie ekstremalnego braku współzawodnictwa.

— Wiem o tym — warknął. — Nie jesteśmy przecież ignoranckimi dzikusami, którzy nie prowadzą zapisów.

Zaczerwieniła się.

— Wiem. Przepraszam. W każdym razie wydało nam się dziwne, że ludzkie społeczeństwo może w taki sposób współpracować. Próbowaliśmy znaleźć przyczynę...

— I w trakcie szukania pozazdrościliście nam? — odgryzł się Daulo. — Czy tak właśnie było? Zazdrościliście nam społeczeństwa, które stworzyliśmy, więc przysłaliście nam te brzytwołape maszyny do zabijania, aby zabijały i niszczyły...

— Czy wiesz, że mojoki mogą kontrolować zachowanie ich właścicieli?

Przerwał w pół zdania.

— Co?

Westchnęła.

— Wpływają na sposób ich myślenia. Powodują, by podejmowali decyzje, które są korzystne w pierwszej kolejności dla mojoków, a dopiero potem dla właścicieli.

Daulo otworzył usta, po czym zaniknął je z powrotem.

— To absurd. To tylko ptaki obronne, to wszystko.

— Czyżby? Czy twój ojciec ma mojoka? Nigdy go z żadnym nie widziałam.

— Nie...

— A co z głową rodziny Yithtrów czy którymkolwiek z ważniejszych przywódców Miliki czy Azras?

— W miastach takich jak Azras prawie wcale nie ma mojoków — odpowiedział mechanicznie, myśli wirowały mu w głowie. Nie, to musiało być kłamstwo. Kłamstwo wymyślone przez władców Aventiny na usprawiedliwienie tego, co zrobili Qasamie.

A jednak... musiał przyznać, że wyczuwał zawsze jakąś obcość u tych nielicznych posiadaczy mojoków, których dobrze znał. Być może pewnego rodzaju... łagodność.

— To przecież nie ma sensu — powiedział w końcu.

— Oczywiście, że ma — przyznała. — W dziczy mojoki dobierają się w pary z krisjawami po to, by polować. Mojokom daje to też dostęp do żywicieli dla embrionów.

— Tak, znam tutejszy cykl reprodukcyjny — mruknął pośpiesznie Daulo, dziwnie zakłopotany omawianiem takich spraw z kobietą. — Dlatego miasta zaprojektowano tak, by przepuszczać stada bololinów. Żeby mojoki mogły docierać do tarbinów jadąc na bololinach.

— Słusznie — przytaknęła. — Mogliście przecież otoczyć miasta murami, tak jak ogrodziliście osady, aby całkowicie pozbyć się bololinów. Zaoszczędziłoby to wielu kłopotów... z tym że bliskość bololinów leżała w interesie mojoków, dlatego tak je zaprojektowaliście. A że strzegąc was, nie chciały narażać własnych piór bardziej niż to konieczne, postarały się o to, byście współpracowali ze sobą w każdej dziedzinie życia.

— I dlatego nie mieliśmy wojen, nie istniała też rywalizacja pomiędzy miastami i osadami — mruknął Daulo. Teraz rozumiał... bezwzględność planu przeprowadzonego przez władców Aventiny przyprawiła go o mdłości. — Więc postanowiliście się wtrącić... a skoro w Wielkim Łuku nie było już prawie krisjawów, musieliście dać mojokom jakieś inne wyjście. Więc daliście im brzytwołapy.

— Daulo...

— Czy dość napatrzyłaś się na to, czym stała się od tego czasu Qasama? — przerwał jej ostro. — Dobrze, w porządku, być może naginaliśmy trochę nasze życie po to, by dać miejsce innym stworzeniom. Czy była to zbyt wysoka cena za pokój?

— A była? — odparła cicho.

Oczywista odpowiedź cisnęła mu się na usta... ale zniknęła, nie wypowiedziana. Jeśli to, co mówiła Jin, było prawdą, czy rzeczywiście było to warte tej ceny?

— Nie wiem — powiedział w końcu.

— Ja też nie — szepnęła.

Rozdział 22

Dotarli do celu w niecałe dwie godziny... Dla Jin cała wyprawa stanowiła ostry kontrast w porównaniu z ciężką próbą, którą przeszła przed tygodniem.

Nie można było oczywiście określić, jak wielką różnicę spowodowało osłabienie skutków przemarszu bololinów, który opisywał Daulo, a ile zawdzięczała powrotowi do zdrowia. Z pewnością jednak nie musieli aż tyle walczyć. Oprócz krisjawa szczęścia spróbował tylko jeden drapieżnik, natomiast podczas poprzedniej wyprawy odparła pół tuzina pojedynczych i grupowych ataków.

Z drugiej strony jej czujność i koncentracja znajdowały się znów w szczytowej formie, więc być może po prostu dostrzegała potencjalne zagrożenia na tyle wcześnie, by skutecznie robić uniki.

Ostatecznie jednak prawdziwy powód nie był ważny. Przeprowadziła siebie i nie wyćwiczonego cywila przez jeden z najniebezpieczniejszych obszarów, jakie miała do zaoferowania Qasama... dawało to jej nadwerężonemu ego mile widziany zastrzyk pewności siebie.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziała, wskazując na poobijany kadłub wahadłowca, kiedy doszli w końcu do krańca poletka przeplatających się paproci i wyszli spod drzew na miejsce katastrofy.

Daulo mruknął coś pod nosem, przypatrując się najpierw wahadłowcowi, a potem długiej bliźnie wyrytej przezeń w krajobrazie.

— Nie byłem do końca pewien... — zamilkł, po czym potrząsnął głową. — I ty to przeżyłaś?

— Miałam szczęście — powiedziała cicho.

— Bóg był z tobą — poprawił ją.

Wziął głęboki oddech.

— Wybacz, że wątpiłem w twoją opowieść. Twoi współtowarzysze...?

Jin zacisnęła zęby.

— Są w środku. Tędy.

Klapa luku była uchylona na kilka centymetrów, tak jak ją pozostawiła, musiała więc oprzeć się nogą o kadłub, by wykorzystując dźwignię otworzyć właz. Przynajmniej — pomyślała ponuro — oznacza to, że nie dostał się do nich żaden z większych padlinożerców. Chyba lepsze to niż nic. Po raz ostatni odetchnęła czystym powietrzem, zebrała się w sobie i weszła do środka.

Zapach nie był aż tak okropny, jak się tego obawiała, ciała natomiast wyglądały gorzej.

— Klapa nie powstrzymałaby owadów — odezwał się Daulo, stojący tuż za nią.

W jego głosie brzmiało niewiele mniejsze napięcie, niż sama odczuwała, i było jasne, że oddychał ustami.

— Czy na pokładzie są jakieś łopaty?

— Powinna być przynajmniej jedna. Spróbujmy tutaj z tyłu.

Znaleźli ją prawie natychmiast, razem ze sprzętem do budowy awaryjnego schronienia. Była solidna, choć mała, przeznaczona wyraźnie do lżejszych prac. Ale Jin i tak nie miała zamiaru kopać bardzo głęboko, więc dodatkowa siłą, którą dawało jej wspomaganie, w zupełności rekompensowała niewygodę krótkiego trzonka. W pół godziny później pięć grobów na krańcu miejsca katastrofy było gotowych.

Daulo czekał na nią obok wahadłowca i okazało się, że w czasie kiedy kopała, zmontował z kawałków rur i poduszek z siedzeń improwizowane nosze. Odciął też pięć zużytych poduszek powietrznych i zrobił z nich pokrowce na ciała.

Przynajmniej się na coś przydadzą — pomyślała, razem z Daulem układając w nich zwłoki. — Z pewnością poduszki nie pomogły nam, kiedy jeszcze wszyscy byliśmy żywi.

Kilka minut później stanęła obok Daula przed grobami.

— Ja... nie znam właściwego obrządku pogrzebowego — przyznała, częściowo wobec Daula, częściowo wobec ciał leżących przed nią w grobach. — Ale jeśli jego celem jest pamięć i żałoba... tyle potrafię zrobić.

Nie pamiętała potem, co mówiła i jak długo, wiedziała tylko, że kiedy skończyła, jej policzki były mokre. W milczeniu żegnała każdego po kolei, a kiedy uniosła łopatę, Daulo dotknął jej ramienia.

— Byli twoimi przyjaciółmi, nie moimi — powiedział cicho. — Ale jeśli pozwolisz...?

Kiwnęła głową, a on postąpił o krok do przodu.

— W imię Boga współczującego, litościwego...

Mówił tylko przez chwilę, mimo to Jin poczuła się głęboko wzruszona. Chociaż dobór słów wskazywał na to, iż była to zwyczajowa formuła, w sposobie mówienia Daula brzmiało jednocześnie coś bardzo osobistego. Jakiekolwiek było jego ogólne nastawienie do Jin czy Światów Kobr, wyraźnie nie czuł wrogości wobec jej martwych kolegów.

— ...do Boga należymy, i do Niego powracamy. Niech wasze dusze zaznają pokoju.

Litania dobiegła końca i przez chwilę stali razem w milczeniu.

— Dziękuję — powiedziała miękko Jin.

— Zmarli nie są niczyimi wrogami — odpowiedział. — Tylko Bóg może teraz pochwalić lub potępić ich czyny.

Wziął głęboki oddech i zerknął na Jin z wahaniem.

— Jednego z nich nazywałaś Mander?

— Tak, Mander Sun — przytaknęła. — Był jednym z moich kolegów... diabelskich wojowników.

— Czy naprawdę był twoim bratem, tak jak opowiedziałaś to mojej rodzinie?

Jin oblizała wargi.

— We wszystkim poza krwią był naprawdę moim bratem. Być może jedynym, jakiego kiedykolwiek będę miała.

— Rozumiem.

Daulo spojrzał ponownie na groby, a potem zerknął na słońce.

— Powinniśmy już iść. W końcu zaczną mnie szukać, a jeśli znajdą mój samochód, to prawdopodobnie znajdą też twoje plecaki.

Jin kiwnęła głową i ponownie podniosła łopatę. Zasypanie grobów zajęło tylko kilka minut, a kiedy skończyła, odniosła łopatę z powrotem do wahadłowca.

— Nie ma sensu, żeby leżała tu i rdzewiała — powiedziała.

— Rzeczywiście nie ma.

Coś w jego głosie zmusiło ją do obrócenia się i spojrzenia na niego.

— Coś się stało?

Przyglądał się ze zmarszczonymi brwiami śladom wybuchu na boku wahadłowca.

— Jesteś pewna, że nie mogła tego spowodować zwykła awaria?

— Raczej tak — kiwnęła głową. — Czemu pytasz?

— Kiedy wcześniej zdziwiłaś się, że wahadłowiec nie został odnaleziony, zakładałem, że upadek ukrył go w jakiś sposób. Ale tego... — wskazał ręką na potrzaskane drzewa — w żaden sposób nie przeoczyłby jakikolwiek samolot wysłany na poszukiwania.

— Zgadzam się. To twój świat. Nie wiesz, czemu nikt się jeszcze nie pokazał?

Zaprzeczył powolnym ruchem głowy.

— Ten teren leży z daleka od normalnych tras przelotu, to tłumaczyłoby, czemu nie został odnaleziony przez przypadek. Ale nie rozumiem, dlaczego nasze siły obronne miałyby nie wykryć trafionego obiektu.

Jin wzięła głęboki oddech. Sama długo zastanawiała się nad tym pytaniem... i doszła do jednego tylko sensownego wniosku.

— Chyba że to nie były wasze siły obronne.

Daulo zmarszczył brwi.

— A któż inny mógłby to zrobić?

— Nie wiem. Ale działy się tu dziwne rzeczy, Daulo. Dlatego przylecieliśmy szukać odpowiedzi.

— I zmienić to, co mogłoby się wam nie podobać? — dodał złośliwie Daulo.

Poczuła gorąco na twarzy.

— Nie wiem. Mam nadzieję, że nie.

Patrzył na nią jeszcze przez kilka sekund.

— Myślę — powiedział w końcu — że reszta tej rozmowy powinna się odbyć przy udziale mojego ojca.

Jin poczuła suchość w ustach.

— Zaraz, Daulo...

— Masz teraz przed sobą trzy drogi do wyboru, Jasmine Moreau.

Twarz Daula stała się ponownie kamienną maską, a głos zabrzmiał twardo.

— Możesz pójść ze mną i zaakceptować decyzję mojej rodziny w sprawie tego, co należy z tobą zrobić. Możesz też odmówić ujawnienia swojej prawdziwej

tożsamości przed moim ojcem i odejść w tej chwili, przy czym do zmroku alarm obejmie całą Qasamę.

— Zakładając, że samemu uda ci się przejść przez puszczę — zauważyła Jin.

— Tak, zakładając to.

Na policzku Daula drgnął mięsień, ale poza tym wyraz jego twarzy się nie zmienił.

— To jest oczywiście trzecia możliwość. Pozwolić, bym zginął w puszczy. Lub nawet mnie zabić.

Jin westchnęła z rezygnacją.

— Jeśli twój ojciec zdecyduje się oddać mnie w ręce władz, nie poddam się biernie — powiedziała. — A jeśli będę zmuszona walczyć, wielu ludzi może zostać rannych lub zabitych. Czy przy takim założeniu nadal chcesz, żebym wróciła do twej rodziny?

— Tak — odpowiedział bez wahania.

W tej sytuacji Jin zdała sobie sprawę, że wybór był faktycznie prosty. Trzeba zdecydować tak albo inaczej.

— W porządku — westchnęła. — Ruszajmy.

Rozdział 23

— Mój syn od początku czuł, że jesteś inna — powiedział Kruin Sammon, wpatrując się w Jin bez zmrużenia oka.

Obracał w palcach pałeczkę awaryjnego suchego prowiantu, wyjętą z jej plecaka, który leżał otwarty przed nimi na niskim stoliku.

— Widzę, że mylił się jedynie co do stopnia różnicy.

Zmusiła się do spojrzenia starszemu Sammonowi w oczy. Nie było sensu udawać małej, grzecznej, podporządkowującej się we wszystkim qasamańskiej kobietki. Jej jedyną szansę stanowiło przekonanie ich, że jest im równa i że można z nią dojść do porozumienia.

Skłonienie ich do zawarcia jakiejkolwiek umowy było, oczywiście, zupełnie odrębną sprawą.

— Przepraszam, że musiałam was okłamywać. Zdajesz sobie sprawę, że byłam wtedy bezradna i obawiałam się o swoje życie.

— Bezradny diabelski wojownik? — parsknął Kruin. — Zapisy waszych poprzednich napaści na Qasamę nie wspominają o takich słabościach.

— Tłumaczyłam już nasz pogląd na te sprawy...

— Tak, wasz pogląd — przerwał jej ostro Kruin. — Usłyszeliście od tych... tych...

— Troftów — podpowiedział cicho Daulo ze swego miejsca obok ojca.

— Dziękuję. Usłyszeliście od tych potworów, Troftów, którzy, przypominam, odwiedzili nas także głosząc pokój, usłyszeliście od nich, że jesteśmy niebezpieczni i nawet nie zastanawiając się nad tym, że mogli się mylić, przygotowujecie się do wojny z nami. I nie mów, że była to wina innych. Nawet jeśli mój syn nie rozpoznał twego nazwiska, ja je rozpoznaję.

— Jej nazwiska? — Daulo zmarszczył brwi.

Jin oblizała wargi.

— Mój ojciec nazywa się Justin Moreau — powiedziała spokojnie. — Jego brat nosi imię Joshua.

Daulo zbladł nieco.

— Diabelski wojownik i jego cień — szepnął.

A wiec straszne opowieści o jej ojcu i stryju nie zostały zapomniane z biegiem czasu. Jin powstrzymała grymas.

— Kruinie Sammon, musisz zrozumieć, że w naszej ocenie mojoki stanowiły takie samo zagrożenie dla was jak i dla nas. Podejmując decyzję, mieliśmy na uwadze także i wasze dobro.

— Wasza życzliwość wyraźnie pozostała nie wynagrodzona — zadrwił gorzko Kruin. — Być może Shahni docenią waszą działalność.

— Innym wyjściem były działania wojenne na pełną skalę — przypomniała cicho Jin. — I nie drwij, byli tacy, którzy uważali, że będzie to konieczne. Wielu z nas było przerażonych tym, co planeta ludzi pod kontrolą mojoków mogłaby zrobić nam, gdybyście wydostali się z tego świata. Czy wasze zapisy poświadczają, że groziliście, że wydostaniecie się kiedyś i zniszczycie nas?

— I tym tłumaczysz tak destrukcyjne uderzenie prewencyjne? — zapytał ostro Kruin. — Groźbą rzuconą z powodu samoobrony?

— Niczego nie tłumaczę — powiedziała Jin. — Staram się pokazać, że nie zrobiliśmy tego z nienawiści czy wrogości.

— Chyba wolelibyśmy jakieś gorętsze uczucie od tej zimnej kalkulacji — odparował Kruin. — Wysłaliście do walki drapieżne zwierzęta, zamiast załatwić sprawę samemu.

— Ale czyż nie rozumiesz? — argumentowała Jin. — Całe działanie oparte na brzytwołapach było jedynym, które mogło odsunąć od was mojoki bez naprawdę poważnych szkód dla waszego bezpieczeństwa i ogólnego dobra.

— Poważnych szkód? — wtrącił Daulo. — A jak myślisz, po co jest ta dodatkowa siatka na murze?

Kruin powstrzymał go gestem.

— Wyjaśnij.

Jin wzięła głęboki oddech.

— Kiedy większości brzytowołap będą towarzyszyły mojoki, napaści na ludzi powinny ustać.

— Dlaczego? — parsknął Kruin. — Dlatego, że mojoki będą nas ciepło wspominać?

— Nie. — Jin potrząsnęła głową. — Dlatego, że umiecie zabijać brzytwołapy.

Czoło Kruina przecięła zmarszczka.

— To nie ma sensu. Nie jesteśmy w stanie zabić ich tyle, żeby to robiło jakąś różnicę.

— Nie musimy — powiedział Daulo, jego głos stał się nagle zamyślony. — Jeśli Jasmine Moreau ma rację co do mojoków, sama umiejętność ich zabijania wystarczy.

Kruin uniósł brew, zerkając na syna.

— Wyjaśnij, Daulo Sammon.

Wzrok Daula spoczywał na Jin.

— Mojoki są na tyle inteligentne, by zrozumieć siłę naszej broni. Czy to prawda?

Jin przytaknęła, a Daulo zwrócił się do ojca. — A więc mojoki mają interes w tym, by pomiędzy nami a ich brzytwołapami jak najrzadziej dochodziło do walki.

— A co z tym, którego spotkałeś dziś rano w puszczy?— zaszydził Kruin. — Miał mojoka, a i tak cię zaatakował.

Daulo potrząsnął głową.

— Myślałem o tym, mój ojcze. Nie zaatakował, dopóki ja nie strzeliłem.

— Spekulacje — potrząsnął głową Kruin. Ale zmarszczka nie zniknęła z jego czoła.

— Pamiętaj o przeszłości — przypomniała Jin. — Wasi ludzie powiedzieli nam, że krisjawy też były kiedyś dla mieszkańców Qasamy względnie nieszkodliwe. Niebezpieczne stały się dopiero wtedy, kiedy zaczęły je opuszczać mojoki.

Kruin przeniósł spojrzenie na sprzęt i zapasy z innej planety rozłożone na jego stole.

— Powiedziałaś, że Shahni byli świadomi efektów, jakie wywierały na nas mojoki. Dlaczego więc mieliby ryzykować utratę swojej wewnętrznej harmonii i oczyszczać miasta z mojoków?

Jin potrząsnęła głową.

— Nie wiem. Być może mojoki szybciej opuściły miasta, kiedy pojawiło się alternatywne rozwiązanie.

— Albo miasta zdały sobie sprawę, że główny konflikt nie będzie dotyczył ich mieszkańców, ale nas, osadników — mruknął Daulo.

— Być może. — Kruin spojrzał twardo na Jin. — Ale jakiekolwiek są powody i motywacje, najważniejsze jest to, że ludzie Aventiny wmieszali się w sprawy naszego społeczeństwa. A czyniąc to, sprowadzili na nas trudy i śmierć.

Jin spojrzała mu prosto w oczy, starając się pozbyć uczucia, że to ona sama jest tu osądzana.

— Najważniejsze — poprawiła cicho — że byliście niewolnikami. Czy wolelibyście, żeby zostawiono was takimi, jakimi byliście: nie w pełni ludźmi?

— Zawsze można podać miłość jako przyczynę czyjegoś działania — stwierdził Kruin z gorzkim uśmiechem. — Powiedz mi, Jasmine Moreau, gdybyśmy zamienili się miejscami, czy podziękowałabyś nam szczerze za zrobienie tego, co wy zrobiliście nam?

Jin przygryzła wargę. Łatwo byłoby skłamać... i jakże bez sensu.

— W tym punkcie waszej historii, w którym teraz się znajdujecie... nie. Mogę mieć tylko nadzieję, że przyszłe pokolenia zrozumieją, że to, co uczyniliśmy, naprawdę musiało zostać zrobione. I uwierzą, że nasze intencje były szlachetne, nawet jeśli nie będą nam mogły szczerze podziękować.

Kruin westchnął i zamilkł, jego wzrok powędrował w kierunku stołu. Jin zerknęła na Daula, a potem popatrzyła za okno. W całej Milice popołudniowe cienie zaczynały się wydłużać — wkrótce nadejdzie czas na wieczorny posiłek.

Znakomity moment na to, by ją uśpić lub otruć, jeśli zdecydują, że jest zbyt niebezpieczna, by z nią pertraktować...

— Czego od nas oczekujesz? — Kruin przeciął nagle tok jej rozmyślań.

Jin skupiła swą uwagę na nim, zbierając się w sobie. To pytanie musiało paść i bardzo długo zastanawiała się, jak dużo powinna im powiedzieć. Ale za każdym razem, kiedy rozważała ten problem, dochodziła do tego samego wniosku: jedynym wyjściem była całkowita szczerość. Zaufanie, które udało jej się do tej pory zdobyć — nie pochlebiała sobie, że było go sporo — prysłoby natychmiast, gdyby złapali ją na jeszcze jednym kłamstwie. A bez ich zaufania nie miała najmniejszej szansy ani na wykonanie swojego zadania, ani na pozostanie przy życiu.

— Po pierwsze — zaczęła — muszę wam powiedzieć, że przez ostatnie trzydzieści lat śledzimy was za pomocą satelitów szpiegowskich orbitujących waszą planetę.

Przygotowała się na wybuch, ale Kruin tylko kiwnął głową.

— To żadna tajemnica. Każdy na Qasamie je widział. Blade punkciki przesuwające się na tle nocnego nieba. Powiadają, że ulubionym tematem rozmów na spotkaniach Shahni jest znalezienie sposobu ich zniszczenia.

— Nie dziwię się — przyznała Jin. — W każdym razie wydaje się, że ktoś znalazł wreszcie na to sposób.

Kruin uniósł brew.

— Ciekawe. Rozumiem, że przyleciałaś tu, by tego kogoś powstrzymać?

Jin potrząsnęła głową.

— Tak naprawdę to nie. Nasza grupa przyleciała tylko zebrać informacje. To nie takie proste, jak się może wydawać. Satelitów nikt bezpośrednio nie niszczy, są tylko tymczasowo unieruchamiane... i jak do tej pory nie jesteśmy w stanie dojść to tego, w jaki sposób.

Opisała najlepiej, jak potrafiła, przerwy powstałe w zapisach.

— Szalę przeważył fakt, że stwierdzono wyraźny porządek w występowaniu przerw. Większość z nich przypadała na ten zadaszony kompleks budynków na pomocny wschód od Azras.

— Na pewno masz na myśli Mangus — powiedział Daulo.

— A więc tak to się nazywa?

Jin zmarszczyła brwi. Słowo to było jej mgliście znajome...

— Czy Mangus to czyjeś imię?

Daulo potrząsnął głową.

— Ta nazwa to starożytny rdzeń słowa "mangusta". Nie wiem, dlaczego tak to miejsce nazwali.

Jin poczuła suchość w gardle. Mangusta. Legendarne zwierzę ze Starej Ziemi... którego sława brała się z jego umiejętności zabijania kobr. Prawdopodobnie mogłabym ci powiedzieć — pomyślała ponuro — czemu tak je nazwali.

— Nie wiecie, co tam się konkretnie dzieje?

Kruin wpatrywał się w jej twarz, ale niezależnie od tego, co z niej wyczytał, nie zapytał o nic.

— Badania i produkcja sprzętu elektronicznego — powiedział. — Całkiem chyba spora, sądząc po ilościach oczyszczonych metali, jakie od nas kupują.

— Ilościach, które wydają się nadmierne dla tego rodzaju produkcji sprzętu elektronicznego? — zapytała Jin.

— A jakie ilości uznajesz za nadmierne? — odparł Kruin. — Musiałbym znać wielkość produkcji, zanim mógłbym dokonać jakichkolwiek porównań.

— A co oni konkretnie produkują? Czy macie tu jakieś egzemplarze?

Kruin potrząsnął głową.

— Te towary trafiają przeważnie do miast.

Albo to właśnie mówi się osadnikom — pomyślała Jin.

— Czy można jakoś sprawdzić wielkość tej produkcji?

Kruin i Daulo spojrzeli po sobie.

— Moglibyśmy prawdopodobnie uzyskać odpowiednie dane z Azras — powiedział Kruin. — Z innych miast... raczej nie. Mogłoby nam pomóc, gdybyśmy wiedzieli, czego szukasz.

Jin wzięła głęboki oddech.

— Grupa analityczna na Aventinie sądziła, że Mangus może być ośrodkiem badań rakietowych.

Kruin nagle spoważniał.

— Badań rakietowych? Jakich rakiet?

Jin wyciągnęła bezradnie ręce.

— To jedna z rzeczy, których muszę się dowiedzieć. Ale przychodzą mi do głowy tylko dwa zastosowania rakiet: jako pojazdów do lotów kosmicznych... lub jako broni.

Kruin przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu.

— Więc jeśli prawdą okaże się to pierwsze, napiszesz w raporcie, że znów staliśmy się dla was zagrożeniem? — spytał nagle ostro. — A diabelscy wojownicy przyjadą i jako ostrzeżenie zniszczą Mangus? Natomiast jeśli to tylko miasta planują szantaż lub otwartą wojnę przeciwko osadom, to się ucieszycie i zostawicie nas w spokoju?

Jin wytrzymała jego spojrzenie, nie mrugnąwszy okiem.

— Gdybyśmy chcieli was zniszczyć, moglibyśmy zrobić to na sto różnych sposobów. To nie groźba, to stwierdzenie faktu. Przybyliście z Dominium Ludzi, musicie więc pamiętać o straszliwej broni, którą jest w stanie stworzyć świat technologiczny.

Kruin skrzywił się.

— Pamiętamy — przyznał. — To był jeden z powodów, dla których wyjechali nasi przodkowie.

— W porządku. Nie będziemy próbowali was niszczyć. Czy uwierzycie w to, czy nie, jest to prawda. Prawdą jest także to, że nie mamy absolutnie żadnego interesu w prowadzeniu z wami niepotrzebnej wojny. Nie chcemy marnować ani czasu, ani pieniędzy, ani istnień ludzkich na takie cele. Jeśli Qasama opracowuje technologię lotów kosmicznych... cóż, powinniśmy umieć się z tym pogodzić. Jeśli, oczywiście, będziemy mogli być w miarę pewni, że cała planeta nie powstanie, by nas zaatakować.

Daulo syknął szyderczo.

— Kto na Qasamie mógłby być na tyle głupi, by poprowadzić podobny samobójczy atak? I kto byłby na tyle głupi, by za nim pójść?

Jin potrząsnęła głową.

— Nie wiem. To kolejna rzecz, której muszę się dowiedzieć.

— A jeśli w Mangus buduje się rakiety do wojny totalnej? — drążył Kruin. — Czy twoi ludzie, odnowiwszy w nas zdolność do niszczenia, odwrócą się po prostu plecami?

Jin zacisnęła zęby. Znowu nie było sensu kłamać.

— To możliwe. Mam jednak nadzieję, że nie, niemniej nasi przywódcy mogliby tak zadecydować. Miej na uwadze, że skoro moi współtowarzysze nie żyją, ja jestem tą misją. Jeśli mój raport stwierdzi, że nie stanowicie zagrożenia i że będziemy w stanie zyskać więcej poprzez ustalenie stosunków politycznych i handlowych z waszą kulturą, niż gdy pozwolimy, żeby ta kultura zniszczyła samą siebie...

Wzruszyła ramionami.

— Kto wie, co zrobią? Mój stryj jest w zarządzie, wiec istnieje szansa, że mój głos zostanie przynajmniej wysłuchany.

— Twój stryj to ten, który ledwo uciekł żywy z Qasamy? — zapytał Kruin.

Potrząsnęła głową.

— Nie ten. Jego brat, Corwin Moreau, jest gubernatorem na Aventinie.

Kruin zmarszczył brwi.

— Twoja rodzina ma taki status i taką władzę na twojej planecie?

Po plecach Jin przebiegł dreszcz. Ojciec w areszcie domowym. Los kariery politycznej stryja Corwina spoczywający na jej własnych barkach...

— Przynajmniej chwilowo — westchnęła. — Istnieją siły, które starają się zmienić ten stan.

— A ta decyzja zależy od raportu, z którym wrócisz? — zapytał Kruin.

— Raczej od tego, jak ja osobiście sobie poradzę z wykonaniem misji. — Jin potrząsnęła głową. — Ale to nieważne. Powiedziałam wam, dlaczego tu jestem, odpowiedziałam na wszystkie wasze pytania najlepiej, jak umiałam. Musze wiedzieć teraz, czy pozwolicie mi dokończyć moją misję.

Kruin zacisnął usta.

— Utrzymanie twojej tożsamości w tajemnicy wśród naszej rodziny byłoby wysoce niebezpieczne, jestem pewien, że zdajesz sobie z tego sprawę. Gdyby wykryto cię w jakiś inny sposób, reperkusje byłyby katastrofalne. Co oferujesz nam w zamian za poniesione przez nas ryzyko?

— Co proponujesz? — zapytała Jin, starając się mówić opanowanym głosem.

Udało się — pomyślała, niepewna jeszcze, czy w to wierzyć. — Zaczął ze mną pertraktować.

Oby tylko chciał czegoś, co mogłaby mu ofiarować.

— Jak już się zorientowałaś, wasz plan podzielenia naszego społeczeństwa na zwalczające się frakcje powiódł się aż za dobrze. Czymkolwiek okazałoby się Mangus, wiesz, że już teraz pomiędzy miastami i osadami istnieją pewne tarcia. Oprócz kwestii mojoków, napięcia spowodowane są tym, że ciężki przemysł skupiony jest w miastach, a kontrola nad zasobami naturalnymi znajduje się w rękach osad.

Jin kiwnęła głową. Była to klasyczna sytuacja, prawdopodobnie odtwarzana setki razy od najwcześniejszych dni ludzkości. Pomyślała przelotnie, że dobrze byłoby wiedzieć, jak radziły sobie z tym różnorodne kultury Starej Ziemi.

— Mam nadzieję, że nie chcecie, żebym to ja rozładowała tę sytuację...

— Nie oceniaj tak nisko mojej inteligencji — przerwał jej zimno Kruin. — To nasz świat, nasza polityka, nasza kultura, nasze społeczeństwo, jakakolwiek rada od ciebie, człowieka z innej planety, byłaby bardziej niż bezużyteczna.

Jin przełknęła ślinę.

— Przepraszam. Mów dalej, proszę.

Kruin wpatrywał się w nią przez chwilę, zanim zaczął mówić dalej.

— Już teraz przygotowujemy się, by razem przeciwstawić się próbom dominacji. Przywódcy osad w tej części Qasamy spotykają się co jakiś czas, żeby oma-

wiać sytuację i koordynować potrzebne działania. Ale są też tacy, którzy widzą w tym zamieszaniu szansę na osiągnięcie postępu... i jeśli faktycznie w najbliższej przyszłości na Qasamie ma wybuchnąć takie zamieszanie, chcę, aby rodzina Sammonów mogła stawić mu czoło bez niebezpiecznych przeszkód za plecami.

Jin skrzywiła się.

— Przeszkód w rodzaju rodziny Yithtrów z drugiej strony Wewnętrznego Zieleńca?

— Widzę, że Daulo ci o nich powiedział — warknął Kruin. — Zrozumiesz więc, że ich obsesyjny zamiar doprowadzenia do naszego upadku jest czymś, z czym należy się rozprawić. Wydaje się, że nadszedł ku temu stosowny czas.

— Czy chcesz, żebym zamordowała kogoś z nich? — zapytała cicho Jin. — Bo jeśli tak, to od razu powiem ci, że nie mogę tego zrobić.

— Jesteś przecież wojownikiem, prawda? — wtrącił Daulo.

— Zabijanie w czasie wojny to nie to samo co morderstwo — odparła.

— Nie chcę, żebyś mordowała — potrząsnął głową Kruin. — Chcę tylko, byś znalazła sposób na osłabienie wpływów rodziny Yithtrów w tej osadzie. Proponuję ci taki układ, Jasmine Moreau: zniszczenie potęgi tej rodziny w zamian za azyl w naszej.

To powinno być możliwe, choć w tej chwili nie miała żadnego pomysłu, jak tego dokonać. Ale co się stanie potem? — pomyślała. — Co dla tej kultury oznaczało zniszczenie potęgi rodziny? Być może utratę domów lub nawet wygnanie całej familii z osady? Czy mogłoby to prowadzić bezpośrednio do masowej śmierci, samobójstw lub morderstw?

Implikacje moralne same w sobie były wystarczająco poważne... ale ewentualne konsekwencje polityczne jeszcze gorsze. Stworzyłoby to wyraźny precedens mieszania się Światów Kobr w sprawy Qasamy, w pełnym tego słowa znaczeniu. Zarząd prawdopodobnie chętnie wynagradzałby gotowych do współpracy Qasaman, ale z punktu widzenia Qasamy układ z Kruinem zakrawał na zdradę stanu. Czy ze względów etycznych mogła pozwolić sobie na udział w czymś takim?

A czy w ogóle miała jakikolwiek wybór?

— Proponuję ci inny układ — powiedziała w końcu. — Nie zniszczę potęgi rodziny Yithtrów bezpośrednio, ale sprawię, by wasz prestiż i pozycja wzrosły tak, że nie odważą się wam sprzeciwiać.

Kruin mierzył ją wzrokiem.

— A jak zamierzasz tego dokonać? — zapytał.

— Nie wiem — przyznała. — Ale znajdę na to sposób.

Przez dłuższą chwilę w pokoju panowała cisza. Potem, biorąc głęboki oddech, Kruin kiwnął poważnie głową.

— Układ zostaje zawarty. Ty, Jasmine Moreau, znajdujesz się teraz pod ochroną mojej rodziny. Nasza rodzina jest twoją. Osłaniamy cię naszym życiem.

Jin przełknęła ślinę.

— Dziękuję ci, Kruinie Sammon. Nie zawiodę waszej gościnności ani naszego układu.

Kruin kiwnął ponownie, po czym wstał z poduszek. Daulo uczynił to samo.

— Jutro przyjadą do Miliki przedstawiciele Mangus, aby odebrać dostawę naszych metali. Może chcesz rozpocząć swoje badania od obserwowania ich?

— Tak też zrobię — powiedziała Jin.

— A teraz... — Kruin pochylił się nad biurkiem i nacisnął guzik. — Czas na wieczorny posiłek. Chodźmy, dołączymy do pozostałych.

Jin zachowała obojętny wyraz twarzy. Środki usypiające lub trucizna przy wieczornym posiłku...

— Tak — zgodziła się. — Chodźmy.

Rozdział 24

Natrętny dzwonek telefonu stojącego przy łóżku wyrwał Corwina ze snu. Na pewno jakieś kłopoty — pomyślał od razu, skupiając się z wysiłkiem na zegarze. Ale nie był to w końcu środek nocy, było kilka minut po szóstej, więc i tak prawie czas wstawać. Pewnie to tylko Thena z jakimiś pilnymi zmianami terminów spotkań czy coś podobnego — pomyślał, sięgając do włącznika telefonu.

— Halo?

Ale to nie twarz Theny ukazała się na ekranie. To był gubernator generalny Chandler... miał najbardziej ponurą minę, jaką Corwin kiedykolwiek u niego widział.

— Powinieneś jak najszybciej przyjechać na lądowisko — powiedział bez wstępów. — Za około kwadrans będzie lądował "Southern Cross", na pewno chcesz się dowiedzieć, z czym przyleci.

— "Southern Cross"? — Corwin zmarszczył brwi. Poczuł gwałtowne skurcze w żołądku. — Co się stało?

— Wszystko — parsknął gniewnie Chandler. — Przyjeżdżaj.

Corwin zacisnął zęby.

— Tak jest, sir.

Ekran telefonu zgasł.

— Cholera — mruknął półgłosem Corwin. Opuszczając nogi z łóżka złapał ubranie i zaczął je wkładać. Tak szybki powrót "Southern Cross" mógł być spowodowany tylko jednym: misję na Qasamę musiało spotkać jakieś nieszczęście.

Zawahał się, serce waliło mu w piersiach. Katastrofa. Stan pogotowia, wymagający szybkiego działania... Wieloletnie doświadczenie mówiło mu, że komitety i rady nie działały szybko. Dzieło najszybciej gotowe, gdy komitety są jednoosobowe — przypomniał mu się stary dwuwiersz.

Zaciskając zęby, sięgnął z powrotem do telefonu i wystukał numer.

Dotarł na lądowisko w ciągu dwudziestu minut. Okazało się, że Chandler wydzielił jedną z sal konferencyjnych w budynku przylotów. Dwaj inni członko-

wie zarządu, Telek i Priesly, przyjechali przed nim... jedno spojrzenie na ich twarze przekonało go, że sytuacja wyglądała gorzej, niż się tego obawiał.

Miał rację.

Raport kapitana Koi trwał krótko, częściowo dlatego, że nie było wiele do powiedzenia, a częściowo dlatego, że powiększone telezdjęcie na ściennym ekranie znajdującym się za nim mówiło samo za siebie.

— Zdecydowaliśmy nie czekać, żeby sprawdzić, czy odnalazł kapsułę ratunkową — kończył kapitan — zakładając, że lepiej dla niego będzie, jeśli wrócimy i ogłosimy alarm. — Spojrzał na Chandlera. — Tak naprawdę to wszystko, co mam, gubernatorze. Czy chce pan zadać jakieś pytania?

Chandler zapytał o coś i Koja mu odpowiedział, ale Corwin nic z tego nie usłyszał. Migający nierzeczywisty i straszny obraz oddzielił go od reszty obecnych. Od reszty wszechświata. Ostatni widok Jin, kiedy machała do niego z trapu wejściowego "Southern Cross" stanął mu przed oczami... przed komputerowo powiększonym obrazem śmierci wahadłowca, wciąż wyświetlanym na ścianie sali konferencyjnej. Ja ją tam posłałem. Ta myśl wirowała mu w głowie niczym lodowata trąba powietrzna. Ja to przeforsowałem. Zmusiłem ich, żeby zrobili z niej Kobrę. A potem wysłałem ją na Qasamę... wszystko po to, by pokrzyżować plany moich politycznych wrogów.

W imię polityki.

Ktoś wołał go po imieniu. Spojrzał przed siebie i zobaczył mierzącego go wzrokiem Chandlera.

— Tak?

— Pytałem, czy ma pan jakieś komentarze lub sugestie — powtórzył spokojnie generalny gubernator.

Corwin patrzył mu przez chwilę prosto w oczy. Chandler odwzajemniał spojrzenie bez mrugnięcia okiem. Było to spojrzenie męża stanu, które Corwin tak często u niego widywał... i którego zawsze nienawidził. Pojawiało się nieodwołalnie zawsze w tych momentach, kiedy Chandler starał się uchodzić za kogoś, kto stoi ponad polityką lub wtedy, kiedy chciał wyprzeć się wszelkiej odpowiedzialności za coś, w czym uprzednio maczał palce.

A więc tak będzie i tym razem, prawda? — pomyślał Corwin widząc to spojrzenie. — Nie przyjmiesz większej odpowiedzialności, niż będziesz zmuszony? Cóż, zobaczymy.

Ale najpierw musiał zadać pewne pytanie. Przenosząc wzrok na Koję, wziął głęboki oddech.

— Kapitanie, czy istnieje...? — Oblizał wargi i spróbował ponownie. — Czy są jakieś sygnały o tym... która z Kobr mogła przeżyć!

Na policzku Koi drgnął mięsień.

— Przykro mi, gubernatorze, ale nie ma — powiedział niemalże delikatnie. — W ciągu ostatnich ośmiu dni setki razy przeglądaliśmy dane. Nie ma sposobu, aby to określić.

Corwin kiwnął głową, czując na sobie spojrzenia pozostałych.

— Więc być może to Jin przeżyła i jest tam teraz na dole, prawda?

Koja wzruszył nieznacznie ramionami.

— Możliwe, że to ona. Równie możliwe, że są tam wszystkie Kobry.

Żadnej fałszywej nadziei — ostrzegł siebie Corwin.

Ale to samoostrzeżenie nie było poważne i wiedział o tym. Czuł, że pozbawiony nadziei jego umysł ucieka od fali poczucia winy, która go zalewała. Ale mając nadzieję... tę samą falę można było wykorzystać. Użyć jej tak, by pomścić to, co stało się z jego siostrzenicą. Niezależnie od tego, czy żyła, czy nie, był jej to winien.

— Chwilowo — powiedział, spoglądając znów na Chandlera — możemy darować sobie wszelkie wzajemne obwinianie się za to, dlaczego "Southern Cross" nie miał na pokładzie żadnego sprzętu awaryjnego na wypadek takiej właśnie katastrofy. W tej chwili naszym najważniejszym zadaniem jest zebranie grupy ratunkowej i wysłanie jej jak najszybciej na Qasamę. Jakie kroki zostały podjęte w tym kierunku?

— Rozmawiałem z koordynatorem Maung Kha — odparł Chandler. — Dyrektorzy akademii sporządzą dla nas listę.

— Kiedy będzie gotowa? — zapytał Corwin. Priesly poruszył się na krześle.

— Chce pan ją mieć szybko, czy ma być zrobiona porządnie? — zapytał Corwina.

— Jedno i drugie — warknęła Telek, zanim Corwin zdążył odpowiedzieć.

— Nie wątpię, gubernatorze... — zaczął Priesly.

— Panie Chandler — przerwała mu Telek — zakładani, że włączono mnie w skład tej rady wojennej z powodu mojej bezpośredniej znajomości spraw związanych z Qasamą? W porządku. Więc skorzystajcie łaskawie z tej znajomości i

słuchajcie, kiedy mówię wam, że Moreau ma rację. Jeśli chcecie odzyskać swoją Kobrę żywą, liczą się dosłownie minuty. Qasamanie są szybcy i bystrzy, a kiedy już wykonują swój ruch, nie zostawiają zbyt dużego pola manewru.

— Rozumiem — powiedział Chandler, z wyraźnie wymuszoną cierpliwością. — Ale jak przypomniał gubernator Priesly, solidne wykonanie tej roboty wymaga pewnego czasu.

— To zależy od tego, jak skomplikowanymi kanałami będzie się pan upierał ciągnąć tę sprawę.

— Jest powód, aby te kanały istniały — mruknął Priesly. — Akademia ma komputery i listy, których pan potrzebuje, żeby znaleźć najlepszych ludzi do tej roboty. Chyba że wolałby pan sam zebrać jakąś przypadkową grupkę Kobr?

— Nie będzie potrzeby — powiedział spokojnie Corwin. — Ta sprawa jest już w toku.

Wszystkie spojrzenia spoczęły na nim.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytał ostrożnie Chandler.

— To znaczy, że zanim wyszedłem dziś rano z domu, zadzwoniłem do Justina i powiedziałem mu, że coś się stało z misją.

— Co pan zrobił? — parsknął Priesly. — Moreau...

— Zamknij się — zgasił go Chandler. — I...?

— Zleciłem mu, żeby zorganizował ekspedycję ratunkową — wyjaśni Corwin. — Za godzinę powinien mieć gotową listę.

Przez dłuższą chwilę w sali panowała niepewna cisza.

— Przekroczył pan dość rażąco swoje kompetencje — odezwał się w końcu Chandler. — Mógłbym pana usunąć za to ze stanowiska.

— Zdaję sobie z tego sprawę — przytaknął Corwin. — Jeszcze jedno. Tę grupę poprowadzi Justin.

Priesly rozdziawił usta.

— Justin Moreau podlega aresztowi domowemu — warknął. — Jeżeli pan zapomniał, oskarżono go o napaść.

— W takim razie trzeba będzie te zarzuty wycofać w trybie przyśpieszonym, nieprawdaż?

— O tak, oczywiście — parsknął Priesly. — Co, spodziewa się pan, że tak po prostu się poddamy...

— Justin był już na Qasamie — powiedział Corwin ze wzrokiem utkwionym w Chandlerze. — Widział Qasaman z bliska, zarówno w bojowych, jak i innych sytuacjach. Nikt inny na Światach Kobr nie ma takich kwalifikacji.

— W drugiej misji qasamańskiej brało udział czterdzieści osiem Kobr — przypomniał Chandler. Jego twarz była maską, ale Corwin wyczuwał pod nią gniew... a być może też i narastającą rezygnację. — Ktoś z nich mógłby poprowadzić tę wyprawę.

— Z tym że nikt z nich nie ma nawet podobnych doświadczeń jak Justin, jeśli chodzi o qasamańskie społeczeństwo — potrząsnęła głową Telek. — Moreau ma rację, panie Chandler. Najlepszym dowódcą grupy będzie ktoś z naszej pierwszej misji szpiegowskiej. A jest tylko jedna osoba na tyle młoda, by brać ją pod uwagę.

— W takim razie należy to zrobić — zażądał Priesly.

Telek obróciła ku niemu lodowate spojrzenie.

— Proszę bardzo. Nazywa się Joshua Moreau.

W sali ponownie zapanowała cisza.

— Nie muszę przecież na to pozwolić — odezwał się w końcu Chandler, zwracając się bardzo cicho do Corwina. — Mogę zignorować zalecenia pańskiego brata, do wydania których nie miał upoważnienia, i zastosować się do rad dyrektorów akademii. A pan Priesly ma racje. Tę misję może przecież poprowadzić ktoś inny.

— Może pan też posłuchać, co powie społeczność Aventiny — odpowiedział równie cicho Corwin — kiedy się dowie, że jego przywódcy zmarnowali czas, kłócąc się o szczegóły. A potem wybrali nie najlepsze rozwiązanie.

— To szantaż — warknął Priesly.

Corwin spojrzał mu prosto w oczy.

— To polityka — poprawił.

Wstał i spojrzał ponownie na Chandlera.

— Skoro już skończyliśmy, panie gubernatorze, pojadę teraz do mego biura. Justin skontaktuje się ze mną, jak załatwi sprawę. Jestem pewien, że będzie chciał osobiście zorganizować grupę, kiedy jej członkowie przyjadą do Capitalii. Czy mogę założyć, że jego papiery dotyczące zwolnienia zostaną przekazane mniej więcej do południa?

Chandler zacisnął zęby.

— To jest do wykonania. Przypuszczam, że chce pan całkowitego ułaskawienia?

— Albo oficjalnego wycofania zarzutów. Cokolwiek pan i pan Priesly zdecydujecie się wypracować.

Ruszył ku drzwiom, ale Chandler go zatrzymał.

— Zdaje pan sobie oczywiście sprawę — powiedział posępnie gubernator generalny — że od tej chwili bierze pan na swoje barki los tej ekspedycji. Jeśli się nie powiedzie z jakiegokolwiek powodu, to pan poniesie za to całą odpowiedzialność.

— Rozumiem — powiedział sztywno Corwin. — Rozumiem też, że jeśli sprawa się powiedzie, pan Priesly i jego współpracownicy postarają się, aby moim udziałem stała się jak najmniejsza część tej zasługi.

— Bardzo dobrze rozumie pan politykę — mruknęła Telek. — Prawie panu współczuję.

Corwin spojrzał na nią.

— Na szczęście rozumiem też lojalność wobec rodziny. I wiem, co jest ważniejsze.

Skinął głową Chandlerowi i wyszedł.

Corwin w przeszłości wielokrotnie widział zdolności organizacyjne Justina, mimo to był zadziwiony szybkością, z jaką brat zorganizował w Capitalii grupę ratunkową. O ósmej wieczorem tego dnia, zaledwie piętnaście godzin po powrocie "Southern Cross" do aventińskiego systemu, "Dewdrop" była załadowana i gotowa do startu.

— Jesteś pewien, że masz wszystko, czego potrzeba? — zapytał Corwin stojąc wraz z Justinem w niewielkiej odległości od "Dewdrop", przyglądając się, jak ostatni ładunek sprzętu znika w luku towarowym.

— Poradzimy sobie — odpowiedział Justin z lodowatym spokojem.

Corwin zerknął na niego z ukosa. Jak na człowieka, który właśnie stracił córkę — zginęła lub była uwięziona — Justin był zdecydowanie zbyt spokojny, a to dość poważnie niepokoiło Corwina. Cokolwiek tamten czuł w związku z losem córki, niezdrowo było dusić to w sobie bez końca. Będzie to musiało w jakiś sposób dojść do głosu... a jeśli Justin wstrzymywał swój gniew po to, by wyładować go na Qasamanach, zapowiadało to naprawdę krwawą jatkę.

— Coś się stało? — zapytał Justin, wciąż przyglądając się załadunkowi.

Corwin zacisnął usta.

— Myślałem właśnie o twoich ludziach — zaimprowizował na poczekaniu. — Dość szybko sporządziłeś listę. Nadal jesteś pewien, że to tych właśnie chcesz?

— Widziałeś akta — powiedział Justin. — Czterej weterani z ostatniej misji na Qasamę, osiem młodych, lecz doświadczonych Kobr mających imponujące wyniki w polowaniu na kolczaste lamparty.

— Ale bez przygotowania wojskowego — przypomniał Corwin.

— Mamy sześć dni, by to zmienić — odparł brat.

— Tak. — Corwin wziął głęboki oddech, ale Justin wpadł mu w słowo.

— Chyba ci jeszcze nie podziękowałem za to, że załatwiłeś mi u Chandlera odpuszczenie tych zmyślonych zarzutów — wyznał bez emocji.

— Nie ma problemu. — Corwin wzruszył ramionami. — Tak naprawdę to nie mieli wyboru.

Justin kiwnął głową, zgadzając się lub tylko przyjmując fakt do wiadomości.

— Doceniam także to, że nadstawiłeś za mnie karku w tej nowej sprawie. Gdybym miał siedzieć na miejscu przez następne dwa tygodnie... byłoby bardzo ciężko. W ten sposób przynajmniej mogę coś zrobić.

— Tak. Hm... spodziewam się, że wiesz, że jeśli Jin... to znaczy, jeśli nie przeżyła... to zemsta na Qasamanach niewiele pomoże.

— To zależy od tego, co się z nią stało, nieprawdaż? — odparł Justin. — Jeśli zginęła w katastrofie... to część winy spadnie na Troftów. To oni twierdzili, że wahadłowiec oszuka czujniki Qasaman. Ale jeśli Jin złapano... — Jego twarz stwardniała. — Danie Qasamanom nauczki nie przywróci Jin, ale być może zapobiegnie śmierci z ich rąk czyjegoś dziecka.

Corwin przygryzł wargę.

— Pamiętaj tylko, że masz jeszcze dwie córki — przypomniał cicho. — Postaraj się do nich wrócić, dobrze?

Justin skinął poważnie głową, a jego usta drgnęły w słabym uśmiechu.

— Nie martw się, Corwin. Qasamanie nie będą nawet wiedzieli, co ich trafiło. — Po drugiej stronie klapa luku towarowego "Dewdrop" zatrzasnęła się z głuchym uderzeniem. — No, to wszystko, czas iść. Pilnuj naszych spraw, dobrze?

Wymienił z Corwinem krótki, niemalże zdawkowy uścisk i w chwilę później zniknął, wchodząc po rampie do głównego wejścia "Dewdrop".

"Nie będą nawet wiedzieli, co ich trafiło". Zdanie wypowiedziane przez Justina wirowało mu w głowie... i stojąc samotnie, Corwin wzdrygnął się na myśl o kłamstwie zawartym w tych słowach. Justin upewni się, że Qasamanie będą wiedzieli, co ich trafiło. Co ich trafiło i za co.

Zastanowił się, czy właśnie przed chwilą nie wysłał swojego brata na śmierć. Jak przedtem swoją siostrzenicę.